Szokująco dobra. Klasyka...
Max Porter
Elektryzująca.
THE TIMES
The 2020 International Booker Prize
Olśniewająca.
OBSERVER
Cudownie dzika.
GUARDIAN
Wyjątkowa.
FINANCIAL TIMES
Emocjonująca.
INDEPENDENT
Niepokój przychodzi o zmierzchu
MARIEKE LUCAS RIJNEVELD

MARIEKE LUCAS
RIJNEVELD

# Niepokój przychodzi o zmierzchu

Z języka niderlandzkiego
przełożył
**Jerzy Koch**

Wydawnictwo Literackie

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

**CZĘŚĆ 1**

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4

**CZĘŚĆ 2**

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12

Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20

**CZĘŚĆ 3**

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13

Tytuł oryginału: *De avond is ongemak*

Opieka redakcyjna: ANDRZEJ STAŃCZYK
Redakcja: EWELINA KOROSTYŃSKA
Korekta: MARIA ROLA, JUSTYNA TECHMAŃSKA, ANETA TKACZYK
Projekt okładki: © Faber, 2020
Postać na pierwszej stronie okładki na podstawie fotografii: © Emilio Blizzi/Millennium
Opracowanie okładki na podstawie oryginału, opracowanie stron tytułowych: RENATA BROŃKA
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© by Marieke Lucas Rijneveld, 2018
Originally published by Uitgeverij Atlas Contact, Amsterdam
© Copyright for the Polish translation by Jerzy Koch, 2021
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2021

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07256-1

Nederlands letterenfonds
dutch foundation for literature

Książka wydana przy wsparciu Holenderskiej Fundacji na rzecz Literatury (Dutch Foundation for Literature)

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

*Niepewność dodaje skrzydeł wyobraźni.*

Maurice Gilliams

# Część I

I napisano: „Oto nowe czynię wszystkie rzeczy!”.
Chociaż akordy są dla smutku sznurem do bielizny,
Porywy ostre niczym brzeszczot złamią wiarę
Zbiegowi z tego, co okrutnie się zaczyna.
Marznące deszcze chłoszczą kwiaty w szklisty mus,
Zadając gwałt, bezwstydnik strząsa z futra krople.

Jan Wolkers, z *Verzamelde gedichten* (2008)

# 1

Miałam dziesięć lat i przestałam ściągać kurtkę. Tamtego ranka matka wysmarowała nas po kolei krowią maścią chroniącą przed mrozem, maść nabierała z żółtej puszki marki Bogena; na ogół stosowano ją tylko na spierzchnięcia, zrogowacenia i kalafiorowate guzki na strzykach mlecznych krów. Pokrywka puszki była tak zatłuszczona, że można ją było odkręcić tylko przez ścierkę do naczyń – pachniała duszoną potrawką z wymion, które pocięte w grube plastry, oprószone solą i pieprzem, stały nieraz na kuchni w garnku z rosołem i brzydziłam się nimi tak samo jak śmierdzącą maścią na mojej skórze. Matka mimo to jeździła nam po twarzach swoimi grubymi palcami, jakby to były sery, które obmacywała i opukiwała, żeby sprawdzić, czy skórka już dojrzewa. Nasze blade policzki lśniły w blasku kuchennej żarówki obsranej przez muchy. Od lat powinien być tam klosz, taki ładny, w kwiaty, ale kiedy znaleźliśmy podobny w wiejskim sklepie, matka chciała dalej szukać. Szukała tak już od trzech lat. Tamtego ranka, dwa dni przed Bożym Narodzeniem, czułam jej tłuste kciuki w oczodołach i zlękłam się, że naciśnie zbyt mocno, a moje oczy niczym kulki do gry wtoczą się do środka. A wtedy powie: „To właśnie przez to, że zawsze błądzisz gdzieś myślami i nigdy nie potrafisz się skupić, jak przystało na dobrego chrześcijanina, który w każdej chwili spogląda ku Bogu tak, jakby niebo miało się rozstąpić". Ale tutaj niebo rozstępowało się tylko przed śnieżną zamiecią, więc nie było na co się głupkowato gapić.

Pośrodku stołu nakrytego do śniadania stał wiklinowy koszyczek na pieczywo wyłożony papierowymi serwetkami w bożonarodzeniowe aniołki. Aniołki trzymały trąbki lub gałązki jemioły tak, by zakryć swoje siusiaki; nawet kiedy patrzyłam na serwetkę pod światło, nie byłam w stanie zobaczyć, jak taki siusiak wygląda, obstawiałam, że przypomina zwinięty plasterek mortadeli. Na serwetki matka starannie wyłożyła chleb pszenny, razowy z makiem i struclę z rodzynkami. Chrupiący grzbiet strucli dokładnie obsypała z sitka cukrem pudrem – był jak pierwszy

delikatny śnieg, który dziś rano opadł na grzbiety krów holenderek, zanim zgoniliśmy je z pastwiska. Klips z woreczka na chleb leżał jak zawsze na puszce z sucharkami, inaczej gdzieś się zapodziewał, a matkę przygnębiał widok supła na woreczku.

– Najpierw na słono, potem na słodko – powiedziała jak zawsze matka.

To było regułą. Wtedy staniemy się duzi i silni, tak duzi jak olbrzym Goliat i tak silni jak Samson z Biblii. Poza tym musieliśmy regularnie wypijać dużą szklankę świeżego mleka, które na ogół już od kilku godzin stało poza cysterną, więc było letnie i czasem jeszcze pokrywała je żółtawa warstewka śmietanki; przyklejała się do podniebienia, jeśli piło się zbyt wolno. Najlepiej było zamknąć oczy i wychylić całą szklankę jednym haustem, co matka nazywała brakiem szacunku, chociaż w Biblii nie było napisane, czy należy pić mleko pospiesznie, czy wolno, ani też czy ma być czuć je krową, czy nie. Wzięłam białą kromkę z koszyczka i położyłam na talerzu, obróciwszy ją tak, że kształtem przypominała dwa blade pośladki przedszkolaka, szczególnie kiedy się ją do połowy posmarowało kremem czekoladowym, co zawsze śmieszyło mnie i moich braci i wtedy mówiliśmy:

– I co, znów będziesz smacznie wylizywać gówno z tyłka.

Tylko że najpierw musiałam się posilić, zanim wolno mi było sięgnąć po krem czekoladowy.

– Kiedy za długo trzymasz złote rybki w ciemnym pokoju, to robią się białe – szeptałam Matthiesowi, układając sześć plasterków metki na kromce, aby precyzyjnie przykryć ją od brzegu do brzegu.

*Masz sześć krów i dwie z nich zostały zjedzone. Ile ci zostało?* Cokolwiek jadłam, w głowie rozlegał się głos nauczyciela. Nie miałam pojęcia, dlaczego te durne rachunki zawsze łączyły się z jedzeniem: jabłek, tortów, kawałków pizzy i ciastek, tak czy owak nauczyciel porzucił już nadzieję, że kiedykolwiek nauczę się rachować i że mój zeszyt będzie śnieżnobiały, bez żadnego podkreślenia na czerwono. Minął cały rok, zanim nauczyłam się odczytywać godziny – ojciec przesiadywał ze mną przy kuchennym stole i ćwiczyliśmy na szkolnym zegarze, którym od czasu do czasu z rozpaczy rzucał o ziemię, aż w końcu mechanizm wypadał i całe to cholerstwo się rozdzwaniało, a mimo to wskazówki nadal przeobrażały się raz po raz w dżdżownice, podobne do tych, które widłami wydobywaliśmy z ziemi za

oborą, idąc na ryby. Wiły się na wszystkie strony, kiedy się je przytrzymało kciukiem i palcem wskazującym, i dopiero gdy się je pacnęło kilka razy, uspokajały się na chwilę i leżały w dłoni zupełnie jak te czerwone, truskawkowe sznurki ze sklepu ze słodyczami van Luika.

– Nie wolno szeptać w towarzystwie – odezwała się moja siostrzyczka Hanna.

Siedziała po przeciwnej stronie stołu, obok Obbego, i kiedy coś jej się nie podobało, poruszała ustami z lewej do prawej.

– Niektóre słowa są jeszcze za duże na twoje małe uszka, nie zmieszczą się tam – powiedziałam z pełną buzią.

Obbe, znudzony, mieszał palcem w szklance mleka, wyłowił kożuch, podniósł go i wytarł o obrus. Kożuch lepił się niczym białawy gil. Widok był paskudny, a ja miałam pewność, że jutro obrus będzie leżał odwrotnie i zaschnięty kożuch wypadnie po mojej stronie. Nie pozwolę wtedy postawić sobie talerza na obrusie. Wszyscy wiedzieliśmy, że serwetki leżą tu tylko dla ozdoby, nie dla naszych brudnych paluchów i ust, i że matka po śniadaniu wygładzi je i schowa na powrót do szuflady. Zresztą szkoda by było, tak sądziłam, żeby aniołki zostały zgniecione w mojej pięści jak komar, ich skrzydełka połamane, a białe anielskie włosy umazane truskawkowym dżemem.

– Właśnie dlatego, że jestem taki blady, muszę wyjść na dwór – wyszeptał Matthies.

I śmiejąc się, precyzyjnie, by nie tknąć czekolady, wbił nóż w białą porcję w słoiczku z dwukolorowym kremem Duo Penotti. Tylko w czasie ferii dostawaliśmy Duo Penotti. Całymi dniami na to czekaliśmy i teraz, kiedy nadeszła świąteczna przerwa, stało się – najpiękniejszy moment był wtedy, kiedy matka zrywała ochronną papierową przykrywkę ze słoiczka, usuwała resztki kleju z brzegów i pokazywała nam brązowe i białe plamy, jakby to był niepowtarzalny wzór nowo narodzonego cielaka. Ten, kto w tym tygodniu otrzymał najlepsze oceny, mógł pierwszy sięgnąć do słoiczka; ja zawsze lądowałam na końcu kolejki.

Wierciłam się na krześle wte i wewte, palcami nie sięgając jeszcze podłogi. Najchętniej bym zatrzymała wszystkich w środku, porozkładała po całym domu jak plasterki mortadeli. Wczoraj, na koniec tygodnia,

nauczyciel czwartej klasy, podsumowując temat o biegunie południowym, powiedział, że niektóre pingwiny idą łowić ryby i już nie wracają. I chociaż nie mieszkaliśmy na biegunie południowym, tutaj także zrobiło się zimno. Tak zimno, że jezioro zamarzło, a poidła dla krów skuł lód.

Każde z nas miało przed swoim nakryciem błękitny woreczek, taki na mrożonki. Podniosłam jeden i spojrzałam pytająco na matkę.

– Założycie je na skarpety, zatrzymają ciepło, no i nie przemoczycie nóg – powiedziała z uśmiechem, a na jej policzkach pojawiły się dołeczki, podobne do tych na sos w ziemniaczano-warzywnym purée.

Właśnie przygotowywała śniadanie dla ojca, który pomagał cielącej się krowie; smarowała kromkę, przeciągała nóż między palcem wskazującym a kciukiem i masło zostawało na opuszkach jej palców, a wtedy zdrapywała je krawędzią. Tymczasem ojciec siedział zapewne przy krowie na ryczce dojarza, żeby zebrać młodziwo, a nad jego zgarbionymi plecami unosiły się obłoczki pary. Oddech i dym z papierosa. Spostrzegłam, że przy jego talerzu nie było woreczka na mrożonki, prawdopodobnie miał za duże stopy, szczególnie lewą, zniekształconą po wypadku na kombajnie, kiedy miał ze dwadzieścia lat. Na stole obok nakrycia matki leżał świderek, używała go do sprawdzania smaku serów, które robiła co rano. Zanim któryś nacięła, przebijała świderkiem warstewkę plastiku na samym środku, obracała nim dwa razy i powoli wyciągała. I tak samo uważnie i pobożnie jak spożywała biały chleb podczas Wieczerzy Pańskiej, nadgryzała teraz ser z kminkiem, niespiesznie, spoglądając przed siebie. Obbe zażartował kiedyś, że ciało Jezusa też jest z sera i dlatego możemy jeść z nim tylko dwie kromki dziennie, inaczej za szybko by się skończył.

Po tym, jak matka wyrecytowała modlitwę i Bogu złożyła dzięki „za ubóstwo i szczodrość; bo gdy wielu spożywa chleb boleści, On nas hojnie żywić nie przestaje, błogosławiąc, co nam daje", Matthies odsunął swoje krzesło do tyłu, zawiesił panczeny na szyi, a do kieszeni kurtki wsunął kartki bożonarodzeniowe, które matka kazała mu wrzucić do skrzynek na listy u paru znajomych. Matthies chodził już wcześniej nad jezioro, teraz z kilkoma przyjaciółmi miał wziąć udział w wyścigu łyżwiarskim. Trasa prowadziła polderami jakieś trzydzieści kilometrów, a zwycięzca miał otrzymać bułkę z potrawką z krowich wymion i musztardą oraz złoty medal z wybitą datą „2000". Najchętniej założyłabym mu na głowę jeszcze

woreczek na mrożonki, żeby się za szybko nie wyziębił, a klips do zamknięcia zacisnęła wokół jego szyi. Przez moment potarmosił moje włosy, które zaraz pospiesznie przygładziłam i strąciłam kilka okruszków z piżamy. Przedziałek Matthiesa zawsze był pośrodku, a nażelowane kędziory nad czołem przypominały dwa zawijasy z masła, jakie matka robiła na półmisku na Boże Narodzenie; masło z maselniczki nie wydawało się jej dość odświętne, to było coś na zwykły dzień. A narodziny Jezusa nie były zwykłym dniem. Nawet jeśli zdarzały się każdego roku wciąż na nowo, tak samo jak każdego roku Jezus na nowo umierał za nasze grzechy, co wydawało mi się dziwne i o czym często myślałam: ten biedny człowiek przecież już dawno umarł, na pewno o tym zapomnieli. Lepiej nikomu o tym nie mówić, bo nie będzie czekoladowych krążków z posypką i nikt już nie opowie bożonarodzeniowych historii o trzech królach i gwieździe ze Wschodu.

Matthies poszedł do przedpokoju i przed lustrem zaczął poprawiać swoje loki. Pewnie i tak zrobią się na mrozie twarde jak kamień i opadną mu płasko na czoło.

– Mogę pójść z tobą? – zapytałam.

Niedawno ojciec zniósł ze strychu moje fryzyjskie panczeny i przywiązał brązowe rzemyki do butów. Już od kilku dni chodziłam w łyżwach po całym domu, z rękoma na plecach i w ochraniaczach na płozach. Wolałam nie zostawiać zbyt wielu kresek na wykładzinie, żeby matka nie musiała potem płaską końcówką odkurzacza likwidować tych śladów, oznak mojego pragnienia startu w wyścigu. Łydki mi stwardniały. Naćwiczyłam się już wystarczająco, aby wejść na lód bez podpórki ze składanego krzesła.

– Nie, nie da rady – odparł. A potem dodał cicho, tak żebym tylko ja słyszała: – Bo idziemy na tamtą stronę.

– Też chcę na tamtą stronę – wyszeptałam.

– Jak podrośniesz, to cię zabiorę.

Wsadził na głowę wełnianą czapkę i uśmiechnął się, a ja zobaczyłam jego aparat korekcyjny i zygzak z niebieskich gumek.

– Przed zmrokiem będę z powrotem – zawołał do matki.

W drzwiach jeszcze się obrócił i pomachał do mnie – później ta scena będzie wciąż powracać w mojej głowie, aż w końcu jego ramię przestanie

się podnosić, a ja zacznę wątpić, czy w ogóle się pożegnaliśmy.

# 2

Z kanałów telewizyjnych mieliśmy tylko Nederland 1, 2 i 3. Tam, według ojca, nie pokazywano golizny; słowo „golizna" wypowiadał tak, jakby właśnie wpadła mu do ust muszka owocówka, i zapluwał się przy tym. Słysząc to słowo, myślałam przede wszystkim o ziemniakach, które matka każdego wieczora obierała i z pluskiem wrzucała do garnka, o tych pluśnięciach właśnie. Wyobrażałam sobie, że jeśli za długo się myśli o gołych ludziach, to z czasem wyrastają z ciebie tak jak z eigenheimerów pędy, które wtedy trzeba końcem noża wydłubać z miękkiego miąższu. Te zielone poroża rzucaliśmy kurom, przepadały za nimi. Leżałam na brzuchu przed dębową szafką, w której ukryty był telewizor. Sprzączka z moich łyżew poleciała pod nią, kiedy rozzłoszczona kopnęłam je w kąt pokoju. Byłam za mała, żeby pójść na tamtą stronę jeziora, i za duża, żeby jeździć na łyżwach za oborą, po rowie z zamarzniętą gnojówką. Zresztą nie można tego było nazwać jazdą na łyżwach, to było raczej coś jak chybotanie się – tak jak robiły to gęsi, kiedy zlatywały się tam w poszukiwaniu czegoś do jedzenia – a z każdej rysy na lodzie wydobywał się smród gnojowicy i płozy zabarwiały się na brązowo. Musiało to wyglądać kretyńsko – obie z siostrą stałyśmy na tym rowie jak para głupich gąsek, nasze opatulone tułowie miotały się od jednej skarpy porosłej trawą do drugiej, zamiast szusować po wielkim jeziorze, dokąd poszła jeździć cała wieś.

– Nie możemy pójść popatrzeć na Matthiesa – powiedział ojciec – jedno z cieląt ma biegunkę.

– Przecież obiecaliście! – zawołałam.

Założyłam już nawet na stopy woreczki.

– Sytuacja jest wyjątkowa – odparł ojciec i naciągnął czarny beret aż na brwi.

Pokiwałam głową. Na wyjątki nie było mocnych, zresztą nikt nie dorównałby krowom, zawsze były faworyzowane, nawet wtedy, kiedy nie zwracały na siebie uwagi, a ich nażarte, grube, ociężałe cielska po prostu

leżały w boksach. Wtedy też zaliczały się do wyjątków. Marudząc, założyłam ręce na piersi. Na nic całe to ćwiczenie na fryzyjskich panczenach, i cóż, że moje łydki były twardsze od łydek porcelanowego Jezusa, który stał w przedpokoju i był tak duży jak ojciec. Woreczki na mrożonki umyślnie wrzuciłam do wiadra na śmieci, głęboko, pod fusy z kawy i skórki z chleba, aby matka nie mogła ich znowu użyć, jak serwetek.

Pod szafką było pełno kurzu. Znalazłam spinkę do włosów, wyschniętą rodzynkę i klocek Lego. Matka zamykała drzwiczki szafki, kiedy w odwiedziny przychodziła rodzina albo zjawiali się starsi zboru z wizytą duszpasterską; nie mogli zobaczyć, że wieczorami dawaliśmy się sprowadzać z Bożej ścieżki – w poniedziałki matka miała zwyczaj oglądania teleturnieju *Lingo*, wtedy każde z nas musiało siedzieć jak mysz pod miotłą, aby znad deski do prasowania mogła zgadywać słowa; przy każdej dobrej odpowiedzi słyszeliśmy syk żelazka, para się unosiła. Na ogół były to słowa, które nie występowały w Biblii, ale matka mimo wszystko je znała i nazywała rumianymi, bo od niektórych człowiek się rumienił. Pewnego razu, akurat gdy ekran był czarny, usłyszałam od Obbego, że telewizor to oko Boga i że matka zamyka drzwiczki, kiedy nie chce, by nas oglądał. Pewnie wstydziła się za nas, bo czasem, nawet jak nie leciało *Lingo*, wykrzykiwaliśmy rumiane słowa, a matka – tak jakby to były tłuste plamy na naszych szkolnych mundurkach – starała się je usunąć, przyciskając do naszych policzków kostkę szarego mydła.

Po omacku szukałam sprzączki. Leżąc tak, zobaczyłam, że w kuchni zielone gumiaki ojca, których używał w oborze, zbliżają się do lodówki. Po bokach poprzylepiała się słoma, krowie gówno. Pewnie znów przyszedł wziąć z szuflady na warzywa pęczek marchewki; odcinał nać nożem do racic, który zawsze nosił w kieszeni na piersiach roboczego kombinezonu. Całe dnie krążył między lodówką a szopą z klatkami królików. Zabrał nawet kremówkę – została po siódmych urodzinach Hanny, i patrzyłam na nią łakomie za każdym razem, kiedy otwierałam lodówkę. Nie mogłam się powstrzymać, po kryjomu ułamałam paznokciem rożek różowej lukrowej polewy i wsadziłam do ust, zrobiłam też tunel w kremie, który w lodówce zgęstniał i utkwił na moim palcu jak żółtawa czapeczka. Ojciec tego nie zauważył.

– Kiedy coś sobie ubzdura, klinem mu tego z głowy nie wybijesz – mawiała babcia z klerykalnej gałęzi rodziny.

Podejrzewałam więc, że królika, którego dostałam od sąsiadki Lien, ojciec tuczy na bożonarodzeniowy obiad; dwie noce dzieliły nas od tego, by zasiąść do stołu w salonie. Do tej pory ojciec nigdy nie zajmował się królikami. Traktował całą tę „małą trzodę" raczej w kategoriach czegoś na talerz, a uwagę poświęcał wyłącznie zwierzętom, które swoją obecnością przysłaniały mu całe pole widzenia; mój królik nie przysłaniał go nawet w połowie. Ojciec powiedział kiedyś, że kręgi karku to najbardziej krucha część ciała – w głowie słyszałam ich trzask, podobny do trzasku wermiszelu, gdy matka łamała go nad garnkiem – do tego na belce na strychu całkiem niedawno zawisł sznur z pętlą.

– To na huśtawkę – oznajmił ojciec, choć nadal żadna huśtawka tam się nie pojawiła.

Nie rozumiałam, dlaczego sznur wisi na strychu, a nie zwyczajnie w szopie wśród śrubokrętów i nakrętek. A może, kombinowałam, ojciec chciał, żebyśmy na to patrzyli, może stanie się to, kiedy zgrzeszymy. Przemknął mi przed oczami obraz mojego królika ze skręconym karkiem, wiszącego bezwładnie na strychowym sznurze za łóżkiem Matthiesa, aby ojcu było go łatwiej oskórować. Zapewne będzie tak jak z parówką, z której matka co rano ściągała skórkę nożykiem do ziemniaków. Z tą różnicą, że Dieuwertje wsadzą do żeliwnego gara, w którym na małym ogniu będzie się dusić w śmietankowym maśle, aż cały dom zacznie pachnieć duszonym królikiem i rodzina Mulderów już z oddali poczuje, że trzeba swój apetyt chować na potem, gdy świąteczny obiad zostanie podany. O ile dotychczas musiałam oszczędnie karmić Dieuwertje, teraz mogłam dawać mu całą szufelkę karmy, oprócz naci marchwi, którą i tak już dostawał. Chociaż był samczykiem, nazwałam go imieniem spikerki z kręconymi włosami, tej z programu dla dzieci „Wiadomości Świętego Mikołaja", ponieważ wydawała mi się taka piękna. Najchętniej umieściłabym ją na samym szczycie listy moich priorytetów, ale jeszcze trochę z tym czekałam, bo i tak nie widziałam jej w gazetce reklamowej sklepu z zabawkami Intertoys.

Tego, że w przypadku mojego królika chodziło o coś więcej niż szczodrość, byłam pewna. Dlatego zaproponowałam inne zwierzęta, kiedy przed śniadaniem razem z ojcem poszłam zagonić krowy z pastwiska do

obory na zimę. W ręku miałam kij do ich poganiania. Najlepiej było szturchnąć je z boku, wtedy szły dalej.

– W mojej klasie dzieci jedzą kaczkę, bażanta albo indyka; od tyłka wypychają je ziemniakami, czosnkiem, porami, cebulą i burakami, aż się wybrzuszą.

Ojciec spojrzał na mnie z boku. Pokiwał głową. Na wsi różnie kiwano głową. To jedyne, czym można było się odróżnić. Zdążyłam już poznać wszystkie kiwnięcia. To było kiwnięcie, którego ojciec używał także wobec handlarzy bydła, kiedy zaproponowana cena była za niska, ale nie miał wyboru, bo biednemu zwierzęciu coś dolegało, więc i tak nie znalazłoby amatora.

– Tutaj aż roi się od bażantów, szczególnie w wiklinie – rzuciłam, patrząc na zarośnięty teren po lewej stronie od zagrody.

Widywałam je tam czasami, siedziały na drzewie lub na ziemi. Na mój widok kryły się w rozpadlinach i siedziały jak trusie, dopóki się nie oddaliłam. Ojciec znów skinął głową, uderzył kijem o ziemię i żeby pogonić krowy, zawołał:

– Noooo, poszła!

Po tej rozmowie zajrzałam do zamrażarki: wśród paczek mielonego, pół na pół wieprzowo-wołowego, oraz jarzynowych mieszanek na zupę nie było kaczki, bażanta ani indyka.

Gumowce ojca zniknęły z widoku. W kuchni na podłodze zostało tylko kilka słomek. Wsunęłam sprzączkę do kieszeni spodni i w samych skarpetkach poszłam po schodach do swojego pokoju, którego okno wychodziło na podwórze, kucnęłam na skraju łóżka i myślałam o dłoni ojca na mojej głowie; kiedy zagoniliśmy krowy do obory, wróciliśmy na pastwisko i sprawdzaliśmy kretołapki. Jeśli nic się nie złapało, ojciec trzymał ręce sztywno w kieszeniach spodni, wtedy nie można było prosić o nagrodę, ale kiedy się coś złapało, zardzewiałym śrubokrętem wydłubywaliśmy zakrwawione ciałka przytrzaśnięte zaciskami z obu stron; robiłam to pochylona, aby ojciec nie zauważył, że na widok drobnego życia, które niczego nie podejrzewając, wpadło w potrzask, po policzkach spływają mi łzy. Wyobrażałam sobie, jak ojciec dłonią skręca królikowi kark, jakby obracał nakrętkę butelki z azotem zabezpieczoną przed

dziećmi: jest na to tylko jeden sposób. I wyobrażałam sobie, jak matka kładzie pozbawionego życia Dieuwertje na tym srebrnym półmisku, na który w niedzielę po kościele wykłada huzarską sałatkę jarzynową. Podaje go na pierzynce z roszpunki i ozdabia ogórkiem, cząstkami pomidorów i tartą marchewką z odrobiną tymianku. Spojrzałam na swoje dłonie, na ich kapryśne linie. Były jeszcze za małe, nadawały się tylko do tego, by je objąć. Teraz mieściły się jeszcze w dłoniach ojca i matki, ale ich dłonie nie mieściły się w moich, to nas odróżniało: oni mogli swoje położyć na karku królika, na serze, który właśnie został obrócony w solance. Ich dłonie szukały. A skoro nie można objąć z miłością człowieka lub zwierzęcia, to lepiej dać sobie spokój i zająć się innymi rzeczami.

Przyciskałam czoło coraz mocniej do krawędzi łóżka, czułam, jak zimne drewno wbija się w moją skórę, i zamknęłam oczy. Czasem dziwiło mnie, że przed modlitwą trzeba gasić światło. A może to jest tak jak ze świecącą w ciemnościach kołdrą: musi być dość ciemno, żeby planety i gwiazdy świeciły i chroniły przed nocą, więc może Bóg działa podobnie? Splecione dłonie położyłam na kolanach. Byłam zła na Matthiesa i pomyślałam, że teraz pewnie pije ciepłe mleko czekoladowe przy jednym ze straganów zainstalowanych na lodzie, że za chwilę z wypiekami na twarzy ruszy dalej, że jutro będzie odwilż: spikerka z kręconymi włosami ostrzegała przed ślizgawicą na dachach oraz mgłą, w której pomagające Świętemu Mikołajowi Piotrusie mogłyby zabłądzić, może także Matthies, chociaż to akurat byłaby jego wina. Przez moment zobaczyłam przed oczami moje łyżwy, nasmarowane i schowane w pudełku – znów miały powędrować na strych. Pomyślałam, że tyle jest rzeczy, na które jeszcze jestem za mała, i że nikt ci nie powie, kiedy będzie się wystarczająco dużym ani ile to musi być centymetrów na futrynie, i poprosiłam Boga, czy nie mógłby wziąć mojego brata Matthiesa zamiast mojego królika. Amen.

# 3

– Chyba żyje? – powiedziała matka do weterynarza.

Usiadła wyprostowana na brzegu wanny i wysunęła dłoń z błękitnej myjki; właśnie miała myć pośladki Hannie, inaczej mogłyby się tam zagnieździć robaki, które dziurawią cię jak liście kapusty. Ja miałam już wystarczająco dużo lat i sama dbałam o to, by nie dostać robaków: teraz objęłam kolana ramionami, by wyglądać mniej goło, gdy weterynarz bez pukania wparował do łazienki. Zdyszanym głosem powiedział:

– Niedaleko tamtego brzegu, gdzie lód był zbyt cienki, przez farwater. On już dłuższy czas jechał na czele, stracili go z oczu.

Od razu się zorientowałam, że nie mówi o moim króliku Dieuwertje, który jeszcze przed chwilą siedział sobie zwyczajnie w klatce i gryzł nać marchwi. Głos weterynarza brzmiał poważnie. Często zachodził do nas, by porozmawiać o krowach. W ogóle większość ludzi przychodziła do nas, by rozmawiać o krowach, ale nie tym razem, weterynarz do tej pory ani słowem nie zająknął się o bydle, a przecież nawet jeśli miał na myśli nas, dzieci, zawsze pytał o krowy. Kiedy zwiesił głowę, wyciągnęłam tułów, żeby wyjrzeć przez okienko nad wanną. Zaczynało zmierzchać, grupka diakonów w czerni zbliżała się do domu, niebawem obejmą nas swymi ramionami; każdego dnia przybywali osobiście, przynosząc wieczór. Myślałam, że Matthies stracił rachubę czasu, tak się już zdarzało, i dlatego dostał od ojca zegarek z podświetlanymi wskazówkami, który teraz pewnie przez pomyłkę założył do góry nogami, a może jeszcze roznosił te świąteczne kartki? Osunęłam się z powrotem do wanny i wsparłam brodę na wilgotnych ramionach, przez rzęsy podglądałam matkę. Niedawno w drzwiach, w otworze na listy, została zainstalowana uszczelka szczotkowa, żeby w domu nie było przeciągu, i to przez nią wyglądałam czasami na zewnątrz, a teraz, ponieważ patrzyłam spod rzęs jak przez tę szczotkę, miałam wrażenie, że ani matka, ani weterynarz nie są świadomi, że przysłuchuję się ich rozmowie, że w myślach mogę wygumkować zmarszczki wokół ust i oczu matki, bo to nie miejsce dla nich, i kciukami

odcisnąć na jej policzkach dołeczki podobne do tych na sos w ziemniaczano-warzywnym purée. Matka raczej nie należała do osób kiwających głową, miała zbyt wiele do powiedzenia, teraz jednak kiwała głową i po raz pierwszy pomyślałam: powiedz coś, mamo, proszę, niech będzie o sprzątaniu, o cielakach, że znów chudną, o prognozie pogody na najbliższe dni, zacinających się drzwiach do sypialni, naszej niewdzięczności, zaschniętej paście do zębów w kącikach ust. Milczała. Patrzyła na myjkę w dłoni. Weterynarz wyciągnął spod umywalki podnóżek i usiadł na nim, stołek zatrzeszczał pod jego ciężarem.

– Evertsen, ten gospodarz, wyłowił go z jeziora. – Na moment zamilkł, przeniósł spojrzenie z Obbego na mnie i dodał: – Wasz brat nie żyje.

Odwróciłam od niego wzrok i patrzyłam na ręczniki, które sztywne od mrozu wisiały przy umywalce, chciałam, żeby weterynarz wstał i powiedział, że to wszystko pomyłka. Że krowy niewiele się różnią od synów, też pewnego dnia idą w szeroki świat, lecz przed zachodem słońca, przed porą karmienia, wracają do obory.

– Poszedł na łyżwy – odezwała się matka. – Zaraz wróci.

Wyżymała myjkę nad wodą, a krople spadały i robiły na wodzie kręgi. Trąciła moje podciągnięte pod brodę kolana. Z tego wszystkiego puściłam łódeczkę Lego na fale, które robiła Hanna. Ona nic nie rozumiała z tego, co właśnie zostało powiedziane, a ja wykombinowałam, że też mogłabym się zachowywać, jakbym miała zatkane uszy zatyczką, której już nigdy nie będzie można wyciągnąć. Woda ostygła i zanim się zorientowałam, zaczęłam robić siku. Patrzyłam na siki w kolorze ochrowej żółci, jak rozchodziły się chmurą w wodzie i się z nią mieszały. Hanna tego nie zauważyła, inaczej zapiszczałaby: „Świntucha!”. Swoją Barbie trzymała w dłoni nad wodą. „Inaczej utonie”, mówiła. Lalka miała na sobie strój kąpielowy w paski – pewnego razu wsunęłam palec pod materiał, aby poczuć plastykowe cycuszki; nikt tego nie spostrzegł. W dotyku były twardsze od kaszaka na brodzie ojca. Spojrzałam na nagie ciało Hanny, było takie jak moje. Tylko Obbe był inny. Stał obok wanny, jeszcze w ubraniu, właśnie opowiadał o grze komputerowej, że musiał strzelać do ludzi, którzy wybuchali jak mięsiste pomidory, i po nas miał wejść do wanny. Tam, na dole, z tego co wiedziałam, miał kranik, którym mógł sikać, a pod nim coś jeszcze, co zwisało jak korale indora. Czasem się

martwiłam, bo nikt nie wspominał o tym, co mu tam zwisa. Może był śmiertelnie chory. Matka mówiła o tym „siusiak", ale może nazywało się to „rak" i nie chciała nas straszyć, bo babcia z nieklerykalnej gałęzi rodziny umarła na raka. Tuż przed śmiercią zrobiła ajerkoniak i ojciec powiedział, że śmietana skwaśniała, kiedy ją znaleźli, i że jak ktoś umiera, nagle lub planowo, to wszystko robi się kwaśne, a ja potem tygodniami nie mogłam spać, bo wciąż widziałam w ciemności twarz babci w trumnie – z jej półotwartych ust, oczodołów i porów sączył się ajerkoniak płynny jak żółtko.

Matka chwyciła mnie i Hannę za ramiona i wyciągnęła z wanny, jej palce zostawiły na mojej skórze białe placki. Zazwyczaj narzucała na nas ręcznik kąpielowy, a na koniec pytała, czy wytarłyśmy się do sucha, żebyśmy nie zardzewiały albo jeszcze gorzej, nie spleśniały, jak fugi między kafelkami, teraz jednak zostawiła nas na łazienkowej macie, szczękałyśmy zębami, a ja pod pachami miałam jeszcze mydliny.

– Tylko wytrzyj się do sucha – szepnęłam do siostrzyczki, która stała obok i trzęsła się z zimna; podałam jej szorstki ręcznik. – Inaczej wkrótce trzeba będzie cię odkamieniać.

Pochyliłam się, aby sprawdzić palce u stóp, bo tam pleśń mogła się pojawić najpierw; w ten sposób nikt nie zauważy moich pąsowych policzków przypominających dwie Fireballs. *Jeśli królik i chłopiec ścigają się, to ile kilometrów na godzinę potrzebuje jeden z nich, aby wygrać zawody?* Słyszałam w głowie głos nauczyciela, który wskaźnikiem kłuł mnie w brzuch, zmuszając do odpowiedzi. Po palcach u stóp sprawdziłam szybko opuszki palców u rąk – ojciec żartował czasem, że zejdzie nam tam skóra, jeśli za długo będziemy siedzieć w wannie, i że będzie musiał ją potem przybić gwoździem do drewnianej ściany stodoły, obok oskórowanych królików. Kiedy już się wyprostowałam i zarzuciłam na siebie ręcznik, nagle obok weterynarza wyrósł ojciec. Drżał, na ramionach kombinezonu miał płatki śniegu, był blady jak śmierć. Dłonie złożył w miseczkę i chuchał w nią raz po raz. Najpierw pomyślałam o lawinach, o których opowiadał nauczyciel, chociaż one na pewno nie zdarzają się na równinie. Zorientowałam się, że to nie mogła być lawina, kiedy ojciec zaczął płakać, a Obbe, by ukryć łzy, kręcił głową wte i wewte, jak robią wycieraczki auta.

Na prośbę matki sąsiadka Lien jeszcze tego samego dnia rozebrała choinkę. Siedziałam z Obbem na sofie, schowana za wesołymi główkami Berta i Erniego na piżamie, chociaż moje obawy przerastały ich o głowę, sterczały nad ich czuprynami, i skrzyżowałam palce obu dłoni, jak kiedyś robiliśmy w szkole na dziedzińcu, gdy się powiedziało coś, czego się nie miało na myśli i chciało się unieważnić swoje obietnice, wszystkie swoje modlitwy; oboje patrzyliśmy z żalem, jak wywlekana z pokoju choinka pozostawia za sobą ślad anielskich włosów i świerkowych igieł. Dopiero wtedy poczułam ukłucie w piersiach, większe niż kiedy weterynarz przyniósł wiadomość: Matthies pewnie wkrótce wróci, ale choinka już nie. Kilka dni temu pozwolono nam ubrać drzewko, na którym zawiesiliśmy małe grube mikołaje, błyszczące bombki, aniołki i łańcuchy, i czekoladki z dziurką, wszystko przy wtórze piosenki *Jimmy* Boudewijna de Groota, tekst śpiewaliśmy bezbłędnie, wyczekując linijki z „talerzem na łeb biznesmena", bo nie wolno nam było mówić „łeb". A teraz patrzyliśmy przez okno w dużym pokoju, jak Lien na taczce wywozi drzewko gdzieś na stronę i chowa pod pomarańczowym brezentem. Wystawał spod niego tylko srebrny szpic, bo zapomnieliśmy go zdjąć. Co miałam mówić: po co nam szpic, skoro nie mamy już choinki? Sąsiadka Lien jeszcze kilka razy poprawiała pomarańczowy brezent, jakby to miało jakoś zmienić widok, całą sytuację. Ostatnio Matthies woził mnie na tej taczce w kółko i musiałam obiema rękami trzymać się krawędzi pokrytych cienką warstwą zaschłego gnoju. Zauważyłam wtedy, że jego plecy zgarbiły się od harówki, zupełnie jakby pracując do upadłego, zbliżał się do ziemi. Mój brat nagle zaczął biec szybciej i na każdym wyboju z lekka podskakiwałam. A teraz pomyślałam sobie, że powinno być na odwrót. Tamtego dnia to ja powinnam wozić Matthiesa po podwórzu, naśladując dźwięk silnika, chociaż pewnie był o wiele za ciężki, aby go odstawić na stronę, przykryć pomarańczowym brezentem, jak przykrywano martwe cielaki, i dać wywieźć, zapomnieć o nim. Następnego dnia urodziłby się na nowo i ten wieczór niczym by się nie różnił od pozostałych.

– Aniołki są gołe – szepnęłam do Obbego.

Leżały przed nami na kredensie obok czekoladowych gwiazdek, które roztopiły się w swoich koszulkach. Tym razem aniołki nie ukrywały swoich

siusiaków pod trąbkami czy gałązkami jemioły. Ojciec pewnie nie zauważył, że nie miały ubranek, inaczej wsadziłby je z powrotem w sreberka. Kiedyś jednemu aniołkowi ułamałam skrzydełka, żeby zobaczyć, czy mu same odrosną. Bóg mógł przecież się o to postarać. Chciałam mieć znak, że istnieje, że jest dla nas także za dnia. Wydawało mi się to praktyczne – mógłby na wszystko uważać, pilnować Hanny, a krowy chronić przed gorączką mleczną i zapaleniem strzyków. Ale nic się nie wydarzyło, a nadłamana biel była zbyt widoczna, więc pogrzebałam aniołka w ogródku warzywnym pośród kilku zapomnianych czerwonych cebul.

– Anioły zawsze są gołe – wyszeptał Obbe.

Wciąż jeszcze się nie wykąpał, przez szyję miał przewieszony ręcznik, który trzymał za końce, jakby był gotów stanąć do walki. Woda z moimi sikami w wannie pewnie zrobiła się już lodowata.

– Nie przeziębią się?

– Są zimnokrwiste, tak jak węże i rozwielitki, wtedy nie potrzeba ubrań.

Pokiwałam głową, ale kiedy do pokoju weszła sąsiadka Lien, dla pewności pospiesznie położyłam rękę na porcelanowym siusiaku jednego z aniołków; usłyszałam, jak w przedpokoju wyjątkowo starannie wycierała nogi. Od tej chwili każdy gość będzie wycierać nogi staranniej niż to konieczne. Śmierć dopraszała się przede wszystkim o powściągliwość, o odroczenie bólu. O pochylenie się nad drobiazgami, tak jak matka zwykła sprawdzać paznokcie po robieniu serów, czy nie zostały pod nimi zaschnięte kawałki podpuszczki. Przez chwilę miałam nadzieję, że Matthies towarzyszy Lien. Że ukrył się w pustym drzewie za łąką, ale teraz miał już dość tej zabawy i w końcu się zjawił. Tymczasem na dworze chwycił mróz. Dziury wywiane w lodzie podmuchami wiatru pewnie na nowo zamarzały, a mój brat nie może pod lodem znaleźć wyjścia i musi w pojedynkę przeszukiwać całe jezioro, na dodatek zrobiło się ciemno choć oko wykol, zgaszono nawet przenośny reflektor związku łyżwiarskiego. Kiedy Lien uporała się z wycieraniem nóg, zaczęła rozmawiać z matką, tak cicho, że niczego nie słyszałam. Widziałam tylko jej poruszające się usta, usta matki pozostawały nieruchome, zaciśnięte jak dwa złączone nagie ślimaki. Zsunęłam rękę z siusiaka aniołka, skoro nikt się tym nie interesował, i zobaczyłam, jak matka idzie do kuchni, wpinając kolejną

wsuwkę w węzeł włosów. Wciąż dodawała nowe wsuwki, jakby próbowała unieruchomić głowę, żeby się nagle nie otworzyła i nie pokazała tego, co się dzieje w środku. Wróciła z czekoladowymi krążkami z posypką. Razem je kupiłyśmy w kramie „Przy schodkach" na rynku, wyczekiwałam chwili, kiedy poczuję ich kruche wnętrze na zębach, trzask posypki, jednak matka dała je Lien, placek z ryżowego puddingu z lodówki i roladę, którą ojciec przyniósł od rzeźnika, też, a nawet osiemdziesięciometrową rolkę czerwono-białej taśmy. A moglibyśmy przecież obwiązać nią swoje ciała, żeby nie rozpadły się na plasterki. Potem pomyślałam, że właśnie tutaj zaczęła się pustka: to nie była wina śmierci, ale tych dwóch dni Bożego Narodzenia, które zostało rozdane w garnkach i pudełkach po huzarskiej sałatce jarzynowej.

# 4

W salonie stała trumna z moim bratem w środku, dębowa, z okienkiem na wysokości twarzy i z metalowymi uchwytami; stała tak już trzy dni. Pierwszego dnia Hanna zastukała palcami w szybę i powiedziała słabiutkim głosem:

– Teraz to już nie jest śmieszne, zachowuj się normalnie.

I na chwilę zamarła w bezruchu, jakby się obawiała, że Matthies coś szepnie, a ona go nie usłyszy, jeśli nie zamilknie. Nie doczekała się odpowiedzi, więc poszła bawić się lalkami za sofą; jej drobne ciałko drżało jak u ważki, chciałabym ją chwycić kciukiem i palcem wskazującym i pochuchać, aby się ogrzała. Ale nie byłam w stanie jej powiedzieć, że Matthies będzie odtąd spać wiecznie, że my będziemy mieli teraz tylko takie okienko w naszych sercach i tam będzie pochowany nasz brat, a poza babcią z nieklerykalnej gałęzi rodziny nie znaliśmy nikogo, kto by spał wiecznie, choć na koniec i tak mamy wszyscy powstać, „jak Bóg da, będziemy żyć", mawiała babcia z klerykalnej gałęzi rodziny; miała po przebudzeniu artretyczne bóle w kolanie i nieświeży oddech, „jakbym połknęła zdechłego wróbla". Ani ten ptaszek, ani mój brat już się nie obudzą.

Trumna stała na bufecie przykrytym białym dzierganym obrusem, na urodzinach ustawiano tam serowe paluszki, orzeszki, szklanki z kruszonem, dziś też wokół gromadzili się ludzie, ale chowali nosy w chusteczki lub w czyjś kark. Ładnie mówili o moim bracie, tymczasem śmierć była brzydka i nie do strawienia, jak zagubiony orzeszek tygrysi, który wiele dni po urodzinach znaleźliśmy gdzieś pod krzesłem, a może pod szafką z telewizorem. Nagle wydało mi się, że twarz Matthiesa jest z wosku, taka gładka i napięta, pielęgniarki powkładały mu pod powieki bibułki, aby oczy się nie otwierały, chociaż wolałabym, żeby były otwarte, żebyśmy raz jeszcze mogli na siebie spojrzeć, żebym była pewna, że nie zapomnę koloru jego oczu, żeby i on mnie też nie zapomniał. Kiedy druga gromada ludzi sobie poszła, próbowałam rozewrzeć jego powieki

i przypomniała mi się papierowa bożonarodzeniowa stajenka, którą zrobiłam w szkole, z kolorowej bibułki zamiast witraży i z figurkami Marii i Józefa; podczas świątecznego śniadania stawiało się za nią świeczkę, która podświetlała bibułkę, tak by Jezus mógł się narodzić w rozświetlonej stajence. Ale oczy mojego brata były szare i szkliste, bez witrażowego wzoru; szybko zamknęłam mu powieki i zasunęłam okienko. Usiłowali podrobić jego nażelowane loki, ale zwisały tylko z czoła jak zwiędłe zbrązowiałe strąki. Matka i babcia ubrały Matthiesa w dżinsy i jego ulubiony sweter, niebiesko-zielony z napisem HEROES na piersi. Większość znanych mi bohaterów potrafiła skakać z wieżowców lub przejść przez morze ognia z kilkoma tylko draśnięciami. Nie rozumiałam, dlaczego tak nie było w przypadku Matthiesa i że od teraz będzie nieśmiertelny tylko w naszych myślach. Trzeba jednak pamiętać, że kiedyś uratował czaplę, w ostatniej chwili, inaczej zwierzę pocięte przez kombajn na kawałki wylądowałoby w beli siana, rzucone potem krowom jako karma.

Zza drzwi, za którymi się schowałam, usłyszałam, jak babcia, ubierając mojego brata, mówi do niego:

– Wiedziałeś przecież, że zawsze trzeba płynąć do czerni.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak można płynąć do czerni. Chodziło o odcienie kolorów. Jeśli na lodzie leży śnieg, trzeba szukać światła, ale kiedy nie ma śniegu, lód jest jaśniejszy od przeręblа, więc należy płynąć do czerni. Matthies sam mi o tym kiedyś opowiadał; przed pójściem na łyżwy zajrzał do mojego pokoju i w wełnianych skarpetach pokazywał mi, jak na zmianę trzeba się ślizgać, to oddalając, to zbliżając do siebie łyżwy. Mówił o tym: „robić rybki". Przyglądałam mu się z łóżka i językiem uderzałam o podniebienie, wydając taki odgłos jak panczeny na lodzie w telewizji, co nam się strasznie podobało. Teraz jednak mój język leżał w ustach jak zdradziecki farwater. Nie odważyłam się wydać tego dźwięku.

Babcia przyszła z dużego pokoju z butelką mydła Zwitsal – może dlatego podłożyli mu pod powieki bibułki, żeby nie dostało się tam mydło i nie piekło. Kiedy go doprowadzą do porządku, pewnie je usuną, tak jak robiliśmy ze świeczką w mojej papierowej stajence, zdmuchiwaliśmy ją, aby Maria i Józef mogli żyć po swojemu. Babcia przytuliła mnie do piersi, pachniała naleśnikami zrobionymi na młodziwie, z boczkiem i melasą. Na kuchennym blacie był ich jeszcze cały stos, zostały po obiedzie, tłustawe od

masła, z chrupiącymi brzegami. Ojciec spytał, kto ułożył na jego naleśniku buźkę z jeżynowego dżemu, rodzynek i jabłek; przez moment rozglądał się po wszystkich, w końcu zawiesił wzrok na babci, która uśmiechnęła się do niego tak radośnie jak jego naleśnik.

– Biedne chłopaczysko, teraz ładnie wygląda – powiedziała.

Na twarzy babci pojawiało się coraz więcej brązowych plamek, jak na jabłkach, które pocięła na plasterki, żeby zrobić naleśnikowi usta. Na starość robisz się przejrzały.

– Czy nie moglibyśmy podłożyć mu do trumny zawiniętego naleśnika? To było ulubione danie Matthiesa.

– Zacznie śmierdzieć. Chcesz zwabić robaki?

Odsunęłam głowę od jej piersi i spojrzałam na aniołki, które ułożone w pudełku, były już na drugim stopniu schodów w drodze na strych. Pozwolono mi zawinąć je w sreberka, jeden po drugim, twarzyczkami do dołu. Wciąż nie zaczęłam płakać, próbowałam, ale mi się nie udawało, nawet gdy sobie wyobrażałam, jak Matthies zapada się w przerębel, jak dłońmi maca lód, szuka otworu, jasności czy czerni, w ubraniu i panczenach ciężkich od wody. Wstrzymywałam oddech; nie dawałam rady dłużej niż pół minuty.

– Nie – odparłam. – Nienawidzę tych tchórzliwych robaków.

Babcia uśmiechnęła się do mnie. Wolałabym, żeby przestała się tak uśmiechać i żeby ojciec pojeździł jej po twarzy widelcem i wszystko wymieszał, jak na swoim naleśniku. Dopiero kiedy została sama w salonie, usłyszałam jej stłumiony szloch.

Każdej kolejnej nocy schodziłam na dół sprawdzić, czy mój brat naprawdę nie żyje. Leżałam potem długo w łóżku, wierciłam się i robiłam świecę na materacu, wyrzucając nogi w górę i podkładając ręce pod biodra. W porannym świetle śmierć wydawała się oczywista, ale kiedy zapadał zmierzch, pojawiały się wątpliwości. A co, jeśli niedobrze popatrzyliśmy i obudzi się pod ziemią? Za każdym razem miałam nadzieję, że Bóg jednak mnie nie wysłuchał, gdy modliłam się, by ochronił Dieuwertje; jak wtedy – musiałam mieć jakieś siedem lat – kiedy prosiłam o nowy rower, czerwony, co najmniej z siedmioma przerzutkami i miękkim siodełkiem na dwóch sprężynach, żeby nie bolała mnie pupa, gdy pedałowałam ze szkoły do

domu pod wiatr. Nigdy nie dostałam tego roweru. Teraz miałam nadzieję, że kiedy zejdę na dół, to pod białym płótnem będzie leżeć nie Matthies, tylko mój królik. Rzecz jasna będę smutna, ale przecież to coś innego niż pulsujące żyły na czole, kiedy w łóżku próbowałam wstrzymywać oddech, by zrozumieć śmierć, albo kiedy tak długo robiłam świecę, aż cała krew spływała mi do głowy jak parafina. W końcu opuściłam nogi na materac i po cichutku otworzyłam drzwi sypialni, na palcach przeszłam korytarz i zeszłam na dół. Ojciec mnie uprzedził: dostrzegłam go na schodach między tralkami, siedział na krześle obok trumny, z głową na okienku. Spojrzałam na jego zmierzwione blond włosy, zawsze pachnące krowami, nawet po kąpieli; przygarbione ciało raz po raz przeszywał dreszcz, nos wycierał o rękaw piżamy, materiał pewnie stwardnieje w tym miejscu, jak wyschną smarki, tak jak rękawy mojej kurtki. Gdy tak patrzyłam na niego, poczułam kłucie w piersi i wyobraziłam sobie, że oglądam któryś z kanałów telewizyjnych, Nederland 1, 2 lub 3, i że w każdej chwili będę go mogła przełączyć na inny, jeśli poczuję, że nie daję rady. Ojciec siedział już tak długo, że zaczęły mi marznąć nogi. Potem wstał, odsunął krzesło i poszedł spać – rodzice mieli wodne łóżko, w które teraz ojciec się zapadnie – zeszłam po schodach i usiadłam na tym samym krześle, było jeszcze ciepłe. Przycisnęłam usta do okienka, tak jak w snach do lodu, i chuchnęłam. Poczułam słony smak łez ojca. Twarz Matthiesa była biała jak świeży śnieg, usta zrobiły się sine, to urządzenie chłodzące go mroziło. Najchętniej wyłączyłabym je, odtajałby w moich ramionach i zataszczyłabym go na górę, przespalibyśmy sobie jedną nockę, jak mawiał ojciec, kiedy źle się zachowywaliśmy i musieliśmy iść do łóżek bez kolacji; wtedy spytałabym go, czy sądzi, że to właściwy sposób, by nas opuścić.

Pierwszej nocy, kiedy trumna stała w salonie, ojciec zobaczył, jak siedzę z rękoma splecionymi wokół tralek na schodach i wciskam między nie głowę. Pociągnął nosem i powiedział:

– Włożyli mu do odbytu watę, żeby zatamować gówno. W środku musi być jeszcze ciepły, to mnie jakoś uspokaja.

Wstrzymałam oddech i zaczęłam liczyć: trzydzieści trzy sekundy bezdechu. Jeszcze trochę i będę mogła wstrzymać oddech na tyle długo, by móc wyłowić Matthiesa z jego snu; jak żabi skrzek, który wiosną wyciągaliśmy siatką z rowu za oborą i wkładaliśmy do wiadra, a kijanki

powoli dostawały ogonków i nóżek, tak samo Matthies powoli zmieni się z martwego w pełnego werwy.

Następnego dnia ojciec stanął na dole przy schodach i zawołał, czy nie pojechałabym z nim po buraki pastewne do Janssena, a potem z burakami na nowe pole. Wolałabym zostać przy bracie, upewnić się, że nie zacznie tajać pod moją nieobecność, że nie wytopi się z naszego życia jak płatek śniegu, ale nie chciałam rozczarować ojca, więc włożyłam na czerwoną kurtkę kombinezon i zaciągnęłam zamek aż pod samą szyję. Traktor był tak stary, że na wszystkich nierównościach strasznie trzęsło i musiałam się mocno trzymać krawędzi otwartego okienka. Z niepokojem patrzyłam na ojca, na jego twarzy widoczne były jeszcze odgniecenia po śnie, wodne łóżko wyrysowało na jego skórze rzeki, odcisnęło jezioro. Nie mógł zasnąć z powodu rozkołysanego ciała matki, z powodu własnego rozkołysanego ciała, na samą myśl, że ciała się kołyszą, kiedy są w wodzie. Jutro kupią zwykły materac. Burczało mi w brzuchu.

– Chce mi się kupę.

– Dlaczego nie zrobiłaś przed chwilą w domu?

– Bo jeszcze mi się nie chciało.

– Jak to, a teraz czujesz, że ci się chce?

– Ale naprawdę. I myślę, że to rzadka kupa.

Ojciec zatrzymał traktor na polu, wyłączył silnik i ramieniem pchnął drzwiczki obok mnie.

– No to kucaj tam pod drzewem, pod jesionem.

Szybko wygramoliłam się z kabiny, ściągnęłam kurtkę, opuściłam kombinezon i majtki do kolan; wyobraziłam sobie, że rzadka kupa rozpryskuje się po trawie jak sos karmelowy Tovy, którym babcia polewała ryżowy pudding, więc zacisnęłam pośladki. Ojciec wsparł się na kole ciągnika, zapalił papierosa i spojrzał w moją stronę.

– Jak to potrwa jeszcze dłużej, to krety wlezą ci do pupy.

Zaczęłam się pocić, przypomniała mi się wata, o której mówił ojciec, i wyobraziłam sobie, że kiedy mój brat zostanie pochowany, krety zaraz

zaczną kopać w nim całe systemy korytarzy, a potem zryją wszystko we mnie. Moja kupa była moja, ale w źdźbłach trawy już całego świata.

– Po prostu duś – powiedział ojciec.

Podszedł do mnie i podał mi używaną chusteczkę. Miał groźną minę. Nie znałam go takiego, choć wiedziałam, że nienawidzi czekać, bo wtedy za długo zostaje sam ze sobą i zaczyna za dużo palić. Nikt we wsi nie zostawał długo sam ze sobą, mogło się wtedy zdarzyć, że plon zmarnieje, a znaliśmy tylko plon na polu, nie w sobie. Oddychałam dymem ojca, niech jego troski staną się moimi. Potem pomodliłam się naprędce, prosząc Boga, żeby zechciał dać mi raka od tego dymu z papierosów, jeśli w zamian, jak już będę wystarczająco duża, zgłoszę się do pomocy przy przenoszeniu żab na miejsca lęgu. „Sprawiedliwy troszczy się o swoją trzodę", przeczytałam kiedyś w Biblii, więc uznałam, że jestem poza zasięgiem chorób.

– Już mi się odechciało – powiedziałam.

Dumnie podciągnęłam majtki i kombinezon, zapięłam kurtkę i zaciągnęłam zamek do samego końca, pod szyję. Byłam w stanie powstrzymać kupę. Od teraz niczego, czego nie chciałabym się pozbyć, nie będę tracić.

Ojciec zadeptał papierosa w kretowisku.

– Pić dużo wody, to pomaga też cielakom. Inaczej pewnego dnia wyjdzie drugą stroną.

Położył mi dłoń na głowie, starałam się iść wyprostowana. A więc powinnam uważać na dwie rzeczy: wymioty i biegunkę.

Wróciliśmy do ciągnika. Nowe pole było starsze ode mnie, jednak nadal się tak nazywało. Podobnie mówiono o doktorze, który mieszkał przy wale powodziowym, tam gdzie teraz jest plac zabaw z nierówną zjeżdżalnią. Mówiliśmy na ten plac „u starego doktora", kiedy umawialiśmy się, że tam będziemy się bawić.

– Myślisz, że robaki będą podżerać Matthiesa? – zapytałam ojca, kiedy tak szliśmy.

Nie miałam odwagi spojrzeć na niego. Ojciec czytał kiedyś z Izajasza: „Strącony w otchłań twój przepych i twoich harf muzyka! Pod tobą pościel z robactwa i twoją kołdrą są larwy", a teraz bałam się, że to stanie się

z moim bratem. Ojciec bez słowa szarpnął drzwiczki ciągnika. Roztrzęsiona zobaczyłam przed sobą ciało brata podziurawione jak perforowana folia na truskawki.

Kiedy przyjechaliśmy po buraki pastewne, okazało się, że część z nich jest nadgniła. Biała papka przypominała ropę i gdy je podnosiłam, kleiła mi się do palców, ojciec niedbale rzucał je do tyłu na wóz. Wydawały głuche dźwięki. Za każdym razem, kiedy na mnie spoglądał, czułam, że palą mnie policzki. To jak z oglądaniem telewizji, sądzę, że powinno się wyznaczyć pory, kiedy ojciec i matka mogą na mnie patrzeć, a kiedy nie. Może Matthies nie wrócił do domu dlatego, że drzwiczki od szafki z telewizorem były zamknięte i nikt nas nie pilnował?

Nie miałam odwagi zadawać ojcu kolejnych pytań o Matthiesa, rzuciłam ostatni burak pastewny na wóz i zajęłam swoje miejsce w kabinie. Na zardzewiałym rancie nad lusterkiem wstecznym była nalepka z napisem: „Doi się krowy, nie rolników".

Kiedy wróciliśmy do gospodarstwa, ojciec z pomocą Obbego wyciągnął na dwór granatowe łóżko wodne, wyjął szyjkę zaworu, odkręcił zabezpieczający kurek i wylał wodę na podwórze. Szybko zrobiła się tam cienka warstwa lodu. Nie miałam odwagi wejść na lód w obawie, że wszystkie noce ojca i matki będą trzeszczeć, że załamie się pode mną. Ciemny materac kurczył się powoli jak paczka kawy, kiedy odsysa się z niej powietrze. Ojciec go zwinął i położył przy drodze obok taczki z choinką, po którą w poniedziałek przyjadą z Rendaca, zabierając śmieci. Obbe szturchnął mnie i powiedział:

– O, jedzie.

Spojrzałam tam, gdzie wskazywał palcem, i zobaczyłam na wale przeciwpowodziowym czarny jak smoła karawan, zbliżał się niczym wielki kruk, skręcił w lewo i wjechał na podwórze, na warstwę lodu z wodnego łóżka: faktycznie lód zatrzeszczał. Wysiedli pastor Renkema i dwóch moich wujów. Ojciec wybrał ich i jeszcze dwóch gospodarzy, Evertsena i Janssena, aby zanieśli dębową trumnę do karawanu, a potem do zboru, przy dźwiękach pieśni 416 *Krocz razem z Bogiem, a On przy tobie będzie trwać* z akompaniamentem zespołu muzycznego Matthiesa, w którym od wielu lat brat grał na puzonie, i tego dnia tylko jedna rzecz się zgadzała – to, że bohaterów nosi się na rękach.

# Część II

# 1

Z bliska brodawki na skórze ropuch przypominają kapary. Ich zielonkawe kwiatowe pączki wydają mi się ohydne. Jeśli zgnieciesz taki palcami, wychodzi z niego kwaśne świństwo, jak z trujących gruczołów ropuchy. Pcham patykiem pulchny żabi zad. Czarny pasek biegnie przez jej plecy, ropucha się nie rusza. Pcham mocniej i widzę, jak chropowata skóra fałduje się wokół patyka, ropucha przez moment dotyka gładkim brzuchem rozgrzanego pierwszymi promieniami wiosennego słońca asfaltu, na którym śluzowate zwierzęta uwielbiają przesiadywać.

– Ja tylko chcę ci pomóc – szepczę.

Lampion, który dostałam pod naszym zborem, odstawiam na bok, na nawierzchnię drogi prowadzącej przez polder. Jest biały z żebrowatymi zagięciami pośrodku.

– Słowo Boże jest lampą dla stóp i światłem na drodze życia – powiedział pastor Renkema, rozdając dzieciom lampiony.

Jeszcze nie ma ósmej, a moja świeczka już do połowy się wypaliła. Mam nadzieję, że Słowo Boże nie będzie mnie przez to gorzej opromieniać.

W świetle lampionu widzę, że ropucha nie ma na przednich łapach błon. Może taka się urodziła albo czapla je wyskubała, a może było tak, jak z dziwną nogą ojca, którą ciąga po podwórzu niczym zbyt ciężki worek z piaskiem na pryzmie sianokiszonki.

– Dla każdego jest po lemoniadzie i milky wayu – słyszę za sobą głos jednego z parafialnych wolontariuszy.

Na samą myśl, że miałabym zjeść milky waya w miejscu, gdzie nie ma w pobliżu toalety, ściska mnie w żołądku. Nigdy nie wiesz, czy ktoś nie kichał nad lemoniadą, nie napluł do niej albo czy sprawdzono termin przydatności do spożycia milky wayów; warstewkę czekolady na słodowym nugacie na pewno pokrywa biały nalot, podobnie jak język, gdy jest się chorym. Wkrótce potem nastąpi śmierć, jestem tego pewna. Staram się zapomnieć o milky wayu.

– Jak się nie pospieszycie, będziecie miały na plecach nie tylko pasek, ale też ślady opon – szepczę do ropuch.

Kolana bolą mnie od siedzenia w kucki. Ropucha nadal nie daje oznak życia. Inna próbuje jechać na gapę na jej grzbiecie, stara się chwycić ją przednimi łapami za pachwiny, ale wciąż się ześlizguje. Pewnie mają wodowstręt, tak jak ja. Wstaję, biorę lampion, a kiedy nikt nie widzi, wsuwam dwie ropuchy do kieszeni kurtki i szukam w grupie ludzi dwóch odblaskowych kamizelek. Matka nalegała, abyśmy je założyli:

– Bez tych kamizelek możecie wkrótce rozpłaszczyć się jak przejechane ropuchy, nikt by tego nie chciał. A tak sami staniecie się lampionikami.

Obbe powąchał materiał:

– No ja tego na pewno nie założę. Wyjdziemy na głupków w tych śmierdzących i przepoconych kamizelkach. Nikt takich nie nosi.

Matka westchnęła:

– Wam nigdy nie można dogodzić, co?

Zauważyłam, że opadają jej kąciki ust. Ostatnio ciągle są w dole, jakby zawieszono na nich obciążniki w kształcie owoców, takie jak przy obrusie na stole ogrodowym.

– Ależ skąd, dogadza nam mama. Oczywiście, że je założymy – powiedziałam i dałam znak Obbemu.

Kamizelki zakłada się tylko na teście rowerowym w ósmej klasie, podczas którego matka co roku odgrywa ważną rolę. Siada wówczas na krzesełku rybackim przy jedynym skrzyżowaniu we wsi i rzuca wokół zatroskane spojrzenia; usta w ciup – mak, który nie chce się rozchylić. Ma za zadanie pilnować, by każdy porządnie wyciągał rękę przy skręcie i potrafił zachować się bezpiecznie na drodze. Na skrzyżowaniu po raz pierwszy wstydziłam się za matkę.

Kamizelka odblaskowa zbliża się do mnie. To Hanna, trzyma w prawej ręce czarne wiadro z ropuchami, kamizelkę ma do połowy rozpiętą, poły trzepocą na wietrze. Zaczynam się martwić.

– Musisz się zapiąć.

Hanna unosi brwi, klamerki na płótnie twarzy; patrzy na mnie z irytacją. Teraz, kiedy słońce świeci mocniej, wokół jej nosa pojawia się coraz więcej piegów. Przez moment mam przed oczami taki obraz: rozpłaszczona

Hanna, a wokół niej na bruku rozrzucone piegi, jak porozjeżdżane ropuchy. I musimy zdrapywać ją z nawierzchni szpadlem.

– Ale mi gorąco – mówi Hanna.

Między nami nagle wyrasta Obbe. Długie blond włosy zlepione w tłuste strąki okalają jego twarz. Raz po raz zakłada je za uszy, ale po chwili wracają na swoje miejsce.

– Popatrzcie, ta wygląda jak pastor Renkema, widzicie tę szeroką głowę i wybałuszone oczy? Renkema też nie ma szyi.

W dłoni trzyma brązową ropuchę. Śmiejemy się, ale nie za głośno. Nie wolno sobie żartować z pastora, tak samo jak z Boga, obaj są serdecznymi przyjaciółmi, a z takimi trzeba uważać. Ja nie mam jeszcze serdecznej przyjaciółki, ale w pierwszej klasie gimnazjum będzie wiele dziewcząt i któraś mogłaby nią zostać. Obbe jest pięć klas wyżej ode mnie i chodzi do ogólniaka, Hanna uczy się ze mną w podstawówce, dwie klasy niżej. I ma tyle przyjaciółek, co Bóg apostołów.

Nagle Obbe unosi lampion nad głową ropuchy. Jej skóra zaczyna lśnić żółtawym odcieniem. Zwierzę przymyka oczy. Obbe szczerzy zęby.

– Lubią ciepło – mówi. – Dlatego na zimę chowają te swoje wstrętne głowy w błocie.

Przybliża lampion jeszcze bardziej. Kapary robią się czarne i chrupiące, kiedy się je przypiecze. Chcę odsunąć rękę Obbego, ale akurat zbliża się kobieta z lemoniadą i milky wayami. Obbe szybo wkłada ropuchę do wiadra. Kobieta od lemoniady ma na koszulce napis: „UWAGA! ROPUCHY NA DRODZE". Musiała zobaczyć wystraszoną twarz Hanny, bo pyta, czy wszystko u nas w porządku i czy nie robi się nam mdło na widok tych wszystkich rozpłaszczonych ciał. Czule obejmuję siostrę, właśnie wydyma wargi, zaraz może wybuchnąć płaczem, jak dziś rano, kiedy Obbe drewniakiem zabił konika polnego na ścianie obory. Chyba bardziej przestraszyła się huku, ale upierała się, że chodziło o to drobne życie, o skrzydełka złożone przy główce konika polnego jak małe okienne siateczki. Ona widziała życie, Obbe i ja śmierć.

Kobieta od lemoniady krzywo się uśmiecha i wyciąga z kieszeni po milky wayu dla każdego; biorę z grzeczności, a kiedy nie patrzy, wyjmuję batonik

z opakowania i wrzucam do wiadra z ropuchami – one pewnie nigdy nie dostają skurczów ani bólów brzucha.

– Z trzema królami wszystko w porządku – mówię.

Od kiedy Matthies nie wrócił, mówię o nas „trzej królowie", bo pewnego dnia znajdziemy naszego brata, nawet jeśli trzeba będzie jechać daleko i zabrać podarki.

Macham lampionem, żeby odgonić ptaka. Świeczka chwieje się niebezpiecznie i kropla parafiny spada na mój kalosz. Wystraszony ptak odlatuje na drzewo.

Gdziekolwiek pojedziesz na rowerze, wszędzie widać wyschnięte ciała płazów, rozłożone jak małe serwetki. Dzieci i wolontariusze, którzy pomagają przenosić ropuchy, przechodzą z pełnymi wiadrami i lampionami na drugą stronę drogi, bliżej jeziora. Dziś wieczorem woda wygląda tak absurdalnie niegroźnie; w oddali widzę kontury fabryk, wieżowców z dziesiątkami światełek i most między wsią a miastem – jak ścieżka Mojżesza, kiedy uniósł dłoń nad falami i powiedział: „Pan spychał morze porywistym wiatrem wschodnim przez całą noc, aż zamienił morze w suchy ląd i tak wody zostały przedzielone. A dzieci Izraela mogły przejść przez środek morza po suchym gruncie, a wody stanęły dla nich murem po ich prawej i lewej stronie".

Hanna podeszła do mnie i zaczęła wpatrywać się w dal.

– Popatrz, ile światełek – odezwała się. – A może oni mają tam co wieczór pochód z lampionami?

– Nie, to dlatego, że boją się ciemności – powiedziałam.

– Sama się boisz.

Kręcę głową, ale Hanna zajęta jest opróżnianiem wiadra; dziesiątki ropuch i żab rozpierzchają się w wodzie. Od delikatnych pluśnięć kręci mi się w głowie. Nagle czuję, że kurtka lepi mi się pod pachami. Macham ramionami jak ptak, który chce się wzbić w powietrze, by wytrzepotać ciepło.

– Chciałabyś kiedyś dostać się na tamtą stronę? – pyta Hanna.

– Nie ma tam czego oglądać, nie mają nawet krów.

Zasłaniam jej widok, staję przed nią i zapinam kamizelkę na rzepy, dociskam, aby trzymały.

Siostra robi krok w bok. Włosy ma spięte w koński ogon, który przy każdym ruchu, dopingując, szturcha ją w plecy. Najchętniej ściągnęłabym jej tę gumkę. Żeby sobie nie myślała, że wszystko jej wolno, że pewnego dnia założy łyżwy i się oddali.

– Chcesz wiedzieć, jak tam jest?

– Oczywiście, że nie, głupia. Wiesz przecież…

Nie kończę zdania, tylko wywalam zawartość wiadra na trawę. Odchodzę od Hanny, licząc kroki. Przy czwartym dobiega do mnie. Cztery to moja ulubiona liczba. Cztery żołądki krowy, cztery pory roku, cztery nogi krzesła. Ucisk w piersiach, który czułam przed chwilą, pęka jak bańki powietrza na powierzchni jeziora.

– Bez krów to musi być nudno – mówi nagle.

W świetle lampionu nie widać, że ma krzywy nos. Jej prawe oko zezuje, jakby nieustannie łapała ostrość, niczym aparat fotograficzny. Najchętniej włożyłabym do niego rolkę z nowym filmem, żeby się upewnić, że nigdy nie wybierze się na tamtą stronę. Wyciągam dłoń do Hanny, a ona ją chwyta. Ma lepkie palce.

– Obbe rozmawia z jakąś dziewczyną – mówi.

Na chwilę się odwracam. Wygląda na to, że jego niezgrabne ciało nagle potrafi się poruszać z lekkością, rękoma wykonuje kilka szerokich gestów i śmieje się na głos, jak dawno już się nie śmiał. Potem kuca nad brzegiem jeziora. Pewnie opowiada o ropuchach, o naszych dobrych chęciach, ale nie o wodzie, która ledwo zdążyła ogrzać się od słońca, a teraz pływają w niej ropuchy i w której nasz brat półtora roku temu opadł na dno. Idzie z dziewczyną z powrotem wzdłuż wału. Po kilku metrach już ich nie widzimy, rozpłynęli się w ciemnościach, na asfalcie znajdujemy tylko na wpół wypalony lampion. Zielona świeczka leży obok, zdeptana jak gęsia kupa. Podnoszę lampion szpadlem. Nie można go tutaj tak zostawić po całym wieczorze wiernej służby. Wracam do zagrody i wieszam go na gałęzi wierzby. Drzewa rosną w rzędzie, głowami zwrócone w stronę mojego pokoju, jak gromada podsłuchujących nas prezbiterów. Nagle

czuję, że w kieszeni poruszyły się ropuchy. Aby je ochronić, kładę na nich dłoń, i odwracam się do Hanny.

– Tylko nie mów ani ojcu, ani matce o tamtym brzegu, bo to ich jeszcze bardziej przygnębi.

– Nic nie powiem. To był głupi pomysł.

– Bardzo głupi.

Przez okno widać ojca i matkę, siedzą na sofie. Z tyłu wyglądają zupełnie jak dwa ogarki w naszych lampionach. Gasimy je śliną.

# 2

Matka coraz częściej myli się co do ilości jedzenia na swoim talerzu. Gdy tylko sobie nałoży, siada przy stole i mówi:

– Z góry naprawdę wyglądało na więcej.

Czasem boję się, że to przez nas, że to my wyjadamy ją od środka, jak piwniczne sidlisze. Na biologii pani opowiadała nam o tych pająkach, że po wykluciu się potomstwa matka oddaje mu swoje ciało, a małe wygłodniałe pajączki pochłaniają ją w całości, nie zostawiając nawet odnóża. Ani przez chwilę nie żałują straty. I tak jak matka zawsze zostawia kawałeczek cordon bleu na brzeżku talerza, mówiąc: „Najlepsze na koniec", tak też zachowuje samą siebie na koniec posiłku, na wypadek gdybyśmy my, jej potomstwo, nie mieli pełnych brzuchów.

Ja też czasem spoglądam na naszą rodzinę z góry, wtedy tak bardzo nie widać, jak niewiele sobą przedstawiamy bez Matthiesa. Obok pustego miejsca przy stole jest teraz tylko siedzisko i oparcie, a mój brat już nigdy więcej nie zacznie się niedbale bujać, a ojciec zły nie burknie: „Nie kiwaj się". Nikomu nie wolno usiąść na jego krześle. Wydaje mi się, że to na wypadek, gdyby któregoś dnia wrócił.

– Dzień, w którym powróci Jezus, będzie taki sam jak wszystkie inne. Życie będzie się toczyć zwyczajnie, jak w czasach, gdy Noe budował arkę, ludzie po swojemu będą pracować, jeść, pić i żenić się. Całkiem niespodziewanie, tak jak On, wróci także Matthies – powiedział ojciec na pogrzebie.

Kiedy wróci, przysunę go do stołu tak blisko, że nie będzie mógł nabrudzić ani odejść niezauważony. Od czasu jego śmierci każdy nasz posiłek trwa kwadrans. Kiedy duża i mała wskazówka się spotykają, ojciec wstaje od stołu. Zakłada czarny beret i idzie obrządzać krowy, nawet jeśli niedawno to robił.

– Co będziemy jeść? – pyta Hanna.

– Ziemniaczki z fasolką – odpowiadam, zaglądając pod pokrywkę.

W ściance garnka odbija się moja blada twarz. Nieśmiało uśmiecham się do siebie, tylko troszeczkę, inaczej matka tak długo będzie na mnie spoglądać, aż opadną mi kąciki ust. Nie ma tu nic do śmiechu. Tylko za oborą do krycia krów, z dala od wzroku rodziców, pozwalamy sobie niekiedy o tym zapomnieć.

– Bez mięsa?

– Przypaliło się – szepczę.

– Znowu.

Upuszczam pokrywkę, bo matka właśnie pacnęła mnie w rękę; pokrywka upada i zostawia na obrusie krąg z kropli.

– Nie tak łapczywie – mówi matka i zamyka oczy.

Wszyscy idą za jej przykładem, chociaż Obbe, tak jak ja, ma jedno oko otwarte, aby kontrolować sytuację. Nigdy nie pada zapowiedź, że będziemy się modlić albo że ojciec zaczyna modlitwę dziękczynną. To trzeba wyczuć.

– I nie dozwól duszom naszym przywyknąć do tego doczesnego życia, lecz niech czynią wszystko, co nakazujesz, by ostatecznie żyć w Tobie wiecznie. Amen – mówi ojciec podniosłym tonem i otwiera oczy.

Matka po kolei nakłada jedzenie na talerze cedzakową łyżką. W całym domu cuchnie spaloną polędwicą, a szyby zaszły parą – matka zapomniała włączyć okap, więc nikt z ulicy nie może do nas zajrzeć, nikt nie zobaczy, że matka wciąż ma na sobie różowy szlafrok. We wsi ludzie często zaglądają sobie do okien, sprawdzają, jak sobie radzą inne rodziny i jak ze sobą są blisko. Ojciec siedzi przy stole, głowę ukrył w dłoniach. Cały dzień chodzi z podniesioną, ale przy stole robi się za ciężka. Od czasu do czasu unosi ją, żeby włożyć widelec do ust, a zaraz potem znów opuszcza. Kłucie w brzuchu przybiera na sile, zupełnie jakby ktoś wiercił mi tam dziury. Wszyscy milczą, tylko widelce i noże szczękają o talerze. Mocniej zaciskam troczki od kurtki i kucam na krześle. Wtedy brzuch, który jest coraz bardziej wzdęty, boli mniej, mam też lepszy widok. Ojciec uważa, że to lekceważąca postawa i tak długo stuka widelcem w moje kolano, dopóki znów nie usiądę na pupie. Czasem mam na kolanie czerwone prążki, są jak wypisane na skórze dni bez Matthiesa.

Nagle Obbe przysuwa się do mnie i mówi:

– A wiesz, jak wygląda wypadek w tunelu dla pieszych?

Właśnie nakłułam fasolkę szparagową, wycieka z niej sok, teraz jest to flet prosty. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Obbe otworzył szeroko usta. Widzę wewnątrz papkę ziemniaków, kawałeczki fasolki i nieco musu jabłkowego. Przypomina to wymiociny. Obbe śmieje się i połyka wypadek w tunelu. Na czole ma sinawą pręgę. We śnie stale wali głową o krawędź łóżka. Jest za młody, aby się tym martwić. Ojciec uważa, że dzieci nie mają zmartwień, że te przychodzą dopiero, kiedy trzeba kopać ziemniaki na własnym polu, ale ja coraz częściej odkrywam u siebie nowe zmartwienia, które nie pozwalają mi zasnąć; wydaje się, że ich przybywa.

Odkąd matka chudnie w oczach, a jej sukienki robią się obszerniejsze, boję się, że prędko umrze, a ojciec pójdzie w jej ślady. Śledzę ich całymi dniami, żeby nie mogli tak sobie umrzeć i zniknąć. Mam ich zawsze w kącikach oczu, jak łzy po Matthiesie. I nie gaszę kuli ziemskiej na nocnej szafce, dopóki nie usłyszę chrapania ojca i dwukrotnego skrzypnięcia sprężyn w łóżku rodziców: matka zawsze obraca się dwa razy, z prawego boku na lewy i znów na prawy, zanim znajdzie swoje miejsce. Leżę wtedy w poświacie Morza Północnego i czekam, aż wszystko ucichnie. Ale kiedy wieczorem idą z wizytą do znajomych we wsi i matka tylko wzrusza ramionami, gdy pytam, kiedy wrócą, leżę godzinami, gapiąc się w sufit. Zastanawiam się, czy dam sobie radę jako sierota i co powiem pani w szkole o przyczynie ich śmierci. Przyczyny śmierci mają swoją listę przebojów. Kiedyś wygooglowałam ją na przerwie. Zwycięża rak płuc. W tajemnicy zrobiłam własną listę: utonięcie, wypadek komunikacyjny i wpadnięcie do piwnicy w oborze dla krów są na pierwszych miejscach.

Gdy już obmyśliłam, co powiem pani, i pożałałam się nad sobą, wcisnęłam głowę w poduszkę: jestem za duża, by wierzyć we Wróżkę Zębuszkę, ale wystarczająco mała, by do niej tęsknić. Obbe naśmiewa się z niej, nazywa ją „zębową suką", bo pewnego dnia przestała mu płacić, a jego zęby trzonowe z korzeniami i ze wszystkim najzwyczajniej leżały pod poduszką i pozostała po nich tylko plamka z krwi, bo nigdy ich nie opłukał do czysta. Jeśli kiedyś mnie odwiedzi, docisnę ją. Będzie musiała zostać i zażyczę sobie nowych rodziców. Poświęcę swoje zęby mądrości, żeby ją spotkać. Zdarza się też, że kiedy dłużej nie wracają, schodzę na dół. Siadam w ciemności na kanapie w piżamie, kolana razem, dłonie złożone, i zapewniam Boga, że mogę nawet dostać biegunki, byle tylko bezpiecznie

sprowadził ich do domu. Bez przerwy wyczekuję dzwonka telefonu, boję się, że stracili panowanie nad kierownicą roweru albo samochodu. Ale telefon nigdy nie dzwoni i na ogół po jakimś czasie robi mi się zimno i wracam na górę, gdzie czekam dalej pod kołdrą. Dopiero kiedy słyszę, że otwierają się drzwi od sypialni i matka szura pantoflami, mam pewność, że rodzice żyją, i mogę ze spokojnym sercem zasnąć.

Przed snem Hanna i ja trochę się jeszcze bawimy. Hanna siedzi na podłodze za sofą. Patrzę na moje wysoko podciągnięte skarpetki, zrolowane na brzegach. Wygładzam je. Siostra siedzi obok wyspy Thunderbirds, która należała do Matthiesa, często grywaliśmy razem, wysyłaliśmy rakiety w powietrze i walczyliśmy z nieprzyjacielem, którego wtedy jeszcze sami mogliśmy wybrać. Obbe leży na oparciu sofy, ze słuchawkami na uszach. Patrzy na nas z góry. Na szarym podkoszulku ma plamę z majonezu w kształcie Francji.

– Kto zniszczy drzewa w alei, będzie mógł przez dziesięć minut posłuchać na moim discmanie najnowszej składanki *Hitzone*.

Obbe zsuwa słuchawki na szyję. W mojej klasie prawie każdy ma discmana, z wyjątkiem frajerów. Frajerzy są jak lukrecjowe dropsy w paczce angielskich cukierków – każdy odkłada je na bok. Nie chcę być frajerem, dlatego oszczędzam na discmana Philipsa z systemem antywstrząsowym, żeby w drodze do szkoły wciąż mi nie przeskakiwał, kiedy jadę po wybojach przez polder. Do tego pokrowiec w kolorze mojej kurtki. Niewiele mi już brakuje. Za pomoc w gospodarstwie dostajemy od ojca w każdą sobotę po dwa euro, które uroczyście wręcza: „To awansem na twój posag". Mam w perspektywie discmana, więc mogę zapomnieć o całym świecie, nawet o tym, że ojciec chciałby, żebyśmy wyprowadzili się z domu.

Drzewa na wyspie Thunderbirds były kiedyś oliwkowozielone, ale po latach wyblakły, gdzieniegdzie odpadła z nich farba. Nagle jakby ktoś popchnął mnie we właściwym kierunku i zanim dotrze do mnie, co robię, łamię cały szpaler plastikowych drzew, jedno po drugim. Słyszę, jak trzeszczą pod palcami. Wszystko, co można połamać jedną ręką, nie jest warte istnienia. Hanna od razu się na mnie wydarła.

– Tylko żartowałem, głupia – mówi pospiesznie Obbe.

Na widok matki wychodzącej z kuchni odwraca się i znów zakłada słuchawki. Matka ciasno przewiązała szlafrok paskiem. Mierzy wzrokiem Hannę, mnie, Obbego. Dostrzega w mojej dłoni połamane drzewka. Bez słowa chwyta mnie za ramię i podnosi, wbija mi przy tym palce w kurtkę, której nawet w domu nie chcę ściągać, przez materiał czuję paznokcie. Milczę i staram się nie patrzeć matce w oczy, żeby nie przyszło jej do głowy ściągnąć ze mnie kurtkę, bez litości, tak jak obiera ziemniaka. Przy schodach mnie puszcza.

– Idź po skarbonkę – mówi, zdmuchując z twarzy pasemko jasnych włosów.

Z każdym kolejnym stopniem serce wali mi coraz mocniej. Przypomina mi się sentencja z Jeremiasza, którą powtarza babcia, kiedy czyta gazetę, śliniąc raz po raz palce, żeby problemy świata się jej nie sklejały: „Podstępne jest serce, bardziej niż wszystko inne i zepsute, któż może je poznać?".

Mojego serca nikt nie zna. Jest głęboko ukryte pod kurtką, skórą, żebrami. W brzuchu matki moje serce przez dziewięć miesięcy było ważne, ale gdy tylko znalazło się poza nim, nikt nie martwi się o to, czy bije wystarczająco dużo razy na godzinę, a jeśli na moment stanie albo zacznie bić za szybko, nikt się nie przerazi, że to z powodu strachu czy niepokoju.

Po zejściu na dół muszę postawić moją skarbonkę na kuchennym stole. To porcelanowa krowa ze szparą na grzbiecie. Przy srajdziurze ma plastikowy korek do wyjmowania pieniędzy. Zaklejony jest dodatkowo taśmą, żebym musiała zastanowić się dwa razy, zanim go odetkam i wydam pieniądze na jakieś duperele.

– Przez twoje grzechy On się kryje i nie chce cię już słuchać – mówi matka.

Wyciąga w moim kierunku stolarski młotek, rączka jest ciepła, musiała czekać z nim na mnie. Staram się nie myśleć o upragnionym discmanie. To, co stracili ojciec i matka, jest o wiele gorsze: na nowego syna nie można sobie uskładać.

– Ale tutaj jest korek… – próbuję jeszcze.

Matka trąca mnie lekko w nabrzmiały brzuch tą stroną młotka, którą wyciąga się gwoździe – wygląda zupełnie jak metalowe królicze uszy, co przypomina mi, ile poświęciłam, aby zachować Dieuwertje przy życiu. Szybko biorę młotek, unoszę go i mocno walę w skarbonkę. Od razu rozpada się na trzy kawałki. Matka starannie wyciąga spomiędzy skorup czerwone i niebieskie banknoty i kilka monet. Bierze zmiotkę i zsuwa resztki krowy na szufelkę. Ściskam rączkę młotka tak mocno, że bieleją mi kostki.

# 3

Z głową pełną czarno-białych obrazów leżę na pościeli w dinozaury. Ręce sztywno wzdłuż ciała, nogi lekko rozsunięte, jak żołnierz na spocznij. Moja kurtka moją zbroją. W szkole przerabialiśmy dzisiaj drugą wojnę światową i oglądaliśmy o tym film. Od razu ściska mnie w gardle. Przed oczami mam sceny z Żydami, leżą jedni na drugich jak wołowe steki, ze Szwabami z ogolonymi głowami na wozach – wyglądają jak oskubane tyłki ojcowych niosek, tamte też są różowe z czarną szczeciną. A kiedy w narodzie już raz zacznie się darcie pierza, nikt nie ujdzie cało.

Podnoszę się z materaca i zdrapuję fluorescencyjną gwiazdę z pochyłego sufitu. Kilka z nich ojciec już zdjął, robi to za każdym razem, kiedy wracam ze szkoły ze złą oceną, a tego wieczoru akurat przypada jego kolej, by powiedzieć dobranoc. Dawniej zawsze wymyślał historyjkę o Jasiu, który płatał różne figle. Zawsze robił coś, czego nie wolno było robić. A teraz albo Jaś zaczął się grzecznie zachowywać, aby go nie ukarano, albo ojciec o nim zapomniał.

– A Jaś? – pytam.

– Jest zmęczony, żal go zdruzgotał.

I wiem od razu, że to ojca głowa jest zmęczona i zdruzgotana, bo Jaś tam mieszka.

– Wróci jeszcze?

– Na to bym nie liczył – odpowiada ojciec przybitym głosem.

Kiedy odrywa ciało niebieskie, na suficie zostaje biała samoprzylepna guma: widać wszystkie moje złe oceny. Gwiazdę, którą zdrapał, przyklejam na kurtce na wysokości serca. Kiedy pani mówi, zastanawiam się, jak by to było całować się z takim wąsaczem jak Hitler. Ojciec ma wąsy tylko jak pije piwo. Nad jego górną wargą zostaje mu kołnierzyk z piany. Hitler też miał wąsa, szerokiego na dwa palce.

Pod ławką kładłam ręce na brzuchu, żeby uspokoić mrowienie. Mrówki coraz częściej przesiadują w moim brzuchu i kroczu. Nawet sama mogę je

wzbudzić, kiedy wyobrażę sobie, że leżę na Jasiu. Czasem wydawało mi się, że właśnie dlatego był zdruzgotany, ale tak długo, jak głowa ojca wciąż była okrągła i pozostawała na tułowiu, nie brałam tego na poważnie. Rzadko zadawałam pytania, po prostu nie przychodziły mi do głowy. Tym razem jednak podniosłam dwa palce.

– Czy nie sądzi pani, że Hitler czasem płakał, kiedy był sam?

Nauczycielka, która jest jednocześnie moją wychowawczynią, długo mi się przyglądała, zanim zaczęła odpowiadać. Jej oczy błyszczały, jakby ktoś wstawił za nie świeczki do podgrzewacza, takie na supermocne baterie. Może czekała, aż zacznę płakać, żeby zobaczyć, czy jestem dobrym, czy złym człowiekiem. Przecież jeszcze nie płakałam po bracie, nawet bezgłośnie, łzy nadal zostawały w kącikach oczu. Podejrzewałam, że to przez tę kurtkę. W klasie było ciepło i moje łzy na pewno wyparowywały, zanim dosięgały policzków.

– Źli ludzie nie płaczą – odpowiedziała na to pani. – Tylko bohaterowie płaczą.

Spuściłam wzrok. Czy Obbe i ja byliśmy źli? Matka płakała tylko odwrócona do nas plecami, tak cicho, że nie było tego słychać. Wszystko, co opuszczało jej ciało, było bezgłośne, nawet wiatry.

Pani opowiadała, że ulubionym zajęciem Hitlera było fantazjowanie i że bał się chorób. Dokuczały mu kolki, egzemy i gazy, choć te ostatnie brały się pewnie z fasolowej, którą często jadał. Hitler stracił trzech braci i siostrę, żadne z nich nie dożyło szóstego roku życia. Pomyślałam, że jestem do niego podobna i nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nawet urodziny mamy tego samego dnia, dwudziestego kwietnia – ojciec, kiedy trafiało się, że był w lepszej formie, opowiadał, siedząc w fotelu, w którym zazwyczaj palił, że był to najchłodniejszy kwietniowy dzień od lat i że tamtej soboty przyszłam na świat lekko sina; musieli mnie w pośpiechu wydłubać z macicy jak rzeźbę z lodu. W moim albumie z fotografiami obok pierwszej echografii przyklejono spiralkę: miedzianą rurkę z łukiem pełnym białych haczyków jak małe ząbki rekina, które zagryzłyby na śmierć każdego plemnika, i z drucikiem na dole przypominającym pasemko śluzu. Mnie udało się ominąć spiralkę i przepłynąć pomiędzy. Kiedy spytałam, dlaczego matka miała w sobie zęby rekina, ojciec powiedział:

– Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, ale najpierw się postarajcie o wystarczającą liczbę sypialni; to było rozwiązanie tymczasowe, Bóg o tym wiedział, tylko że ty byłaś uparta jak wół.

Jak matka już mnie urodziła, nie zakładała więcej spiralki. „Oto dziatki są dziedzictwem od Pana". Więc skoro już coś dziedziczysz, nie mówisz „nie".

Później, w tajemnicy, wyszukałam w Googlach dzień moich urodzin – z internetem możemy się połączyć dopiero po wyjęciu kabla telefonicznego i włożeniu internetowego, który trzeszczy i świszczy, kiedy nawiązuje połączenie, i wolno nam tylko na krótko, bo ojciec i matka mogą czekać na ważny telefon, chociaż nigdy nie dostają ważnych telefonów i najczęściej rozmawiają o tym, że znów uciekła krowa na nowym polu, zresztą wszystko w internecie uważają za bezbożne, ale jak czasem powiada ojciec: „Jesteśmy w świecie, nie ze świata", więc tylko od czasu do czasu wolno nam skorzystać z internetu, kiedy coś mamy zadane w szkole, chociaż wątpię w to, co ojciec cytuje z Jana, skoro ludzie mówią, że po naszych reformowanych głowach widać, z jakiej wsi pochodzimy – no i znalazłam tam, że w dniu moich urodzin był porywisty wiatr, a ojciec twierdzi, że na dworze było wtedy tak spokojnie, że nawet wierzby z szacunku ucichły. Tamtego kwietniowego dnia Adolf był już od czterdziestu sześciu lat martwy. A jedyna różnica między nami jest taka, że ja boję się wymiotów i biegunki, a nie Żydów. Chociaż nigdy jeszcze nie widziałam na oczy Żyda, może wciąż ukrywają się po strychach, a może to dlatego nie wolno nam schodzić do piwnicy – matka nie bez przyczyny zanosi tam w każdy piątek wieczorem dwie torby pełne zakupów z marketu Dirk. Są tam parówki w puszkach, a my nigdy nie jemy parówek.

Z kieszeni kurtki wyciągam pognieciony list, który pani kazała nam napisać do Anny Frank. Zadanie było durne. Anna Frank nie żyła, a ja wiedziałam, że skrzynka pocztowa we wsi ma tylko dwie szczeliny: jedną dla kodów pocztowych od 8000 do 8617 włącznie, a drugą dla pozostałych. Nieba tam nie było. Zresztą to szaleństwo, bo ludziom zawsze bardziej brakuje martwych niż żywych, więc do tych martwych byłoby za dużo poczty.

– Chodzi o to, abyś się starała wczuwać – powiedziała pani.

Wczuwać się – akurat to, według niej, potrafiłam dobrze, ale już nie wyczuwać się. Czasami zdarzało się, że się w kogoś tak wczułam, że utkwiłam w nim prawie na dobre, ponieważ było to łatwiejsze, niż pozostawać w samej sobie. Przysunęłam krzesło bliżej Belle. Usiadłyśmy razem już w pierwszym tygodniu po rozpoczęciu szkoły. Belle miała odstające uszy wysuwające się z jasnych jak len włosów i krzywe usta, przez co jej buzia przypominała glinianą laleczkę tuż po ulepieniu, która właśnie schnie, więc od razu ją polubiłam. Chore krowy też są milsze, można je spokojnie głaskać, bez obawy, że nagle wierzgną. Belle nachyliła się do mnie i szepnęła:

– Czy nie masz już dość tego swojego uniformu?

Przeniosła wzrok na moją kurtkę, a ja popatrzyłam na jej podmalowane kredką oczy; łuki na górnych i dolnych powiekach wyglądały jak wykresy na osi liczbowej, kiedy robią zbyt duże skoki, aby można było udzielić na ich podstawie jakiejkolwiek odpowiedzi. Troczki od kaptura, sztywne od zaschniętej śliny, leżały na moich piersiach. Na wietrze owijały mi się czasem wokół szyi niczym pępowina. Pokręciłam głową.

– Mówią o tobie na dziedzińcu.

– Co takiego?

Wysunęłam lekko szufladę spod blatu ławki; jako jedyna miałam jeszcze szufladę, ławka pochodziła właściwie z sąsiedniej szkoły podstawowej. Widok opakowanych w folię paczuszek uspokoił mnie: masowy grób mlecznych biskwitów firmy Liga. Burczało mi w brzuchu. Niektóre ciasteczka zrobiły się już miękkie, jakby ktoś wziął je do ust, a potem wypluł do sreberek. Jedzenie wchodzi do jelit, które robią z niego kupę. Tutaj wszystkie klozety miały półkę: moja kiełbasa zaserwowana na białym talerzu – nie, dzięki. Wolę ją w sobie trzymać.

– Mówią, że nie możesz mieć cycków i dlatego chodzisz cały czas w kurtce, no i nigdy jej nie pierzesz. Czuć ją krowami.

Na kartce Belle postawiła wiecznym piórem kropkę na końcu tytułu. Na moment chciałam stać się taką niebieską kropką. I żeby po mnie już nic nie było. Ani podsumowań, ani myśli czy pragnień. Zupełnie nic.

Belle spojrzała na mnie wyczekująco.

– Jesteś jak Anna Frank. Ukrywasz się.

Wsunęłam ołówek w temperówkę, którą wyciągnęłam z torby, i tak długo nim kręciłam, aż pojawił się ostry szpikulec. Złamałam go dwa razy.

Wiercę się na materacu, który należał do Matthiesa, i w końcu kładę się na brzuchu. Od kilku tygodni śpię w pokoju na strychu, w jego łóżku, Hanna dostała teraz mój dawny pokój. Czasem myślę, że Jaś został w moim dawnym pokoju i że boi się strychu, bo od tego czasu ojciec nie opowiada już o nim, tylko podkreśla jego nieobecność. Pośrodku materaca jest zagłębienie po ciele mojego brata, taki wykrój śmierci, i nieważne, co robię z materacem, zagłębienie pozostaje zagłębieniem, więc tylko staram się nie wpaść w nie.

Szukam mojego misia przytulanki, ale nigdzie go nie widzę. Ani w nogach, ani pod kołdrą, nie ma go też pod łóżkiem. W głowie od razu słyszę głos matki:

– Obrzydliwość.

Tak powiedziała, kiedy nagle weszła do mojego pokoju, z naciskiem na „obrzyd". To brzydkie słowo, a gdy je wymawiasz, wyglądasz, jakbyś chciała zwymiotować. Matka wypowiedziała to słowo, a potem, kręcąc nosem, raz jeszcze je przeliterowała: o b r z y d l i w o ś ć. Już wiem, gdzie jest miś. Wyślizguję się z pościeli i wyglądam przez okno do ogrodu, w dole na sznurze od bielizny faktycznie wisi mój miś. Z uszu sterczą mu dwie czerwone drewniane klamerki. Wiatr gwałtownie majta nim tam i z powrotem i miś wykonuje te same ruchy co ja, kiedy na nim leżę, to na ten widok matka klasnęła wczoraj w dłonie trzy razy, jakby przeganiała wronę z czereśni. Zobaczyła, jak wpycham swoje krocze w puchate pośladki misia. Robię tak, od kiedy śpię na strychu. Zamykam wtedy oczy, poruszam się i myślę o tym, co zdarzyło się w ciągu dnia, powtarzam to wszystko, co ktoś do mnie powiedział, a potem myślę o discmanie Philipsa, który tak bardzo chciałam mieć, o dwóch parzących się ślimakach, które Obbe rozdzielił śrubokrętem, o prezenterce Dieuwertje Blok, o Matthiesie na lodzie, o życiu bez mojej kurtki, ale z samą sobą. Dopóki nie zachce mi się siku.

– Bożek to właśnie to, do czego się zwracasz, zanim udasz się do Boga – powiedziała matka trochę później, kiedy zeszłam na dół na kubek ciepłego

anyżowego mleka.

Teraz za karę wyprała misia i powiesiła na sznurze. Ukradkiem, w samych skarpetkach, schodzę ze schodów, przemykam się przez przedpokój do ogrodu i wchodzę w ciepły wieczór. Na podwórku wciąż pali się halogenowa lampa, przed snem ojciec i matka dają jeszcze cielętom mleko, zadanie z rachunków, którego nie wolno mi zapomnieć: jedna szufelka białka w proszku na dwa litry wody. W ten sposób cielęta dostają dodatkowe białko, gdy je wypiją, nosy pachną im wanilią. Słyszę szum cysterny z mlekiem, stukanie poideł. Przy drzwiach szybko zakładam drewniaki matki, sprint po trawie do sznura na bieliznę, zdejmuję klamerki z uszu misia i przytulam go mocno do piersi, lekko kołyszę się z nim na boki, jakby to był Matthies, jakbym wyłowiła go z mroku nocy niczym z ciemnego jeziora. Jest ciężki i mokry. Na pewno będzie schnąć całą noc i pewnie minie tydzień, zanim wywietrzeje zapach proszku do prania. W prawym oku misia zebrała się woda. Kiedy biegnę przez trawnik, słyszę, że rozmowa ojca i matki robi się coraz głośniejsza. Najwidoczniej się kłócą. Nie cierpię kłótni, tak jak Obbe nie cierpi odcinać się komuś, przyciska wtedy ręce do uszu i zaczyna coś tam nucić. Nie chcę, żeby mnie zauważyli, więc zasłaniam dłonią fluorescencyjną gwiazdkę na mojej kurtce, w drugiej trzymam misia i chowam się za szopą dla królików. Ciepły amoniakowy zapach królików wydobywa się ze szpar między deskami. Obbe wyciągnął z gnoju kilka glist na ryby. Kiedy chciał wbić haczyk w małe ciałka, prędko odwróciłam głowę. Słyszę stąd, o co się kłócą, i widzę matkę z widłami przy gnoju.

– Gdybyś nie chciał usunąć dziecka…

– No pewnie, teraz to moja wina – odpowiada ojciec.

– Dlatego Bóg zabrał nam najstarszego.

– Byliśmy jeszcze przed ślubem…

– To dziesiąta plaga, wiem to na pewno.

W głosie matki, jak w szopie dla królików, pojawia się coraz więcej szpar. Wstrzymuję oddech. Kurtka robi się mokra od przytulania wilgotnego misia, głowa zwisa mu bezwładnie do przodu. Zastanawiam się, czy Hitler powiedział swojej matce, co zamierza zrobić i jaki będzie

z tego chlew. Nikomu nie powiedziałam, że się wtedy modliłam o uratowanie Dieuwertje. Czyżby ta dziesiąta plaga przyszła przeze mnie?

– Trzeba żyć dalej z tym, co mamy – mówi ojciec.

Widzę jego sylwetkę w świetle halogenu. Ramiona sterczą mu wyżej niż zazwyczaj, to jak z wieszakiem, który przymocował wyżej, bo urośliśmy, jego ramiona podniosły się o kilka centymetrów. Matka wybucha śmiechem. To nie jest zwyczajny śmiech, tylko ten, kiedy akurat coś nie jest dla niej śmieszne. To mnie peszy, ale dorośli często mnie peszą, bo ich głowy funkcjonują jak Tetris i wszystkie zmartwienia muszą zostać ułożone we właściwych miejscach. Kiedy jest ich za dużo, nawarstwiają się i wszystko się zatyka. Game over.

– Wolę skoczyć z silosu z paszą.

Ukłucia w żołądku wzmagają się, jakby mój brzuch stał się poduszeczką, w którą babcia wbija igły, żeby ich nie zgubić.

– Nikomu nie powiesz o dziecku. Co by rodzina pomyślała. Jeden Bóg tylko wie, a on przebaczy z tysiąc razy – odzywa się ojciec.

– Tylko żebyś się nie pogubił w rachunkach – mówi matka i odwraca się.

Jest już prawie tak chuda jak widły do gnoju oparte o ścianę stodoły. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego nie je. W czasie wędrówki żab Obbe opowiadał, że po śnie zimowym ropuchy najpierw się parzą, a dopiero potem jedzą, nie wcześniej. Ojciec i matka w ogóle się nie dotykają, nawet przelotnie. To by znaczyło, że się już nie parzą.

Po powrocie do pokoju zaglądam do ropuch w koszu pod biurkiem. Nadal nie siedzą jedna na drugiej, liście sałaty leżą na dnie nietknięte.

– Jutro będziecie się parzyć – mówię. Czasem trzeba być zdecydowanym, wyznaczać granice, inaczej wszyscy wejdą ci na głowę.

Potem staję przed lustrem obok szafy i czeszę włosy, by gładko przylegały do twarzy. Hitler zaczesywał na bok pukiel włosów, żeby ukryć bliznę po kuli, która drasnęła go w twarz. Kończę rozczesywać włosy i kładę się do łóżka. W świetle kuli ziemskiej widzę nad głową sznur na strychowej belce. Nie zawisły tam huśtawka ani królik. Na końcu jest pętla. Wystarczająco duża na szyję królika. Uspokajam myśli, powtarzam sobie, że matka ma lęk wysokości, a jej kark jest ze trzy razy grubszy.

# 4

– Jesteś zła?

– Nie – odpowiada matka.

– Smutna?

– Nie.

– Zadowolona?

– Normalnie – mówi matka. – Jestem normalna.

Nie, myślę sobie, z pewnością nie jest normalna, nawet omlet, który właśnie smaży, z pewnością nie jest normalny: są w nim kawałki skorupek, przywarł do patelni, białka i żółtka wyschły. Przestała też używać śmietankowego masła i znów zapomniała o soli i pieprzu. Ostatnio jej oczy zapadają się coraz bardziej, są jak moja stara dziurawa piłka, która coraz głębiej zanurza się w dole z gnojem koło obory. Zbieram skorupki z blatu i wyrzucam do kubła; tam wśród śmieci widzę resztki rozbitej krowy. Jej głowa, oprócz rogów, jest nienaruszona, więc wyciągam ją i szybko chowam do kieszeni kurtki. Sięgam po wiszącą przy zlewie żółtą ściereczkę i wycieram śluzowate ślady po rozbitych jajkach. Wzdrygam się, nie lubię suchych ściereczek; kiedy są wilgotne, wydają się w dotyku mniej obrzydliwe niż kiedy wyschną, ale nadal roi się w nich od bakterii. Spłukuję ją pod kranem i znów staję przy matce, przysuwam się bliżej w nadziei, że idąc z patelnią do rozstawionych talerzy, przez nieuwagę mnie dotknie. Tak trochę. Skóra do skóry, głód do głodu. Przed śniadaniem ojciec kazał jej wejść na wagę w łazience, jeśli odmówi, nie pójdzie z nią do zboru. To czcza groźba, nie mogę sobie wyobrazić, żeby nabożeństwo miało się odbyć bez niego, zastanawiałam się nawet, co by się stało z Bogiem bez mojego ojca. Po śniadaniu, aby podkreślić moc swoich słów, od razu założył niedzielne buty, zamiast ustawić je w rządku do czyszczenia, obok innych; tylko z błyszczącymi noskami można się pokazać Panu, powiedziała kiedyś matka. Dzisiaj szczególnie, bo to dzień modlitw za udane plony, ważny dla wszystkich gospodarzy ze wsi. Dwa razy w roku,

przed żniwami i po nich, cały zbór gromadzi się na modlitwie, dziękując za pola i za rośliny, za to, że wszystko kwitło i wzrastało. I to właśnie wtedy, kiedy matka mizernieje w oczach.

– Nawet mniej niż półtora cielaka – stwierdził ojciec, gdy matka w końcu stanęła na wadze.

Pochylił się nad skalą. Obbe i ja staliśmy w drzwiach, przez moment wymieniliśmy spojrzenia: wiedzieliśmy, jak kończą cherlawe jałówki; są zbyt chude, by pójść do rzeźni, a zbyt drogie w utrzymaniu, by je odkarmić. Dlatego większość dostaje zastrzyk. Im dłużej ojciec trzymał matkę na wadze, tym wyraźniej wskazówka próbowała się cofać, jak ślimak, a matka stawała się cichsza, kuliła się, zupełnie jakby plon całego roku marniał na naszych oczach, a my nie mogliśmy nic na to poradzić. Dołożyłabym tam jeszcze torebkę mąki na naleśniki i cukier trzcinowy, żeby tylko ojciec już przestał; na dodatek powiedział kiedyś, że takim cielakiem może się wyżywić tysiąc pięćset osób. Trochę by trwało, zanim całkiem spałaszowalibyśmy matkę aż do samych kości. Przez to, że teraz wszyscy na nią patrzyliśmy, wcale nie zacznie więcej jeść; mój królik Dieuwertje zaczynał gryźć marchewki, które kładłam mu w żłóbku, dopiero wtedy, kiedy czuł, że stamtąd odeszłam. Chwilę po tym, jak ojciec wsunął wagę z powrotem pod umywalkę, pospiesznie wyjęłam z niej baterie.

Nakładając omlet, matka ani razu mnie nie dotknęła, nawet przez przypadek. Cofam się o krok, jeszcze jeden. Smutek gnieździ się w kręgosłupie, plecy matki są coraz mocniej przygarbione. Tym razem na stole brakuje dwóch talerzy: Matthiesa i matki. Przestała z nami jadać; żeby zachować pozory, robi sobie kanapkę i siada u czoła stołu naprzeciwko ojca; patrzy podejrzliwie, jak podnosimy widelce do ust. Przez chwilę mam przed oczami martwe dziecko i Wielkiego Złego Wilka, o którym opowiadała nam babcia, kiedy u niej nocowaliśmy, i okrywała nas końską derką łaskoczącą w szyję. Temu Złemu Wilkowi pewnego dnia rozcięto brzuch, aby uratować siedem kózek, a potem w miejsce kózek włożono siedem kamieni i na powrót zaszyto brzuch. Pomyślałam, że matce też pewnie ktoś włożył kamień i dlatego jest czasem taka surowa i oziębła.

Nagryzam chleb. W czasie jedzenia ojciec opowiada o krowach, które jak przybłędy na placu Dam nie chcą spać w swoich legowiskach, tylko wolą kłaść się byle gdzie na betonowych rusztach, a to nie jest dobre dla wymion. Zatrzymuje w powietrzu kawałek omleta.

– Brakuje soli – mówi, krzywiąc się, i bierze łyk kawy.

Jajko bez soli i kawa na popitkę.

– I spalony od spodu – dodaje Obbe.

– Coś chrzęści – mówi Hanna.

Cała trójka spogląda na matkę, która raptownie zrywa się od stołu, wywala do kubła kanapkę z kminkowym serem, a talerz wstawia do zlewu. Nie miała zamiaru zjeść tej kanapki, chciała tylko, żebyśmy tak myśleli. A teraz jeszcze na dodatek pokazała nam, że to przez nas mizernieje. Na nikogo nie patrzy, zupełnie jakbyśmy byli skórkami od chleba z jej kanapki; zawsze precyzyjnie je odkrawa i kładzie obok talerza, jakby to były minusy, które tak czy owak dostaniemy. Odwrócona do nas plecami, mówi:

– Widzicie, zawsze bierzecie jego stronę.

– Omlet jest zwyczajnie obrzydliwy – stwierdza ojciec.

Obniżył głos, to znak, że czeka na ripostę; nawet kiedy wiadomo, że o żadnej ripoście nie może być mowy, czasem zachowuje się tak, żeby ta druga osoba tak myślała. Kręci nosem, patrząc na kawałek omleta na widelcu. Przez to całe napięcie wsadzam mały palec do nosa i wygrzebuję gila. Przez chwilę patrzę na żółtawy balonik i wsadzam go do ust. Jego słony smak mnie uspokaja. Kiedy znów chcę podnieść mały palec, ojciec chwyta mnie za nadgarstek.

– To, że jest dzień modlitw za plony, nie znaczy, że masz już zacząć zbiory.

Pospiesznie opuszczam rękę, cofam język jak najdalej w stronę gardła i pociągam nosem. Działa. Do ust napływają mi smarki, mogę je znów przełknąć. Matka odwraca się. Wygląda na znużoną.

– Jestem złą matką – mówi.

Wzrok utkwiła w żarówce nad stołem. Już czas otoczyć ją kloszem. W kwiaty. Albo i bez kwiatów. Powinniśmy matkę jakoś rozweselić. Kiedy tylko zaczynamy mówić o tym kloszu, odpowiada, że to nie ma już sensu, że jest za stara, że po ich śmierci będziemy mieli tylko więcej roboty

z podziałem między sobą klosza i wszystkich mebli, i jest tak jak ze wszystkimi innymi rzeczami, na które nie chce wydawać pieniędzy, mając na względzie Dzień Sądu Ostatecznego. Od razu ustawiam się obok niej z talerzem w ręku. Kiedy w szkole gramy w piłkę nożną, także chodzi o właściwe ustawienie. Ktoś musi być kapitanem, ktoś stać w ataku, ktoś w obronie. Pakuję duży kawałek omleta do ust.

– To idealny omlet – mówię – nie za słony, nie za mdły.

– No i w skorupkach jest wapno – dorzuca Hanna.

– Słyszysz, żono – odzywa się ojciec – nie jesteś taka zła.

Chichocze i powoli przesuwa nóż po języku, ciemnoczerwonym z ciemnym paskiem na dole – jak żaba moczarowa w porze godowej. Z koszyczka na chleb wyławia bułkę z müsli i przez chwilę ogląda ją ze wszystkich stron. Co środę przed szkołą idziemy do piekarza we wsi po zakupy. Wprawdzie chleb już się przeterminował i nadaje się tylko na karmę dla kur, ale to głównie my go jemy. Ojciec powiada:

– Skoro kury od tego nie chorują, to wy też nie zachorujecie.

Mimo wszystko boję się czasem, że rośnie we mnie pleśń, że moja skóra pewnego dnia pokryje się niebieskim i białym nalotem tak jak skórka bułek, z których ojciec wielkim nożem odkrawa pleśń, zanim je nam zaserwuje, że za jakiś czas sama będę się nadawać tylko na karmę dla kur.

Poza tym chleb smakuje jeszcze całkiem dobrze, a wizyta w piekarni to najfajniejsza wyprawa tygodnia. Ojciec z dumą pokazuje swój łup: lukrowane bułeczki z rodzynkami, biszkopty, chleb na zakwasie, pierniczki i pączki. Matka poluje na croissanty, wprawdzie uważa, że są za tłuste, więc sprawdza tylko, czy są idealne, ale uspokaja się, kiedy my je zjadamy, a reszta jest dla kur. Myślę, że w takiej chwili czujemy się jakby trochę szczęśliwsi, nawet jeśli ojciec utrzymuje, że to nie dla nas, że nie jesteśmy po to, by być szczęśliwi, tak jak nasza jasna skóra nie może być dłużej na słońcu niż dziesięć minut, potem chcemy znów do cienia, do ciemności. Tym razem do worka po karmie zapakowaliśmy dodatkowy chleb. Pewnie dla Żydów w piwnicy. Być może matka robi dla nich dobre omlety i ich tuli, więc potem zapomina nas przytulić, tak mocno jak ja czasem przytulam kota sąsiadki Lien, aż przez futro czuję jego żebra na swoim brzuchu, małe serduszko bijące tuż przy moim.

W zborze przy wale przeciwpowodziowym zawsze siadamy w pierwszej ławce – rano, wieczorem, a czasem też w południe na nabożeństwie dla dzieci – niech wszyscy widzą, jak wchodzimy, niech wiedzą, że mimo straty tak samo jak dawniej przychodzimy do Domu Pana, że nadal jeszcze w Niego wierzymy. Mam jednak coraz większe wątpliwości, czy jeszcze lubię Boga na tyle, by się z Nim umawiać. Odkryłam, że można stracić wiarę na dwa sposoby: jedni tracą wiarę w Boga, kiedy odnajdują siebie, drudzy tracą wiarę w Boga, kiedy sami się gubią. Myślę, że będę należeć do tej drugiej grupy, moje niedzielne ubranie ciasno opina mi ciało, jakby było uszyte na dawniejszą wersję mnie. Babcia porównuje te trzy pory, kiedy mamy iść do zboru, do zawiązywania sznurówek: najpierw robisz płaski węzeł, potem pętelkę i zawiązujesz ją, a na koniec podwójny węzeł, aby się upewnić, że się nie rozwiążą, dlatego nowinę też dobrze zapamiętujemy dopiero za trzecim razem. We wtorek wieczorem musieliśmy pójść na katechezę do domu pastora Renkemy, by przygotować się do konfirmacji, ja, Obbe i jeszcze kilka osób z podstawówki. Dostaliśmy tam oranżadę i po kawałku fryzyjskiego miodownika. Chętnie tam chodzę, ale bardziej dla tego ciasta niż dla Słowa Bożego.

Podczas nabożeństwa mam coraz częściej cichą nadzieję, że ktoś ze staruszków z ostatniej ławki – wszyscy staruszkowie siedzą razem w ostatniej ławce, aby mogli być pierwsi w domu – zemdleje albo poczuje się źle. Zdarza się to regularnie, rozlega się wtedy głośny łoskot i staruszek składa się jak modlitewnik, a kiedy trzeba kogoś wynieść na zewnątrz, przez zbór przechodzi fala rozprężenia, która jednoczy mocniej niż wszystkie słowa z Biblii. Podobna fala coraz częściej przechodzi też przeze mnie. Ale to nie tylko ja tak mam. Wszyscy odwracamy głowy i patrzymy, dopóki ten, kto upadł, nie zniknie za rogiem, dopiero wtedy wracamy do psalmu. Babcia też jest stara, ale jeszcze nigdy nie była wynoszona ze zboru. W czasie kazania fantazjuję, że kiedy pewnego dnia upadnie, będę mogła bohatersko wynieść ją na zewnątrz, że tym razem wszyscy obrócą głowy, żeby spojrzeć na mnie. Babcia jednak jest w doskonałej kondycji, niczym młoda jałówka. Uważa, że Bóg jest jak słońce: zawsze jest przy tobie, nieważne, jak szybko starałabyś się uciekać na rowerze, On jedzie zawsze z tobą. Wiem, że babcia ma rację. Kiedyś próbowałam uciec słońcu,

aby być przed nim, bawić się w chowanego, ale wciąż widziałam je za plecami lub w kącikach oczu.

Patrzę na Obbego, siedzi w ławce obok. Zatrzasnął swoją książeczkę do nabożeństwa, jej cienki papier bardzo przypomina skórę matki, zupełnie jakbyśmy przy każdym psalmie ją odwracali i zapominali. Obbe dłubie przy pęcherzyku na wewnętrznej stronie dłoni. Zanim przyjdzie lato, trzeba wywieźć gnój ze wszystkich obór, żeby na zimę znów lśniły czystością. Właściwie nigdy nie żyjemy daną porą roku, zawsze zajmujemy się następną.

Z czasem delikatna błona pęcherza robi się twarda jak kamień i można ją zrolować w palcach. Nieustannie się odnawiamy, tylko ojciec i matka już nie. Są jak Stary Testament, powtarzają własne słowa, gesty, wzorce i rytuały. Nawet jeśli my, ich naśladowcy, coraz bardziej się od nich oddalamy. Pastor prosi, abyśmy zamknęli oczy i pomodlili się za pola i rośliny. Ja modlę się za ojca i matkę. Żeby matka wybiła sobie z tej zakutej głowy silos i żeby nie dostrzegła sznura na strychowej belce, kiedy będzie odkurzać w moim pokoju. Przy każdej literze z pętelką, którą stawiam w zeszycie, myślę o niej, przy każdym węźle na woreczku z chlebem też, bo klipsa już nie kładziemy na puszce z sucharkami. Podejrzewam ojca, że specjalnie chowa klipsy do kieszeni kombinezonu. Czasem, kiedy leżę na materacu na brzuchu i poruszam się na moim misiu, fantazjuję, że mamy w kuchni taką maszynkę, jak mają w kramie „Przy schodkach", za każdym razem przeciągają przez nią woreczek z chlebem i wokół pojawia się czerwona tasiemka. Skończyłyby się problemy z klipsami i matka już by się więcej nie smuciła.

Przez rzęsy podglądam ojca. Ma mokre policzki. Może nie modlimy się o rośliny uprawne, ale o urodzaj wszystkich dzieci we wsi już tak. Żeby mogły dorosnąć i stać się silne. I żeby ojciec zrozumiał, że przestał zajmować się własnymi polami i dopuścił nawet do tego, że jedno znalazło się pod wodą. Oprócz jedzenia i ubrania potrzeba nam uwagi. Wydaje się, że wciąż o tym zapominają. Zamykam oczy i modlę się za ropuchy pod biurkiem, za okres godowy i żeby przeniósł się na ojca i matkę, za Żydów w piwnicy, chociaż uważam, że to niesprawiedliwe, że oni mogą jeść płatki kukurydziane i parówki, a my nie. Dopiero kiedy czuję rolkę miętówek w kieszeni, otwieram oczy.

– Kto długo się modli, ma wiele grzechów – szepcze Obbe.

# 5

Czoło Obbego wygląda z boku niebiesko, jak pleśń na zepsutej bułce. Co kilka minut dotyka czubka głowy i trzema palcami przygładza włosy. Według matki wszyscy mamy trudne czaszki. Może dlatego, że nikt nie wywiera ciśnienia na skórę w tym miejscu – ojciec już nie kładzie dłoni na naszych głowach. Ręce trzyma sztywno w kieszeniach kombinezonu, tymczasem ciemię to punkt początkowy, z niego rośliśmy, tam stykały się luźne części czaszki. Może dlatego Obbe wciąż musi się tam dotykać, upewniać, że istnieje.

Ojciec i matka nie widzą naszych tików. Nie zorientowali się, że im mniej reguł, tym więcej sami ich wymyślamy. Dlatego Obbe uznał, że powinniśmy się spotkać i po nabożeństwie poszliśmy do jego pokoju. Usiadłam na łóżku, Hanna oparła się o mnie, jest senna, delikatnie łaskoczę ją w kark. Pachnie niepokojem ojca: jej sweterek przesiąkł papierosowym dymem. W drewnianej ramie łóżka, tam gdzie Obbe ma głowę, pojawiły się małe pęknięcia, bo każdego wieczoru tłucze o nią głową, kiedy dziko rzuca się na poduszce, wydając przy tym monotonny dźwięk. Próbuję zza ściany zgadnąć melodię. Czasem brzmi jak śpiew, ale częściej jak pomruk. Psalmy na szczęście pomija, przygnębiają mnie. Gdy słyszę, że zaczyna się tłuc, idę do niego i mówię, żeby był cicho, inaczej matka znowu zacznie się martwić, jak to będzie w jednym namiocie na kempingu, chociaż pewnie nigdy tam nie pojedziemy. Na chwilę to pomaga, ale już po kilku minutach Obbe znów zaczyna się tłuc. Czasem się boję, że pęknięcia przestaną się pojawiać na drewnie, a zaczną w jego głowie i trzeba będzie ją wypolerować i dać nowy lakier. Hanna też zaczęła się tłuc, dlatego coraz częściej sypia u mnie w łóżku. Trzymam ją wtedy za głowę, dopóki nie zaśnie.

Z dołu dobiega dźwięk odkurzacza, matka sprząta salon. Nie cierpię tego dźwięku. Matka odkurza trzy razy dziennie, nawet jak nie jest nakruszone, bo wcześniej pozbieraliśmy z wykładziny okruchy, wynieśliśmy je w dłoniach na podwórko i rzuciliśmy na żwir.

– Będą się jeszcze całować? – pyta Hanna.

– Może całują się z języczkiem – mówi Obbe.

Hanna i ja chichoczemy. Gdy mowa o całowaniu się z językiem, zawsze przypominają mi się oślizłe, pieczone purpurowoczerwone gruszki, które matka przyrządza z cynamonem, sokiem z porzeczek, goździkami i cukrem.

– A może goli leżą na sobie?

Obbe wyciąga chomika z klatki przy łóżku. Od niedawna nazywa się Tiesje. To karłowaty chomik pustynny. Jego kołowrotek pożółkł od zaschniętych sików, wszędzie leżą łuski po słoneczniku. Najpierw trzeba poruszać palcem w trocinach, zanim się go wyciągnie z norki, inaczej przestraszy się i ugryzie. Też bym chciała, żeby traktowano mnie z taką delikatnością, a każdego ranka jestem brutalnie wyciągana z zagłębienia po Matthiesie, ojciec ściąga ze mnie kołdrę i mówi:

– Czas na krowy, stoją i ryczą z głodu.

Trudniej jest nie wpaść do zagłębienia, niż się z niego wydostać.

Chomik wędruje po ramieniu brata. Worki policzkowe ma zaokrąglone i wypchane jedzeniem. Od razu myślę o matce: nie, jej policzki akurat się zapadły. Nie byłaby w stanie przechowywać w policzkach jedzenia, żeby je potem wieczorem pałaszować. A jednak wczoraj przyłapałam ją na wylizywaniu kartonów po jogurcie, rozerwała je na zagięciu i wnętrze posmarowała odrobiną dżemu jeżynowego. Patrzyłam, jak jej palec raz po raz znika w ustach, delikatne mlaśnięcia, nitka śliny. Chomik raz na tydzień dostaje chrząszcza albo skorka, które znajdujemy w słomie u krów. Z tego jednak nie wyżyje. Matka musi znów zacząć jeść.

– Tiesje? Czy to nie jest zdrobnienie od Matthies? – pytam.

Obbe daje mi potężnego kuksańca w bok, spadam z łóżka i ląduję na łokciu. Staram się nie rozpłakać, chociaż uderzyłam się w czułe miejsce na łokciu i przez ciało przeszedł prąd. Byłoby niesprawiedliwie płakać nad sobą, kiedy nie potrafię płakać po Matthiesie. Powstrzymywanie łez przychodzi mi jednak z trudnością. Może robię się krucha jak porcelanowy serwis matki i za jakiś czas przed wyjściem do szkoły trzeba będzie mnie zawijać w gazety? „Bądź dzielna – szepczę do siebie. – Musisz być dzielna”.

Nagle Obbe znów robi się miły i łagodny. Na moment dotyka czubka głowy i z udawanym ożywieniem mówi, że nie chciał; nie wiem, co chciał, ale teraz roztrząsanie tego byłoby nierozsądne, serwisu nie myje się w zmywarce, bo wtedy zejdą wszystkie wesołe zdobienia. Hanna z przestrachem zerka na drzwi. Czasem, gdy się kłócimy, ojciec potrafi tak się rozgniewać, że aż goni za tobą po całym gospodarstwie. Choć przypomina to raczej kuśtykanie, bo z tą kulawą nogą biec przecież nie może. Jak cię dopadnie, da ci kopniaka w tyłek albo chlaśnie w tył głowy. Najlepiej uciekać do kuchni. Po kilku rundach wokół stołu da za wygraną i głowa mu się przewietrzy jak podziurawione pudełeczko po twarogu, w którym Obbe trzyma schwytane motyle – kiedy zapada cisza, słychać, jak skrzydełka uderzają o plastikowe wieczko. Obbe opowiadał, że potrzebuje ich do ważnego szkolnego zadania, ma zbadać długość życia niektórych gatunków motyli. Ojciec też ukrywa swoją nogę. Nigdy nie nosi krótkich spodni, nawet w upał – czasem wyobrażam sobie, że jego nogi to takie dwa patyki od podwójnej porcji lodów owocowych i pewnego dnia będzie je można rozerwać, wtedy wyrzucimy kulawą nogę albo zostawimy na słońcu za oborą do krycia krów, żeby się roztopiła.

– Jak się nie rozpłaczesz, pokażę ci coś ładnego – mówi Obbe.

Nabieram powietrza i wypuszczam je, podwijam rękawy kurtki. Na brzegach zaczynają się strzępić. Mam nadzieję, że nie będzie się z czasem kurczyć i nie odkryje mnie całej. Kokonów, tych na tyłach ogrodu, też lepiej nie skubać paznokciem, dopóki się nie przepoczwarzą. Mogłyby z nich wyjść ułomne motyle, a takie nie przydałyby się do badań Obbego.

Kiwam głową na znak, że nie będę płakać. Bycie dzielną zaczyna się od powstrzymywania łez.

Obbe pozwala chomikowi wejść za kołnierz piżamy, a kiedy Tiesje jest na jego brzuchu, unosi gumę swoich bokserek. Widzę jego siusiaka i wokół czarne włosy, poskręcane jak tytoń ojca. Hanna chichocze.

– Twój siusiak dziwnie się zachowuje, podnosi się.

Obbe szczerzy się z dumą. Chomik schodzi w dół obok jego siusiaka. A co, jeśli ugryzie lub zechce wykopać dziurę?

– Jak go ciągnę, to wychodzi coś białego.

To dopiero musi być bolesne. Już zapomniałam o czułym miejscu na łokciu. Przez moment chcę dotknąć jego siusiaka, pogładzić jak futerko Tiesjego. Ot tak, żeby sprawdzić, jaki jest w dotyku, z czego jest zrobiony i czy można nim poruszać. Może nawet delikatnie pociągnąć, jak krowę za ogon, wtedy ona odwraca tylko głowę, ale jak dalej ciągniesz, to już może wierzgnąć.

Obbe puszcza gumkę niebieskich bokserek w białe paski. Widać, jak wybrzuszenie się przemieszcza, niczym fala na oceanie.

– Tiesje zaraz się udusi – mówi Hanna.

– Przecież mój fiut się nie dusi – odpowiada Obbe.

– To prawda.

– A czy nie pachnie sikami?

Brat kręci głową. Szkoda, że nie widzę już jego siusiaka, czuję mrowienie w brzuchu, ale to chyba niemożliwe, bo od incydentu z misiem matka podaje mi każdego wieczoru dużą łyżkę jakiegoś syropu, który smakuje jak dropsy z lukrecją. Na etykiecie butelki jest napis: „Na robaki". Nie powiedziałam jej, że tamtego dnia myślałam o Jasiu i o spikerce Dieuwertje Blok, przede wszystkim o Dieuwertje. To pewne, że matka pokłóciłaby się wtedy z ojcem, bo nie lubi fantazjowania, w fantazjach często pomija się cierpienie, a matka uważa, że ono się należy, nie potrafi wziąć sobie od tego wolnego, czułaby się winna, a kto cierpi, nosi swoje grzechy jak napisane za karę linijki w szkolnym zeszycie.

Obbe macha nogami i Tiesje wypada na kołdrę. Czarne oczka przypominają główki zapałek, na grzbiecie ma czarny prążek, a prawe uszko podwójnie zwinięte. Jakkolwiek by go wygładzać, znów się zwija. Hanna właśnie chce się na mnie oprzeć, kiedy Obbe bierze z nocnego stolika szklankę mętnej wody. Obok szklanki leży stos żetonów do gry. Całe są w piasku. W podstawówce nazywali Obbego „Żetonowym Królem". Wygrywał ze wszystkimi, nawet z tymi, którzy oszukiwali.

– Miałem wam coś pokazać.

– Więc to nie było to?

Nagle robi mi się sucho w ustach, z trudem przełykam ślinę. Wciąż mam przed oczami to białe coś, o czym mówił Obbe. Czy to coś podobnego do zawartości rękawa, którego używa się do robienia faszerowanych jajek na

urodziny? Matka trzyma to w piwnicy, żeby zapach nie rozchodził się po całym domu. Żydom chyba trudno się powstrzymać i nie podjadać, nie wygrzebywać potajemnie palcem żółtawej masy z kawałkami zielonej bazylii, ja też tak kiedyś robiłam, ale białko zostawiałam – bez nadzienia nie było już potrzebne. Kiedy jeszcze żył Matthies, matka mówiła:

– No właśnie, pożeracze jajek znów tu byli – i uśmiechając się, wyjmowała z lodówki drugi rękaw, który na wszelki wypadek zachowała.

Teraz nie obchodzą już swoich urodzin, więc matka nie robi faszerowanych jajek.

– Nie, dopiero teraz będzie – mówi Obbe.

Wrzuca Tiesjego do szklanki z wodą, zakrywa ją dłonią i zaczyna powoli kołysać na boki. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, wygląda to zabawnie. Wszystko, co można policzyć, działa uspokajająco: obstawiam, że po minucie chomik będzie musiał zaczerpnąć powietrza. Przemieszcza się coraz szybciej z jednej strony szklanki na drugą z wybałuszonymi oczami i gwałtownie przebiera łapkami. Po kilku sekundach unosi się na powierzchni jak szara bańka powietrza w poziomicy. Nikt nic nie mówi. Słychać tylko trzepot skrzydełek motyli. Hanna wybucha płaczem, zanosi się od płaczu. Po chwili słychać kroki na schodach. Przestraszony Obbe pospiesznie ukrywa szklankę za zamkiem z klocków Lego, tam gdzie nieprzyjaciel dochowuje zawieszenia broni.

– Co się tutaj dzieje?

Ojciec otwiera drzwi na oścież, poirytowany rozgląda się po pokoju. Oblewam się rumieńcem. Hanna leży na kołdrze zwinięta w kłębek.

– Budrysówka zepchnęła Hannę z łóżka – odzywa się Obbe.

I patrzy mi prosto w oczy. Po jego oczach nie można nic poznać. Nie ma w nich pęcherzyka powietrza, który by je utrzymywał w poziomie, są suche jak pieprz. Kiedy ojciec przez chwilę nie patrzy, Obbe szybko otwiera usta, wkłada do nich palec i od razu wyjmuje, jakby miał zwymiotować. Szybko ześlizguję się z łóżka.

– Dobra – mówi ojciec. – Ty do swojego pokoju i modlić się.

Jego but dosięga moich pośladków i być może kupa, która tam utkwiła, wskoczyła na powrót do jelit. Jeśli matka dowie się prawdy o Tiesje, znów wpadnie w ponury nastrój i zamilknie na wiele dni. Rzucam ostatnie

spojrzenie Hannie i Obbemu, i zamkowi z klocków Lego. Mój brat jest nagle strasznie pochłonięty swoją kolekcją motyli, pewnie łapał je w powietrzu gołymi rękami.

# 6

Moja mała siostra jako jedyna rozumie, dlaczego nie ściągam kurtki. I jako jedyna stara się znaleźć jakieś rozwiązania. Wypełniamy nimi nasze wieczory. Czasem boję się, że któreś z jej rozwiązań zadziała, a przez to coś jej odbiorę, bo dopóki mamy pragnienia, nie grozi nam śmierć, która wisi nad zagrodą jak duszący zapach gnojowicy już po jednym dniu rozlewania na polach. Do tego moja czerwona kurtka budrysówka blaknie coraz bardziej, jak twarz Matthiesa. Nigdzie w domu nie wisi jego zdjęcie, tylko w małym drewnianym pojemniczku na parapecie leżą jego mleczne zęby, kilka ze śladami zaschłej krwi. Każdego wieczoru, jakby chodziło o ważny sprawdzian z historii, próbuję przywołać jego obraz, nauczyć się na pamięć rysów jego twarzy – jak hasła „liberté, égalité, fraternité", które nieustannie powtarzam, aby przyswoić jakąś wiedzę *i* to akurat taką, którą można się popisać przed dorosłymi na rodzinnej uroczystości – wszystko w obawie, że nadejdzie chwila, kiedy zawrócą mi w głowie inni chłopcy i obraz mojego brata się wśród nich zagubi. Kieszenie mam ciężkie od wszystkiego, co zbieram. Hanna pochyla się nade mną i podsuwa mi garść słonego popcornu: to ofiara, która ma wynagrodzić to, że się za mną nie wstawiła. Gdybym naprawdę zepchnęła ją z łóżka, Tiesje może by jeszcze żył. Teraz nie mam ochoty z nią gadać. Teraz chciałabym, żeby ojciec albo matka powiedzieli mi, że nie zrobiłam nic złego. Ale ojciec nie przyjdzie. Nigdy nie powie „przepraszam". To słowo nie przejdzie mu przez spierzchnięte usta, tylko Słowo Boże spływa z nich z łatwością. Dopiero gdy poprosi cię przy stole o podanie mu czegoś do posmarowania chleba, dowiadujesz się, że znów jest dobrze. Trzeba się wtedy cieszyć, że znów możesz mu podać puszkę reńskiej melasy, chociaż czasem wolałabym rozsmarować mu tę melasę nożem po twarzy, żeby poprzyklejały się do niej nasze spojrzenia, żeby wiedział, że trzech króli nie może odnaleźć Wschodu.

Nagle pomyślałam, że ojciec nie tylko zdrapuje gwiazdy z sufitu, ale też z nieba, i dlatego wszystko wygląda mroczniej, a Obbe robi się coraz

gorszy: zgubiliśmy drogę i nie ma kogo o nią spytać. W zimowy sen zapadł nawet Wielki Miś z mojej ulubionej książki z obrazkami, który każdego wieczoru ściągał z nieba księżyc dla Małego Misia, bo ten bał się ciemności. Tylko światełko w przełączniku daje nieco pociechy. Tak właściwie jestem już na to za duża, ale w nocy wszyscy tracą swój wiek, strach ma więcej oczu niż matka sukienek w kwiatki, a to coś znaczy, bo jej szafa pęka w szwach, a ona nosi stale tę samą, z kaktusami, jakby wszystkich chciała trzymać na dystans. Teraz często zakłada na nią jeszcze szlafrok.

Leżę twarzą do ściany, na której wisi czarno-biały plakat Boudewijna de Groota: samotny rowerzysta z dzieckiem na siodełku przed sobą, jadący wąską ścieżką wśród wzgórz. Przed snem wyobrażam sobie czasem, że to ja jestem tym dzieckiem, a matka trzyma kierownicę, mimo że nie lubi jeździć na rowerze, za bardzo się boi, że sukienka wkręci się w szprychy, więc nigdy nie będziemy aż tak samotne, by razem znaleźć się na tej samej ścieżce. Odwracam się w momencie, gdy Hanna kładzie między nami prażoną kukurydzę, która od razu przykleja się do prześcieradła. Bierzemy po kolei, raz ona, raz ja. Nagle przychodzi mi do głowy werset z Księgi Przysłów: „Czynienie sprawiedliwości i sądu bardziej się podobają Panu niż ofiara". Nie rozumiem tej ofiary, rzadko dostajemy popcorn i wiem, że zamiary Hanny są szczere, bo kiedy uświadamia sobie swoją winę, patrzy szeroko otwartymi oczami jak pastor, gdy wylicza grzechy całego zboru i spogląda w sufit, który właśnie został pobielony: grzechy plamią tak jak muchy fajdają.

Czasem sięgam z opóźnieniem, wtedy dotykam palców Hanny i czuję jej poobgryzane paznokcie. Osadzone głęboko, obramowane czerwoną skórą, kawałki białego tłuszczu w serwolatce. Mój kłopot to tylko żałoba za paznokciami. Według Hanny tak to wygląda, kiedy za często myślisz o śmierci. Od razu widzę wybałuszone oczka Tiesjego, czuję pustkę, jaka na mnie spłynęła, gdy przestał już przebierać łapkami, a potem szok, cisza końca, która wszystko niszczy, pusty kołowrotek.

Hanna zjada ostatni popcorn i opowiada o nowej Barbie, o której marzy, a ja spostrzegam, że już od jakiegoś czasu trzymam pod kołdrą złożone dłonie. Może Bóg czeka od pół godziny, żebym coś powiedziała? Rozsuwam palce: u nas we wsi nie mieć słów to też wymowny znak. Nie

mamy automatycznych sekretarek, ale pozwalamy ciszy zapadać na długo; ciszy, w której słychać tylko ryk krów, gwizd czajnika.

– Wypadek samochodowy czy pożar? – pytam.

Z twarzy Hanny znika napięcie, już wie, że przestałam się na nią gniewać i wracam do naszego codziennego rytuału. Ma zaczerwienione usta, pokryte warstewką soli. Składając ofiary, dostajesz więcej, niż dajesz. Może dlatego Obbe zabił Tiesjego? Żeby odzyskać Matthiesa? Nie chcę myśleć o moim darze, o czterech łapach, klapniętym uszku i prawie stu milionach komórek węchowych.

– A jak miałby ich ogarnąć pożar?

– Bo ja wiem… Czasem zapominają zgasić świeczkę, tamtą pod oknem, od strony podwórza – mówię.

Hanna powoli kiwa głową. Wątpi, czy to prawda. Wiem, że posuwam się za daleko, ale im więcej wymyślam różnych scenariuszy śmierci ojca i matki, tym mniejsze są szanse, że coś nas zaskoczy.

– Morderstwo czy rak?

– Rak – odpowiadam, i dorzucam: – Skok z silosu na paszę czy utonięcie?

– Dlaczego mieliby skakać akurat z silosu? – pyta Hanna. – To przecież idiotyczne.

– Tak robią ludzie, którzy bardzo cierpią, rzucają się wtedy w dół.

– Uważam, że to głupi pomysł.

Wcześniej myślałam, że to śmierć może zaskoczyć ojca i matkę, ale oni równie dobrze mogą ją też uprzedzić. Dzień Sądu można przecież zaplanować jak urodzinową imprezę. Odbywa się to tak, jak matka opowiadała pewnego wieczoru, albo z pomocą przychodzi sznur na belce lub jeden z jej szali, które zakłada, idąc do kościoła. Ma je w różnych kolorach, i to takich, które w tej sytuacji tym bardziej pognałyby ją na strych. I zawiązuje je tak mocno, że po powrocie z kościoła widać na jej szyi ślad. Ale może zaciska je, żeby w psalmie osiągnąć odpowiednią wysokość tonu? Bywają tak wysokie, że trzeba zacisnąć pośladki. Mówię jednak do siostry:

– To bardzo głupi pomysł, obstawiam zawał lub wypadek samochodowy, matka jeździ tak nierozważnie.

Szybko wkładam do ust ostatni zagubiony popcorn, który poturlał mi się pod brzuch, wysysam z niego sól tak długo, aż traci smak i robi się wiotki na języku. Przypomina mi się, jak Obbe kazał mi włożyć do ust martwego trzmiela, który leżał na parapecie obok gumy do żucia matki – przed snem wyjmuje z ust gumę do żucia, robi z niej kulę i zostawia na noc, żeby stwardniała i by następnego dnia znów mogła ją żuć. Włożyłam trzmiela do ust jak kulkę gumy. Zrobiłam to za stosik żetonów do gry, Obbe był pewien, że zabraknie mi odwagi. Czułam włoski trzmiela na podniebieniu, na języku skrzydełka jak płatki migdałów. Obbe liczył do sześćdziesięciu. Ja zachowywałam się tak, jakby to był miodowy cukierek, ale przez całą minutę miałam w ustach śmierć.

– Myślisz, że ojciec ma serce?

Obraz trzmiela ustępuje miejsca klatce piersiowej ojca. Jeszcze dziś ją widziałam. Było gorąco, więc chodził wśród krów na pastwisku bez koszuli. Na piersiach ma trzy włosy na krzyż. Blond. Trudno mi sobie wyobrazić serce za jego żebrami, prędzej gnojówkę.

– Na pewno – odpowiadam. – Zawsze dużo daje podczas kolekty w kościele.

Hanna kiwa głową i przygryza policzki od środka. Oczy ma czerwone od płaczu. Nie rozmawiamy o Tiesje, nie rozmawiamy o tym, o czym nie będziemy mogły zapomnieć. Gnojnik też jest tylko raz w roku opróżniany. To nie jest moment, by ulżyć sercu, nawet nie wiem, kiedy taki nastąpi. I nie wiem jak. Babcia mówi czasem, że od modlitwy robi się lżej na sercu, moje jednak nadal waży trzysta gramów. To tyle co paczka mielonego.

– Znasz bajkę o Roszpunce? – pyta Hanna.

– Oczywiście, że znam.

– Ona jest naszym rozwiązaniem – mówi Hanna.

Odwraca się na bok, aby spojrzeć mi prosto w oczy. W świetle mojej kuli ziemskiej jej nosek przypomina wywróconą żaglówkę. Taką urodę widzi się rzadko, Hanna jest piękna jak jej rysunki kredkami świecowymi: są nieregularne i przez to mają w sobie coś ładnego, coś naturalnego.

– Pewnego dnia uratowano ją z wieży. My też potrzebujemy wybawcy. Kogoś, kto nas zabierze z tej śmiesznej wsi, od ojca i matki, od Obbego, od nas samych.

Potakuję, to dobry plan. Ale moje włosy sięgają dopiero nieco za uszy i miną całe lata, zanim ktoś będzie mógł się po nich gdzieś wspiąć. A do tego najwyższym punktem w gospodarstwie jest strych na siano, a tam można się zwyczajnie wdrapać po drabinie.

– I żeby ciebie wydostać z tej kurtki – dodaje Hanna.

Przeciąga lepkimi dłońmi po moich włosach, czuję słonawy zapach popcornu, przesuwa je na głowę i stuka w nią palcami, aż czuję mrowienie na skórze. Ja nigdy nie dotykam Hanny, chyba że mnie poprosi. Zwyczajnie nie wpadam na taki pomysł. Są dwa typy ludzi – tacy, co nie odpuszczają, i tacy, co odpuszczają. Ja należę do tego drugiego typu. Tylko dzięki przedmiotom, które zbieram, mogę zatrzymać wspomnienie lub człowieka, mogę je chronić i ukryć w kieszeniach.

Hannie utkwiła na zębie łupina z popcornu. Nic jej nie mówię.

– Ale czy nie mogłybyśmy pójść razem? – pytam.

– Tamta strona jest jak monopolowy we wsi; nie wpuszczą cię, jeśli nie masz szesnastu lat.

Hanna patrzy na mnie stanowczo. Teraz nie ma sensu się z nią sprzeczać.

– No i to musi być mężczyzna, wybawcami zawsze są mężczyźni.

– A Bóg? On też jest wybawcą?

– Bóg ratuje tylko tych, którzy poszli na dno. Nawet nie próbuj pływać.

– Poza tym – ciągnie Hanna – Bóg jest zbyt blisko zaprzyjaźniony z ojcem. Na pewno o wszystkim mu opowie, a wtedy nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Hanna ma rację. Chociaż nie wiem, czy w ogóle pragnę wybawcy, bo najpierw trzeba wiedzieć, jak się go uchwycić, jednak nie chcę rozczarować siostry. Już słyszę, jak ojciec krzyczy na nas z Księgi Rodzaju: „Kto lud swój opuszcza, staje się włóczęgą, oderwanym od swego pierwotnego istnienia". Czy to jest to nasze pierwotne istnienie, czy może czeka na nas gdzieś na ziemi inne życie, tak samo dobrze do nas pasujące jak moja kurtka?

– Masz dwadzieścia cztery godziny na decyzję – mówi Hanna.

– Dlaczego dwadzieścia cztery?

– Mamy mało czasu, od tego zależy nasze życie – odzywa się tonem, który słyszę, kiedy gramy w szopie w ping-ponga i wciąż nie wychodzą jej piłki. Mówi wówczas: „Teraz to już naprawdę". Tak jakbyśmy tam stały tylko po to, żeby odganiać paletkami gnojne muchy.

– I co potem? – pytam.

– Potem, no potem się zacznie – szepcze Hanna.

Wstrzymuję oddech.

– Całowanie. Roszpunka miała długie włosy, my mamy nasze ciała. Musisz mieć jakiś oręż, jeśli chcesz, żeby ktoś cię uratował. – Hanna się uśmiecha.

Gdybym miała dłutko, tobym ją lekko stuknęła w nos i od razu by się wyprostował. Wszystko, co niepotrzebnie odciąga uwagę, trzeba usunąć, powiedział kiedyś ojciec i kazał mi wyjąć z tornistra karty do Pokemona, a potem wrzucił je do pieca, mówiąc:

– Nikt nie może dwom panom służyć, gdyż albo jednego nienawidzić będzie, a drugiego miłować, albo jednego trzymać się będzie, a drugim pogardzi…

Zapomniał, że my przecież już służymy dwóm: ojcu i Bogu. Trzeci może to skomplikować, ale to kłopot na później.

– Phi. – Robię grymas.

– Nie chcesz zostać uratowana i przedostać się na tamtą stronę mostu?

– Jak nazwiemy nasz plan? – pytam szybko.

Hanna myśli chwilę.

– Po prostu Plan.

Zaciągam troczki kurtki, czuję, jak kołnierz zaciska mi się na karku. Czy tak samo czułabym pętlę zwisającą z belki, gdyby leżała na mojej szyi? Spod biurka słyszę pacnięcie. Hanna nie wie, że uwięziłam dwie ropuchy, że w pokoju mam już kawałek tamtej strony. Rozsądnie będzie jej na razie o tym nie mówić, nie chcę, żeby wpadła na pomysł, by je wpuścić do jeziora, pozwolić im pływać i patrzeć, jak nurkują tam, gdzie zniknął Matthies. Żeby je głaskać, bo teraz mam przynajmniej coś, co mogę trzymać w dłoniach, mimo że są dziwaczne w dotyku. Na szczęście Hanna tego nie słyszała, jej głowę wypełnia Plan.

Z dołu słychać kroki. Ojciec wysuwa głowę znad schodów wiodących na strych:

– Leżycie i rozpamiętujecie swoje grzechy?

Hanna śmieje się i czerwieni. To największa różnica między nami – ona jest jasna, ja ciemna. I robię się coraz ciemniejsza.

– Jazda do łóżka, Hanno! Jutro szkoła.

Ojciec schodzi na dół, patrzę za nim, na jego przedziałek pośrodku głowy, która przypomina śrubę z rowkiem. Czasem chciałabym wkręcić go w ziemię, żeby mógł robić tylko dwie rzeczy: patrzeć i słuchać, bardzo długo słuchać.

# 7

Budzę się ze strachu w środku nocy. Kołdra jest mokra od potu, planety i ciała niebieskie na niej dają jakby mniej światła. A może tyle samo, tylko mnie to nie zadowala, bo robią się coraz bledsze. Odkrywam się i siadam na brzegu łóżka. Pod cienkim materiałem piżamy moje ciało natychmiast zaczyna drżeć, ciągnie od szpary pod drzwiami i chłód chwyta mnie za kostki. Narzucam kołdrę na ramiona i myślę o koszmarze, który mi się przyśnił: ojciec i matka leżeli pod lodem jak dwa zamrożone węgorze, czasem dostajemy takie od Evertsena, zawinięte w protestancki „Reformatorisch Dagblad". Ojciec zawsze wtedy mówi:

– Zawinięte w Słowo Boże smakują jeszcze lepiej.

Evertsen też tam był. Miał na sobie niedzielny garnitur z wąskimi klapami i błyszczący czarny krawat. Na mój widok zaczął sypać sól na lód i powiedział:

– Teraz tak szybko się nie zepsują.

Położyłam się płasko na lodzie, jak śnieżny anioł, który runął z nieba, i popatrzyłam na rodziców – wyglądali jak figurki dinozaurów w słoiczku, kiedyś dostałam takie na urodziny; tkwiły w czymś w rodzaju żelowej galaretki. Obbe i ja nożem do usuwania gniazd nasiennych z jabłek wydłubaliśmy potem te figurki z galaretki. Ale takie wyjęte nieszczególnie nam się podobały, interesowały nas, dopóki istniał między nami dystans i były nietykalne, jak moi zamrożeni rodzice. Zastukałam w lód, przyłożyłam do niego ucho i usłyszałam melodyjny odgłos sunących łyżew; chciałam do nich zawołać, ale z gardła nie wydostawał się żaden dźwięk. Kiedy wstałam, zobaczyłam nagle pastora Renkemę, stał na brzegu w fioletowej todze, zakładał ją tylko na Wielkanoc, kiedy wszystkie dzieci z parafii kroczyły z krzyżami przez nawy zboru. Na każdym krzyżu wisiał zając ze świeżo upieczonego chleba, z rodzynkami udającymi oczy. Zanim wyszliśmy z kościoła, Obbe zeżarł już połowę swojego zająca. Ja nie miałam odwagi zacząć jeść, ze strachu, że po powrocie do domu zastanę pustą

klatkę królika, że kiedy odłamię uszy, stanie się to także z Dieuwertje. Włożyłam chlebowego zająca do szuflady biurka i tam spleśniał. To nie było takie złe. Pleśnienie to w końcu długotrwały proces rozkładu. Ale w moim koszmarze Renkema stał wśród trzcinowych pióropuszy jak kormoran, czekając na moment, kiedy będzie mógł zapolować. Zanim się obudziłam, odezwał się uroczyście: „Bo jak wysoko niebo góruje nad ziemią, tak drogi moje są wyższe od waszych, a plany moje – przewyższają wasze!". Potem wszystko pociemniało, kryształki soli zaczęły się pode mną topić, jakbym się zapadała pod śnieg, aż znów zobaczyłam przerębel: światełko w przełączniku obok szafki na książki w moim pokoju.

„A plany moje – przewyższają wasze!". Czy pastorowi chodziło o misję Obbego i Hanny? Pstrykam kulę ziemską na nocnej szafce, stopami przeszukuję podłogę, by znaleźć pantofle, i wygładzam fałdy na kurtce. Nie wiem, jaki mam plan poza tym, żeby ojciec i matka znów byli radośni i pewnego dnia znów zaczęli się parzyć, żeby matka znów zaczęła jeść i żeby nie umarli. Kiedy wypełnię tę misję, będę mogła ze spokojnym sumieniem udać się na tamtą stronę.

Wyciągam spod biurka wiadro na mleko i patrzę z góry na ropuchy, które spoglądają na mnie sennym wzrokiem. Wydają się chudsze, a ich brodawki bielsze, jak obrazki strzelających diabełków, które Obbe zakreśla przed sylwestrem w gazetce reklamowej ze sztucznymi ogniami – tygodniami studiuje race i fontanny, aby skompletować jak najlepszy zestaw; Hanna i ja wybieramy tylko naziemne fontanny, najbardziej nam się podobają i są najmniej przerażające. Przechylam nieco wiadro, żeby zobaczyć, czy już coś zjadły, ale liście sałaty zwiędły i zbrązowiały. Wiem, że ropuchy nie widzą tego, co się nie porusza, i mogą przez to umrzeć z głodu. Ruszam liściem sałaty wte i wewte przed ich głowami.

– Będzie wam smakować, jedzcie, jedzcie – nucę cichutko.

Nic nie pomaga, głupie stworzenia olewają jedzenie.

– No to teraz czas, żeby się zacząć parzyć – mówię stanowczo i biorę mniejszą. Czasem trzeba samemu sięgnąć po władzę, inaczej nic się nie wydarzy. Ojciec też dopuszcza byka do krów dwa razy do roku. Hitler też zdecydował, co ma robić jego naród, surowo przemawiając do ludzi.

Ropucha jest zimna i wilgotna, jak skarpeta z antypoślizgowymi zgrubieniami. Delikatnie pocieram jej brzuchem o grzbiet drugiej ropuchy.

Kiedyś widziałam to w telewizji edukacyjnej. Ropuchy całymi dniami siedziały jedna na drugiej – teraz jednak nie ma na to czasu. Ojciec i matka nie mają całych dni, leżą jak lonty w naszych dłoniach, czekają, by ktoś ich podpalił, wtedy dadzą nam ciepło. I kiedy tak pocieram ropuchy o siebie, szepczę do nich:

– No, dalej, bo umrzecie, chyba nie chcecie umrzeć? Co?

Czuję, jak błony między ich palcami opierają się o moją rękę. Coraz mocniej obejmuję ropuchę, z coraz większą stanowczością ocieram jedną o drugą. Po kilku minutach zaczyna mnie to nudzić i wkładam je z powrotem do wiadra. Odwijam z papierowej serwetki kilka listków szpinaku, skradzionych z kolacji, i kawałek grzanki, która już zmiękła. Ropuchy siedzą cicho. Czekam, aż zaczną jeść, ale nic się nie dzieje. Wzdycham i wstaję. Może potrzeba czasu, zmiana zawsze wymaga czasu. Krowy też nie od razu jedzą nową karmę, trzeba ją po trochu mieszać ze starą, żeby się nie zorientowały, że to inne granulki.

Nogą wsuwam wiadro pod biurko i dostrzegam pinezkę obok pojemnika na pióra. Spadła z korkowej tablicy, była nią przypięta widokówka od sąsiadki Lien, która co jakiś czas pisze do mnie, bo żaliłam się kiedyś, że nigdy nie dostaję poczty, a ojciec i owszem: piękne błękitne listy. Myślę, że niektóre dotyczą Żydów. Ktoś przecież musi za nimi tęsknić, skoro tak długo ukrywają się u nas. Chciałam o nich opowiedzieć pani w szkole, ale bałam się, że ktoś podsłucha. Kilku chłopców z mojej klasy ma w sobie coś nazistowskiego, szczególnie Dawid, który kiedyś w piórniku przeszmuglował do szkoły mysz. Cały dzień ukrywał ją wśród swoich cieknących piór i w końcu wypuścił na biologii, krzycząc:

– Mysz, mysz!

Pani zwabiła ją do pułapki okruszkami z chleba, gdzie wśród krzyków klasy umarła ze stresu.

Sąsiadka Lien nie pisze dużo na tych widokówkach, które wysyła. Często o pogodzie i swoich krowach, ale obrazki na odwrocie są przepiękne: białe plaże, małe i duże kangury, Willa Śmiesznotka z książki o Pippi, dzielna mysz, która w końcu zbiera się na odwagę, by popłynąć. Nagle wpadam na pomysł. Pani wpięła pewnego dnia pinezkę w mapę świata, która wisiała na ścianie z tyłu klasy. Belle chętnie pojechałaby do Kanady, bo tam mieszka jej wujek. Pani powiedziała wtedy, że miło tak pomarzyć

o miejscach, do których kiedyś chciałoby się pojechać. Podciągam kurtkę i T-shirt wysoko, aż widać mi pępek. Hanna jako jedyna ma wystający pępek: blade zgrubienie, jak nowo narodzona myszka, która jeszcze ślepa zwinęła się w kłębek, podobna do tych, jakie znajdujemy czasem pod brezentem w sianokiszonce.

– Chciałabym kiedyś wrócić do siebie – mówię cicho i wbijam pinezkę w miękkie ciało pępka. Przygryzam wargę, aby nie wydać żadnego dźwięku, strużka krwi płynie do gumki w majtkach, wsiąka w materiał. Nie mam odwagi wyjąć pinezki z obawy, że krew tryśnie na wszystkie strony i wszyscy w domu będą wiedzieli, że nie chcę do Boga, tylko do samej siebie.

# 8

– Musisz jak najszerzej rozchylić pośladki.

Leżę na sofie z brązowej skóry, na boku, jak cielę w położeniu pośladkowym, i zerkam do tyłu na ojca. Ma na sobie marynarski sweter, co oznacza, że jest wyluzowany i krowy są mu dziś przychylne. O mnie można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jestem wyluzowana, od wielu dni nie mogę zrobić kupy, pod kurtką mój brzuch zrobił się twardy i wzdęty jak turban, matce czasem wyrasta taki pod ściereczką do naczyń – w drodze powrotnej z Betlejem trzej królowie też dostali ciasto i dlatego ich turban posłużył jako forma do pieczenia: nie mogę stracić mojej kupy, dopóki nie znajdziemy gwiazdy, chociaż teraz nie mogę jeszcze udać się na tamtą stronę, nawet siedzenie sprawia mi ból, a co dopiero długa podróż.

– Co będziesz robić, tato? – pytam.

Ojciec milczy, rozpina tylko zamek przy kołnierzu marynarskiego swetra, dostrzegam fragment nagiej klatki piersiowej. Trzyma kostkę szarego mydła i paznokciem kciuka odłamuje kawałek. Gorączkowo myślę o ostatnich dniach, czyżbym jeszcze poza *Lingo* powiedziała jakieś rumiane słowo? A może byłam wredna dla Hanny? Nawet nie zdążyłam się nad tym zastanowić, kiedy ojciec bez uprzedzenia wpycha mi do pupy palec wskazujący z kawałkiem mydła. Powstrzymuję krzyk poduszką, którą mam pod głową, zagryzam zęby na materiale. Przez łzy widzę wzór poszewki. Trójkąciki. Po raz pierwszy od śmierci Matthiesa płaczę, jezioro w mojej głowie się rozlewa. Ojciec szybko wyciąga palec. Znów odłamuje z kostki kawałeczek mydła. Próbuję przestać płakać i wyobrażam sobie, że gramy w wojnę; czasem z koleżankami i kolegami z klasy bawimy się tak za wsią, trzeba wtedy rzucić kijkiem na teren przeciwnika – palec ojca jest takim kijkiem, niczym innym. Mimo wszystko zaciskam pośladki i przez ramię oglądam się bojaźliwie na matkę, która przy kuchennym stole sortuje kolczyki z uszu martwych krów, niebieskie do niebieskich, żółte do żółtych. Nie chcę, żeby mnie taką widziała, ale nie mam nic, żeby się okryć, rumieniec okrywa mnie jak ciężka końska derka. Matka jest zajęta swoją

pracą i nie patrzy, nie obchodzi jej, że powinniśmy oszczędnie obchodzić się z mydłem, a ono właśnie kawałek po kawałeczku znika we mnie. Kolczyk spada ze stołu. Matka się schyla, włosy spadają jej na twarz.

– Szerzej rozewrzyj – mruczy ojciec.

Szlochając, rozszerzam rękoma pośladki, jakby to był pysk nowo narodzonego cielaka, który trzeba przytrzymać, bo nie chce ssać z butelki. Kiedy ojciec wpycha do środka palec po raz trzeci, nawet nie reaguję, wpatruję się tylko w okno dużego pokoju, które zalepiono starymi gazetami, to dziwne, bo ojciec i matka chętnie rozmawiają o pogodzie, a teraz nic nie będzie widać, co jest za oknem.

– Żeby nam nie zaglądano do garów – powiedział ojciec, kiedy go o to zapytałam, a teraz to w zasadzie ja powinnam mu to samo powiedzieć, skoro moje pośladki działają jak dwie kotary. Ale ojciec twierdzi, że mydło w pupie to wypróbowana metoda, od wieków stosowana u dzieci: za kilka godzin znów będę mogła się wysrać.

Kiedy ojciec bierze ostatni kawałek szarego mydła, matka podnosi wzrok i mówi:

– Brakuje numeru sto pięćdziesiąt.

Na nosie ma okulary do czytania – to, co jest w oddali, nagle staje się bliskie. Staram się skurczyć i zrobić się tak mała jak playmobilowy ludzik Hanny, którego Obbe ustawił kiedyś w kucki na brzegu sofy, a zaraz za nim, tuż przy jego pośladkach, innego ludzika. Nie rozumiałam, co w tym takiego śmiesznego i dlaczego strącił ludziki na podłogę, kiedy starsi zboru przyszli z wizytą duszpasterską. Ale nie udaje mi się skurczyć, za to czuję się jeszcze większa i bardziej widoczna.

Ojciec pociąga mnie za brzeg majtek na znak, że procedura zakończona, że mogę się już podnieść. Palec wyciera o marynarski sweter i tą samą ręką bierze kawałek piernika z bufetu. Dostaję klapsa w łydkę:

– To tylko mydło.

Pospiesznie podciągam spodnie i siadam na kolanach, żeby zapiąć guzik, potem przewracam się na bok jak krowa, która upada na betonowych rusztach, dłonią ocieram łzy z policzków.

– Sto pięćdziesiąt – odzywa się znów matka.

Dopiero teraz zdejmuje okulary.

– Wirus oddechowy – odpowiada ojciec.

– Biedne zwierzę – mówi matka.

Numer 150 ląduje w pojemniku z innymi martwymi krowami. Przez chwilę chciałabym być takim numerem, głucho i samotnie upaść, by za moment zniknąć w szafce z dokumentacją i już nigdy więcej się nie pojawić. Szafka zamykana jest na kluczyk, który wisi z boku na haczyku: chodzi o gest, o zamknięcie czegoś, żeby w ich głowach znów zwolniło się miejsce w jednym z boksów. Wciąż jeszcze czuję w sobie palec ojca. Kiedy się raz zatknęło flagę, nie można jej już odzyskać, to zasada. Kostka szarego mydła leży później na umywalce w toalecie, w metalowej mydelniczce. Widać na niej jeszcze odcisk paznokcia ojca. Nikt się nie przejmuje odłamanym kawałkiem, który teraz błąka się gdzieś po moim ciele. Kiedy sikam i patrzę na to mydło, słyszę słowa Obbego, że rozwinięta ścianka jelita cienkiego ma powierzchnię kortu tenisowego. Teraz kiedy Obbe chce mi dokuczyć, nie tylko udaje, że się dławi, ale też że podrzuca piłeczkę. Robi mi się niedobrze na samą myśl, że można by we mnie rozgrywać partię tenisa i że zajmuję o wiele więcej miejsca niż faktycznie zajmuję. Od czasu do czasu mam też przed oczami małego ludzika, który ciągnąc siatkę, wyrównuje mączkę na korcie, aby znów można było grać i abym znów mogła robić kupę, rzadką lub w kształcie kiełbasy. Mam nadzieję, że ludzikowi nie dostanie się do oczu mydło.

Na stole obok nowych kolczyków dla krów leży błękitny kostium kąpielowy, rzucony bezwładnie na mój plecak, dodatkowo jeszcze paczka naturalnych chipsów i kartonik napoju owocowego Fristi. Na basenie chipsy lądują czasem na podłodze, wtedy mokre płatki ziemniaków przyklejają się do stóp, wyglądają jak odmoczone pęcherze i trzeba je zdrapywać rogiem ręcznika. A potem można zobaczyć, jak odchodzą na stopach kogoś innego.

– Żyrafa jest jedynym zwierzęciem, które nie potrafi pływać – mówię.

Staram się zapomnieć o kawałku szarego mydła, który błąka się teraz po moim ciele, i o palcu ojca. Kto przegra w wojnę, wraca do domu zawiedziony. Nie wolno mi o tym zapomnieć. Tak już widać musi być, a ciasto, które odstawiono do urośnięcia, po wyjęciu z pieca zawsze się

trochę zapada – nic nie zachowuje swoich krągłości, mój brzuch tego nie robi, i matka też nie.

– Jesteś żyrafą? – pyta matka.

– Teraz tak.

– Brakuje ci tylko jeszcze jednego elementu.

– Tak, najtrudniejszego.

W mojej grupie wiekowej jako jedyna nie mam jeszcze karty pływackiej i przy ćwiczeniu „pływanie w przeręblu" stoję jak zmrożona: ważne, by to umieć, tutaj na wsi zimy są dość ostre i srogie. I chociaż tamtego grudniowego dnia ojciec spalił moje fryzyjskie panczeny, a teraz jest już połowa maja, to zawsze może nadejść chwila, w której trzeba będzie zmierzyć się z lodem. Miejsca na lodzie odtajałe od wiatru tkwią teraz przede wszystkim w naszych głowach.

– Gdyby Bóg nie chciał, żeby człowiek mógł pływać, toby nas takimi nie uczynił – mówi matka, wpychając mi strój kąpielowy i paczkę chipsów do plecaka.

Na samym dole jest pudełeczko z plastrami. Żebym tylko nie zapomniała nakleić jednego na pępek, bo przez kostium będzie widać zieloną pinezkę. Wtedy każdy się dowie, że nigdy nie wyjeżdżam na wakacje, inaczej tęskno byłoby mi za egzotycznymi krajami, plażami tak białymi, że wyglądają jak posmarowane kremem do opalania.

– Mogę się utopić – zaczynam ostrożnie i badam twarz matki w nadziei, że się przestraszy i na jej skórze pojawi się więcej kresek, niż kiedy płacze sama nad sobą, że wstanie i mnie obejmie, ukołysze jak ser z kminkiem w solance, że nie będę kolczykiem, który jej wciąż spada. Ale matka nawet na mnie nie patrzy.

– Nie dziwacz się, nie umrzesz.

Mówi, jakby mi zazdrościła, jakbym nie była dość sprytna, by przedwcześnie umrzeć. Oczywiście nie wie, że my, trzej królowie, staramy się spotkać śmierć. U Tiesjego widzieliśmy jej cień, ale to było zbyt krótkie, zbyt powierzchowne. A jeśli nie jest się przygotowanym, nie wiadomo, na co zwracać uwagę. Dobre przygotowanie stwarza człowieka – Bóg także wiedział, że potrzebujemy sześciu dni, aby siódmego dnia odpocząć od tego wszystkiego, co w tygodniu stworzyliśmy. Gdyby matka znała nasze

plany, na pewno trzymałaby się prosto – ojciec ma plecy jak słomka, a matka jak kartonik Fristi: można z niego wyssać całe powietrze i sok, a potem nadmuchać.

– A na wakacje będziemy mogli pojechać dopiero, gdy zdobędziesz kartę pływacką.

Wzdycham, czuję ukłucie pinezki w pępku. Skóra dookoła zrobiła się sina. W ubiegłym tygodniu rozciągnęli nad basenem białe żaglowe płótno z dziurami. Po obu stronach byli nurkowie. Nauczyciel pływania powiedział, że panika i wychłodzenie to najwięksi wrogowie. Nurkowie mieli na szyjach bolce do przebijania lodu, żeby wyglądało jak w rzeczywistości. Tamtego dnia Matthies zapomniał swojego bolca ze wzmocnionym szpikulcem. Został w przedpokoju na stoliku pod lustrem. Nikt nie wie, że go widziałam, że zawahałam się, czy nie pobiec za Matthiesem, ale powstrzymała mnie złość, bo nie pozwolił mi pójść ze sobą.

I jeszcze te głupie wakacje, pomyślałam. Zobaczymy, czy w ogóle coś z tego będzie. Matka przecież opuszcza zagrodę tylko po zakupy i do zboru. Tam gdzie można dojść pieszo, jest bezpiecznie, wszystko, co znajduje się dalej, wymaga pełnego baku, walizek i nowych rakietek do badmintona.

Na basenie Belle szturcha mnie w bok, ma na sobie różowy strój, na prawym ramieniu widać zmywalny tatuaż z Pokemonem, dostaje się taki przy zakupie dwóch paczek gumy do żucia, schodzi ze skóry powoli, kawałek po kawałku. Belle od kilku lat ma kartę pływacką i może już pływać sama, skakać z trampoliny i zjeżdżać na wielkiej zjeżdżalni.

– Ewa ma już cycki.

Wypatruję Ewy, która stoi w kolejce do wielkiej zjeżdżalni. Na początku roku szkolnego powiedziała mi na ucho, że ze słowa „gust" da się zrobić „bezguście" i że ja mylę oba. Wiadomo, że chodziło jej o moją kurtkę. Ewa jest dwa lata starsza i chyba musi dużo wiedzieć o tym, co chłopcom się podoba u dziewcząt i jak w związku z tym należy postępować. Pod koniec lekcji pływania ma najwięcej żelowych żabek Haribo, choć wszystkie zaczynamy z taką samą liczbą. Jedna porada u niej kosztuje dwie żabki.

Jako jedyna bierze prysznic osobno. Chyba dlatego, że ma na stopach brodawki, choć zaprzecza, ale ja je widzę, z boku stóp, wyglądają jak gruczoły śluzowe moich ropuch wypełnione trucizną.

– Czy nam też urosną? – pyta Belle.

Kręcę głową.

– My w nieskończoność będziemy niecycate, bo cycki rosną dopiero wtedy, kiedy jakiś chłopak będzie patrzył na ciebie dłużej niż dziesięć minut.

Belle rozgląda się za chłopcami, którzy za chwilę wejdą do przeręb la. Nikt na nas nie patrzy, nas się tylko widzi, a to zupełnie coś innego.

– No to trzeba się postarać, żeby na nas patrzyli.

Kiwam głową i pokazuję nauczyciela pływania, który właśnie sięga po gwizdek na szyi. Słowa grzęzną mi w ustach jak dzieci na zjeżdżalni, stłoczone niczym wagoniki kolejki, z której jeden za drugim wpada do wody. Moje ciało drży, pinezka się porusza i dotyka stroju.

– Panika nie jest wrogiem, tylko ostrzeżeniem. Wtedy zostaje już tylko jeden wróg – mówię.

I kiedy chcę wejść na słupek, widzę przed sobą Matthiesa. Słyszę uderzenia jego panczen, bulgot baloników powietrza pod lodem. Nurkowie powiedzieli, że pod wodą rośnie puls, ale ja nawet jeszcze jej nie dotknęłam, a serce wali mi jak w czasie nocnych koszmarów pięści walą o lód. Belle obejmuje mnie: uczymy się, jak ratować człowieka z przeręb la, ale poza tym nie wiemy, jak pomóc komuś przejść po lodzie suchą stopą, więc nie bez powodu ramię Belle jest ciężkie i niewygodne. Strój ciasno opina jej ciało, widzę rowek między jej chudymi nogami. Myślę o brodawkach na stopach Ewy. I że jak pękną, wypełnią basen zieloną trucizną, zamieniając nurków jednego po drugim w zielone żabki-słodycze. I o rechocie.

– Jej brat… – mówi Belle do nauczyciela pływania.

Nauczyciel wzdycha. Każdy we wsi wie o naszej stracie, ale im dłużej Matthiesa nie ma, tym bardziej miejscowi się przyzwyczajają, że jest nas pięcioro, do wsi sprowadzili się nawet ludzie, którzy nic o tym nie wiedzą. Mój brat powoli wyrasta z różnych głów, tylko w nasze wrasta wciąż mocniej.

Wyrywam się Belle i uciekam do przebieralni, tam na strój zakładam kurtkę i kładę się na ławce, pachnie chlorem. Jestem pewna, że woda zaraz zacznie się burzyć i raz-dwa powstanie kołnierz z piany. Nie może być inaczej, skoro mam ten kawałek szarego mydła w sobie. Wszyscy będą mnie sobie pokazywać palcami i wtedy naprawdę będę musiała powiedzieć, co jest we mnie takiego krnąbrnego. Leżąc na brzuchu, zaczynam ostrożnie wykonywać ruchy jak przy pływaniu. Z zamkniętymi oczami płynę żabką i zapadam się w przerębel. Szybko odkrywam, że moje ramiona nie pracują, tylko biodra poruszają się w górę i w dół. Nurkowie mają rację: podwyższony puls i przyspieszony oddech. To nie wychłodzenie, tylko wyobraźnia jest wrogiem.

Ławka trzeszczy mi pod brzuchem jak czarny lód. Nie chcę, by mnie ratowano, chcę iść na dno. Głębiej i głębiej, aż oddech stanie się coraz trudniejszy. Tymczasem zębami rozdrabniam na kawałki żabki-słodycze, czuję żelatynę, ukojenie słodkością. Hanna ma rację: musimy uciec z tej wsi, uciec od krów holenderek, uciec od śmierci, uciec od dawnego życia.

# 9

Matka zanurza w solance ser z kminkiem, nasączanie trwa od dwóch do pięciu dni. Na podłodze stoją dwa duże worki soli w opakowaniu próżniowym. Co jakiś czas matka dosypuje do wody porządną porcję, żeby ser zachował swój smak. Czasem zastanawiam się, czy to by coś pomogło, gdybyśmy tak ojca i matkę zanurzyli głowami w solance, zrobili im takie odnowienie chrztu „w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego", niech uzyskają bardziej stałą formę i przedłużoną trwałość. Dopiero teraz zauważam, że matka ma pożółkłą i zmatowiałą skórę wokół oczu. Coraz bardziej upodabnia się do żarówki nad stołem, a fartuch w kwiaty, którym jest owinięta, do abażuru, i tak jak przełącznik ona też stale przechodzi ze światła w mrok; nie wolno nam mówić do niej w gniewie, milczeć, a na pewno już ronić przy niej łez. Czasem wydaje mi się, że byłoby spokojniej, gdy oboje na jakiś czas zanurzyli się razem z głowami, ale nie chcę, żeby wtedy Obbe się nami zajmował, bo będzie nas jeszcze mniej niż teraz, a już teraz jest nas niewiele.

Z okna serowarni widzę brata i siostrę, idą za najdalszą oborę grzebać Tiesjego pośród martwych kur i dwóch przybłąkanych kotów, a moim zadaniem jest odciągnąć uwagę matki. Ojciec niczego nie zauważy, właśnie pojechał dokądś rowerem. Powiedział, że już nie wróci. To przeze mnie, bo wczoraj w szopie wyłączyłam z kontaktu zamrażarkę, chciałam sobie zrobić tost z serem, szynką i odrobiną keczupu, i tak mi posmakował, że zapomniałam włożyć wtyczkę z powrotem i cała fasolka, którą ojciec i matka dopiero co zamrozili, wylądowała dziś w kuchni na stole mokra i zwiotczała. Zielone ciałka wyglądały przygnębiająco, jak plaga wytępionej szarańczy. Cała praca poszła na marne – cztery wieczory z rzędu na zmianę łuskaliśmy dostawę fasolki, z tackami na odpady na kolanach i dwoma wiadrami obok na podłodze, tak żeby matka mogła ją potem tylko umyć i zblanszować, a później zapakować do woreczków na mrożonki. Kiedy rozmrożony plon leżał na stole, ojciec porozcinał plastikowe woreczki, wywalił zwiotczałą fasolkę na taczkę i zawiózł na kompost.

Następnie powiedział, żebyśmy teraz radzili sobie bez niego, ale wiedzieliśmy, że pojechał do związku i że jak wróci, nie będzie już pamiętał, jak nam groził, że wyjeżdża na zawsze. Wielu ludzi chce uciec, ale ci, którzy naprawdę uciekają, rzadko to zapowiadają, po prostu odchodzą. A mimo to martwię się, że pewnego dnia także ojciec i matka pojadą taczką na kompost i że to wszystko będzie moja wina.

Gdy tylko ojciec wyszedł za próg, włożyliśmy Tiesjego do pojemnika po huzarskiej sałatce jarzynowej. Na wieczku Hanna napisała flamastrem: „Nigdy nie zapomnimy". Obbe patrzył z kamienną twarzą. Nic nie dał po sobie poznać, tylko coraz częściej dotykał ciemienia i znów całą noc się rzucał i tłukł głową o brzeg łóżka. Tak mocno, że ojciec przymocował do drewna folię bąbelkową. Słyszałam, jak raz po raz pękały kolejne bąbelki. Czasem się zastanawiam, czy to dlatego pomieszało mu się w głowie, może od tego całego walenia głową ma wstrząs mózgu i jest stuknięty.

– Pomożesz mi jeszcze z twarogiem? – pyta matka.

Odchodzę od okna, włosy mam jeszcze wilgotne po basenie. Nikt nie pyta, jak mi poszło, tylko oznajmiają nasze uzgodnienia – o ile sobie przypomną – potem jednak zapominają zapytać, jak poszło. Nie chcą wiedzieć, jak wydostałam się z przeręb la. Żyję i to im wystarcza. I to, że nadal codziennie wstajemy, choć z coraz większym trudem, jest dla nich wystarczającym dowodem, że z nami wszystko w porządku: trzej królowie znów próbują usadowić się w siodle, chociaż siodło już dawno znikło, więc siedzimy na oklep i każdy ruch ociera nam skórę.

Wciskam palcami wilgotne białe kawałki do formy serowarskiej, podsuwam ją pod drewnianą prasę do serów i cisnę, aż wycisnę z twarogu serwatkę. Matka przykrywa podpuszczkę pokrywką. Ja znów opuszczam prasę na twaróg. Białe kawałki przyklejają mi się do palców, wycieram je o brzeg kurtki.

– A co tam słychać w piwnicy?

Nie patrzę na matkę, wbijam wzrok w pole kwiatów na jej fartuchu. Może się zdarzyć, że matka pewnego dnia odejdzie do piwnicy, że tamta rodzina, Żydzi, którzy tam mieszkają, zacznie jej bardziej odpowiadać. Co się wtedy stanie z trzema królami, nie mam pojęcia: ojciec nie potrafi podgrzać sobie mleka do kawy, od razu mu wykipi, więc jak poradzi sobie z utrzymaniem dzieci we właściwej temperaturze.

– Co masz na myśli? – pyta matka.

Podchodzi do półek przy ścianie i obraca leżące tam sery. Mogłam się domyślić, że nie odda tak po prostu swojej bazy wypadowej. Tak samo jest z krowami – trzeba bardzo starannie dobierać do siebie różne rasy: matka zapewne nie chce, żebyśmy się mieszali, chociaż mamy jasne włosy i nie mamy gwiazd na kurtkach, więc łatwo nas rozpoznać. Może przygotowuje się, by odejść i nas opuścić. Może dlatego przestała nosić okulary i patrzy na nas z coraz większego dystansu.

– Nic – odpowiadam. – Ale to nie twoja wina ani tego kamienia w twoim brzuchu.

– Nie gadaj tyle – odpowiada matka. – I wyjmij palec z nosa. Znów chcesz dostać robaków?

Matka chwyta mnie mocno za ramię, jej paznokcie znowu wbijają się w kurtkę. Widzę, że ich nie obcięła, mają teraz białe obwódki, gdzieniegdzie żółtawe od podpuszczki.

– Czym sobie na to zasłużyliśmy? – pyta.

Nie odpowiadam. Na niektóre pytania matka nie chce znać odpowiedzi. Ale trzeba to wyczuć. Odpowiedź tylko jeszcze bardziej ją zasmuci. Puszcza mnie spokojniej, niż schwyciła. Myślę o pladze, o której mówiła ojcu tamtej nocy, kiedy zdjęłam mojego misia ze sznura na bieliznę. Plagi spadły na Egipt, bo ludzie chcieli się dostać na tamtą stronę. Tutaj dlatego, że nie wolno nam pójść na tamtą stronę, chociaż do niej tęsknimy. Może się nawet zdarzyć, że Hanna i ja w końcu wyruszymy, że kamień w brzuchu matki nie będzie taki ciężki. Zawsze mogę jeszcze poprosić weterynarza, żeby ją zoperował. Przecież usunął krowie kilka wrzodów po tym, jak sąsiadka stanęła jej na wymieniu. Rzucił je na stertę gnoju i nie minęła godzina, a wrony już zjadły te krwawe kawałki.

Drzwi do szopy za nami się otwierają. Matka właśnie kosztuje jeden z serów. Odwraca głowę i odkłada świderek na blat.

– Dlaczego nie ma kawy? – pyta ojciec.

– Bo ciebie nie było – odpowiada matka.

– Przecież jestem, już dawno po czwartej.

– To musisz zrobić sobie sam.

– Wiesz co sam muszę sobie zrobić? Trochę szacunku!

Zamaszystym krokiem przechodzi przez próg szopy i trzaska drzwiami. Złość ma zawiasy, które trzeba naoliwić. Przez chwilę matka udaje, że wróciła do pracy, ale zaczyna wzdychać i w końcu idzie zrobić tę kawę. Wszystko jest tutaj jak w zadaniu z rachunków: na szacunek składają się cztery kostki cukru i odrobina mleka do kawy. Szybko wkładam świderek do serów do kieszeni kurtki. Między pozostałe wspomnienia.

– Boudewijn de Groot – szepczę godzinę później w ciemną przestrzeń, tam gdzie może znajdować się ucho Hanny.

Nie musiałam się długo namyślać. To właśnie jego głos od wielu dni dźwięczy mi w głowie. Zdjęcie Boudewijna mam nawet w portmonetce. Obok zdjęcia Sjoerda, mojej pierwszej miłości. Papier zdążył popękać, tak jak moje serce, kiedy się dowiedziałam, że Sjoerd za schowkiem na rowery wymienił swoją miłość do mnie na dwie karty z Pokemonami i jeden mleczny biskwit. Od tej chwili wylewałam w tamtym miejscu, z dinozaurzego kubka, maślankę z syropem, bo w klasie uważali, że śmierdzi – oni dostawali prawdziwy pitny jogurt Yoki w kartonikach. Ziemia i rośliny za schowkiem na rowery robiły się całe białe. Boudewijn de Groot wydaje mi się dobrym wyborem, bo ten, kto tak pięknie śpiewa o miłości, potrafi ją też pewnie uratować. Ojciec i matka uważają, że jest sympatyczny. Na pewno nie mieliby nic przeciwko, żeby nas ze sobą zabrał. Matka tak głośno śpiewała kiedyś piosenkę *Kraj nad Mozelą i Walem*, że chyba też tęskni za innym miejscem. Teraz słucha tylko Muzycznego Kosza Owoców – to koncert życzeń z psalmami, hymnami i pobożnymi pieśniami.

Hanna i ja leżymy na plecach w moim łóżku, trzymamy się pod rękę, jesteśmy jak łamliwy i ukruszony precel. Kołdra przykrywa nas do pasa, jest za gorąco, żeby się całkiem przykryć. Dłubię w nosie, wsuwam mały palec do ust.

– Świntuch – mówi Hanna.

Wyplątuje swoje ramię spod mojego i się uwalnia. Nie widziała tego, ale wie, że gdy jestem cicho, dłubię w nosie. Wtedy lepiej mi się myśli, tak jakby dogrzebywanie się w myślach do rozwiązań musiało się wyrazić fizycznie. Hanna mówi, że zrobią mi się od tego szerokie dziurki w nosie.

Że rozciągną się jak guma, jak w majtkach. Tylko że nowe majtki można kupić, a nowego nosa nie. Wsuwam rękę pod kurtkę i kładę ją na brzuchu. Wokół pinezki rośnie strupek. Drugą ręką szukam twarzy Hanny, przez chwilę trzymam w palcach płatek jej ucha; to najdelikatniejsza część ciała człowieka. Hanna znów się do mnie przysuwa. Czasem mi się to podoba, ale zwykle nie. Kiedy ktoś stoi lub leży blisko, mam wrażenie, że powinnam coś wyznać, że muszę się usprawiedliwiać z mojej obecności: jestem, ponieważ ojciec i matka uwierzyli we mnie i z tej myśli się narodziłam – chociaż ostatnio mają coraz większe wątpliwości i poświęcają nam mniej czasu: ubrania mam pomięte, cała jestem jak zmięta lista zakupów w kuble na śmieci, która czeka, aż ktoś ją wygładzi i znów przeczyta.

– Ja wybieram pana Herberta – odzywa się Hanna.

Obie leżymy na mojej poduszce. Wciąż odsuwam się od Hanny i czuję, że zaraz głowa zsunie mi się z brzegu poduszki, a to wywoła zmianę w moich myślach i może zdołam przekonać Hannę, że nie potrzebuję wybawcy, że naprawdę chcę się dostać na tamtą stronę, uciec daleko stąd, i że nie potrzebujemy do tego mężczyzny, choć Boga nie damy rady wymienić, bo jest naszą najmocniejszą kartą Pokemon. Ale nie mam innego pomysłu, jak stąd odejść.

– A dlaczego Boudewijn? – pyta Hanna.

– A dlaczego pan Herbert?

– Bo go kocham.

– Ja też kocham Boudewijna de Groota – odpowiadam.

Może dlatego, że trochę przypomina ojca. Z tym że ojciec jest blondynem, ma mniejszy nos i nie potrafi tak pięknie śpiewać. Nie zakłada też koszul w kwiaty, tylko roboczy kombinezon albo niebieski marynarski sweter, a w niedzielę czarny garnitur z błyszczącymi klapami. Ojciec też gra, ale tylko na flecie prostym. Każdego ranka w sobotę i niedzielę akompaniuje nam przy psalmie tygodnia, abyśmy w poniedziałek dobrze wypadły w szkole. Co którąś zwrotkę zatyka palcem wskazującym dziurkę i dmucha, jakby wiedział, że zawsze gubię melodię, za którą powinnam podążać – i w ten sposób nie przed ojcem śpiewam, tylko przed całą wsią, głosikiem miękkim jak masło i czystym jak u drozda, który wpadł w masło,

tak będą mnie ubóstwiać, tę dziewczynę od Mulderów. Przenikliwy, fałszywy dźwięk fletu przyprawia mnie o ból bębenków.

– Musisz jednak wiedzieć, gdzie mieszka. To warunek – mówi Hanna.

Sięga nade mną i pstryka kulę ziemską. Oczy muszą się przyzwyczaić do światła, przedmioty w pokoju też muszą się szybko dostosować, wygładzić obicia i siedzieć cicho, odpowiadając wyobrażeniu, jakie sobie o nich wyrobiłam. Podobnie jak wtedy, gdy wchodzimy do sypialni, a matka się płoszy, bo jest tylko częściowo ubrana, jakby się bała, że nie będzie odpowiadać wyobrażeniu, jakie o niej mamy, myśli, że każdego ranka musi się wystroić jak choinka, bo naga jest tylko nudnym drzewkiem.

– Po tamtej stronie mostu.

Hanna mruży oczy. Nie mam nawet pojęcia, czy Boudewijn de Groot mieszka po tamtej stronie, ale jestem świadoma, że to brzmi ekscytująco: tamta strona. Prawie tak samo ekscytująco jak nowy zeszyt do rachunków, na czystych stronach nie ma jeszcze czerwonych skreśleń, nie ma jeszcze błędnych wyników. Tymczasem Herbert, nasz nauczyciel, mieszka tuż za sklepem ze słodyczami; dokładnie tak rozgrywa się to w naszych głowach: najpierw pragnie się słodyczy, potem miłości. Rozumiemy tę kolej rzeczy.

– No właśnie – odzywa się Hanna – musimy się tam dostać. Tam roi się od wybawców, a ojciec i matka nie odważą się tam pójść.

Palcem wskazującym i kciukiem chwytam pinezkę pod kurtką: boja ratownicza pośrodku Morza Północnego.

– Chciałabyś się całować z Boudewijnem? – pyta nagle siostra.

Gwałtownie potrząsam głową. Całowanie się jest dla starych ludzi, robią to, kiedy nie mogą znaleźć słów, tak zamykają sobie usta. Hanna leży tak blisko, że czuję jej oddech. Pasta do zębów. Zwilża językiem wargi. Opóźniony ząb mleczny udaje ząb dorosłego człowieka.

– Mam pomysł – mówi. – Zaraz wracam.

Wyskakuje z pościeli i po chwili zjawia się z niedzielnym garniturem ojca w ręku.

– Po co ci to? – pytam.

Hanna nie odpowiada. Do wieszaka przymocowany jest woreczek zapachowy z lawendą. Patrzę, jak zakłada garnitur na piżamę. Chichoczę, ale Hanna się nie śmieje. Czarnym markerem z mojego piórnika

dorysowuje sobie wąsik nad górną wargą. Teraz przypomina trochę Hitlera. Najchętniej zaznaczyłabym ją markerem w całości, by ją zapamiętać i zachować przy sobie, jest za duża i nie zmieści się już w kieszeni kurtki.

– Chodź. Teraz trzeba się położyć na plecach, inaczej się nie uda.

Robię, co każe, jestem przyzwyczajona, że to ona przejmuje dowodzenie, a ja ją naśladuję. Kościste nogi ukryte w dużo za dużych spodniach ojca sadowi obok moich bioder, odgarnia włosy z twarzy. W świetle kuli ziemskiej wygląda upiornie z tym czarnym wąsikiem, który przypomina raczej muszkę.

– Jestem z miasta i jestem mężczyzną – mówi tubalnym głosem.

Oczywiście wiem, co powinnam robić, tak jakby to było najnormalniejsze na świecie, że w środku nocy Hanna siada na mnie okrakiem w wyjściowym garniturze ojca. Marynarka z błyszczącymi klapami powiększa jej ramiona i zmniejsza głowę, wygląda jak porcelanowa lalka.

– Jestem ze wsi i jestem kobietą – odpowiadam o wiele wyższym głosem niż mój własny.

– Szukała pani mężczyzny? – mruczy Hanna.

– Zgadza się. Szukam mężczyzny, który uratuje mnie z tej śmiesznej wioski. Kogoś bardzo silnego. I przystojnego. I kochanego.

– No to trafiłaś, paniusiu, pod dobry adres. Całujemy się?

Zanim zdążę zareagować, przyciska swoje wargi do moich i wpycha mi język do ust. Jest letni jak stek z poprzedniego dnia, który matka podgrzewa w mikrofali i podaje po raz drugi. Błyskawicznie robi językiem kilka kółek, jej ślina miesza się z moją i ścieka mi po policzku. Szybko wyciąga język.

– Też to czujesz? – pyta zdyszana Hanna.

– O co chodzi, proszę pana?

– No w brzuchu i między nogami?

– Nie – odpowiadam. – Tylko pana wąs trochę łaskocze.

Wybuchamy niepohamowanym śmiechem i przez chwilę wydaje się, że nie potrafimy przestać. Potem Hanna kładzie się obok mnie.

– Smakujesz metalem – mówi.
– A ty zwilgotniałym biszkoptem – odpowiadam.
I obie wiemy, co to znaczy: fatalnie.

# 10

Budzimy się z siostrą z czarnymi smugami na twarzach i z wygniecionym niedzielnym garniturem ojca. Od razu siadam na łóżku. Jak ojciec nas tak zastanie, sięgnie potem do szuflady pod stołem jadalnym, wyciągnie Biblię w dawnym przekładzie Stanów Generalnych i odczyta nam z Rzymian: „Że jeźlibyś wyzwał usty twojemi Pana Jezusa i uwierzyłbyś w sercu twojem, że go Bóg z martwych wzbudził, zbawion będziesz". Właśnie tymi ustami całowałyśmy się w nocy, a Hanna wepchnęła mi do ust swój język, jakby szukała tam słów, których jej brakuje. W ten sposób można winy za grzech nie przyjąć do serca, ale nie do domu. Więc pewnie ojciec zaraz po wyciągnięciu nas z łóżek zorientuje się, że sprowadziłyśmy grzech do domu – tak jak kiedyś kota przybłędę, którego położyłyśmy za kominkiem w koszyczku na orzechy włoskie i karmiłyśmy mlekiem i skórkami od chleba, aż się wzmocnił – i że teraz nikt z nas nie będzie już zbawion.

Hanna wygładza dłonią zagięcia na garniturze ojca i wyciąga z kieszeni na piersiach pół rolki miętówek. Jedną wkłada sobie do buzi. Zastanawiam się, dlaczego to robi, przecież miętówki są tylko po to, by przetrwać kazanie, żebyśmy były cicho, nie majtały nogami, bo wtedy ławka zaczyna trzeszczeć i wszyscy, którzy tam siedzą, wiedzą, że dzieci Muldera nie słuchają słów pastora Renkemy. Ale teraz nie ma powodu, by się uspokajać, wręcz przeciwnie, musimy zacząć akcję, postarać się, żeby to, co opowiemy, nie wydało się ojcu za długie, tak jak kazania. Kiedy po nabożeństwie narzekamy na jego długość, mówi:

– Ci, którzy się niecierpliwią, będą słuchać za karę dwa razy dłużej. – I dodaje potem: – Sąsiadka Lien, ona to dopiero długo mówi, ta baba może cię zagadać na śmierć, plecie bzdury, aż uszy więdną.

Wtedy na moment pojawia mi się przed oczami taki obrazek: ojciec i sąsiadka Lien stoją na drodze prowadzącej przez polder i w pewnym momencie uszy ojca więdną i opadają jak liście jesienią; musielibyśmy je przykleić klejem Pritta w sztyfcie. Chociaż ja raczej schowałabym je do aksamitnego pudełeczka, aby każdego wieczoru szeptać im zarówno

najmilsze, jak i najstraszliwsze słowa, potem szybko zamykałabym wieczko i potrząsała nim, żeby się upewnić, że wszystko przedostało się do przewodów słuchowych: mam tyle słów, ale coraz mniej ich się ze mnie wydobywa, choć głowa mi pęka od biblijnego słownictwa. Ten obraz uszu ojca przyklejonych klejem Pritta wciąż budzi we mnie śmiech. Ale dopóki ojciec stroi sobie żarty z sąsiadki Lien i powtarza je jak prognozę pogody na cały tydzień, nie mamy się czego obawiać. Ostatnio to ojciec podczas cichej modlitwy zjada najwięcej miętówek, a od niedawna, zaraz po powrocie do domu, pyta nas, o czym było kazanie, żeby sprawdzić, czy uważałyśmy. W głębi duszy jestem pewna, że robi to przede wszystkim dla siebie, bo myślami błądzi gdzie indziej, a nas używa do streszczania. Ostatniej niedzieli powiedziałam na przykład, że kazanie było o synu marnotrawnym, choć to nieprawda, a ojciec wcale mnie nie poprawił. Syn marnotrawny to moja ulubiona historia. Czasem też wyobrażam sobie, jak pewnego dnia nadbiega Matthies o skórze białej jak śnieg, właśnie tak, a ojciec bierze ze stajni najlepsze cielę i je zabija. I chociaż matka nie lubi zabaw przez całe to umpa-umpa, jak mawia o tańcach i muzyce, to wspólnie organizujemy u nas w zagrodzie wielką zabawę, z lampionami, girlandami, colą i karbowanymi chipsami, „gdyż odnalazł się ten, który był zaginął".

– Czy myślisz, że zrobiłyśmy coś złego? – pytam.

Hanna ziewa i przykłada dłoń do ust. Spałyśmy tylko trzy godziny.

– Co masz na myśli?

– No, zwyczajnie, że to z naszego powodu tak się porobiło z ojcem i matką, że to przez nas Matthies i Tiesje nie żyją i że wciąż jeszcze nie pojechaliśmy na camping?

Hanna się zastanawia. Kiedy się namyśla, kręci noskiem. Na policzku ma jeszcze ślad markera. Mówi:

– Wszystko, co ma swoją przyczynę, w końcu dobrze się kończy.

Moja siostra mówi czasem mądre rzeczy, ale ja sądzę, że nie rozumie z tego nic a nic.

– Dobrze się skończy, tak myślisz?

Czuję, że wilgotnieją mi oczy, pospiesznie kieruję wzrok na garnitur ojca, na wywatowane ramiona dodające mu w niedzielę autorytetu.

Mogłybyśmy je ot tak podziurawić nożem. Małym palcem wyciągam z oczu śpiochy i wycieram o pościel. Przypominają smarki.

– Oczywiście. I Obbe też nie chciał, tak wyszło przez przypadek.

Kiwam głową. Tak wyszło przez przypadek. Tutaj we wsi wszystko tak wychodzi: ludzie przez przypadek się zakochują, przez przypadek kupują nie takie mięso, zapominają przez przypadek książeczki do nabożeństwa, przez przypadek są milczący. Hanna wstała i powiesiła marynarkę ojca z powrotem na wieszaku. Woreczek z lawendą rozerwał się, fioletowe kwiatki leżą porozrzucane na łóżku. Kładę się na plecach na lawendzie. Niech ten dzień jeszcze trwa, żebym nie musiała iść do szkoły, tak długo jak trawa musi zostać na łące, by dobrze wyschnąć, żeby zebrać siano, niech wilgoć ze mnie ustępuje powoli.

# 11

W wiadomościach radzili, żeby co godzinę pić porządną szklankę wody, nawet pokazali na planszy, jak wygląda porządna szklanka – nie przypominała tych, które mamy. U nas we wsi w żadnym domu nie ma identycznych szklanek, szklankami można się odróżnić od innych. My używamy tych po musztardzie. Pijemy wodę, którą ojciec rozlewa do szklanek z butelki po coli. Butelka nie została dobrze przepłukana, więc woda smakuje colą i jest letnia od słońca; swędzi mnie w nosie od paprochów po sianokosach. Jeśli teraz w nim podłubię, wyjdzie czarny gil, który wytrę o spodnie, nie mam odwagi go zjeść, bo pewnie się po nim pochoruję i obrócę w proch. Wokół mnie leżą bele siana, wyglądają jak kostki szarego mydła na łące. Nie chcę myśleć o palcu ojca we mnie i odgryzam kawałek pączka, którego mi podał. Ledwo jestem w stanie coś przełknąć, sflaczałe koryntki nie przechodzą mi przez gardło, ostatnio piekarz nie ma nic lepszego. Biorę jednak gryza, choćby po to, żeby poczuć wspólnotę z Obbem i z ojcem: tych troje ludzi, którzy siedzą na belach siana i jedzą pączki, musi coś łączyć. Wilgotnawa skórka przykleja się do zębów i podniebienia, połykam, nie szukając nawet smaku.

– Bóg przewrócił kałamarz – mówi Obbe, spoglądając w niebo, które ciemnieje coraz bardziej nad naszymi spoconymi głowami.

Chichoczę i nawet ojciec po raz pierwszy od dłuższego czasu się uśmiecha. Wstaje i ociera dłonie o spodnie, to znak, że wracamy do pracy. Zaraz zrobi się nerwowy ze strachu, że bele zmoczy deszcz, a siano zacznie pleśnieć. Podnoszę się i zanim chwycę za belę, biorę trochę suchej trawy w dłonie, żeby nie mieć szram od sznurka. Zerkam na uśmiech ojca. Patrzcie, myślę sobie, wystarczy, że postaramy się nie mieć odcisków od sznurka, a wszystko się ułoży, nie musimy się bać, że w każdej chwili ojca i matkę może zaskoczyć Dzień Sądu niczym kawka ofiarę, bo więcej grzeszymy, niż się modlimy. Podnoszę kolejną belę, kurtka klei się do spoconej skóry. Nawet teraz w upale ani myślę ją ściągnąć. Ja wrzucam bele na wóz do siana, a ojciec układa je tam w rzędach po sześć.

– Musimy się pospieszyć, zanim lunie – mówi ojciec i znów zerka na atramentowe niebo nad nami.

Patrzę na niego i mówię:

– Matthies potrafił podnieść dwie bele, unosił je na widłach, jakby to były kawałeczki sera gouda z pokrzywą.

Uśmiech na twarzy ojca natychmiast rozpływa się w fałdach skóry, jakby go tam nigdy nie było. U niektórych ludzi zawsze widać uśmiech, nawet gdy są smutni. Linii uśmiechu nie można wygumkować. Ale u ojca i matki jest inaczej. Wyglądają smutno, nawet gdy się uśmiechają, jakby ktoś przyłożył im do kącików ust ekierkę i pociągnął stamtąd na dół dwie ukośne linie.

– Nie rozmawiamy o zmarłych, tylko ich wspominamy.

– Ale chyba można ich wspominać na głos? – pytam.

Ojciec przewierca mnie wzrokiem, zeskakuje z wozu i wbija widły w ziemię.

– Co powiedziałaś?

Patrzę na napinające się mięśnie jego ramion.

– Nic – odpowiadam.

– Co nic?

– Nic, tato.

– Tak myślę. Jak śmiesz mi się przeciwstawiać po tym, jak zniszczyłaś cały zapas fasolki.

Chcę zachować fason, więc spoglądam w górę. Po raz pierwszy czuję, że i ja napięłam mięśnie i że najchętniej wepchnęłabym głowę ojca jak stalówkę do kałamarza, a potem napisała nim brzydkie zdanie, albo jakieś o Matthiesie, o tym, jak bardzo mi go brakuje. I zaraz zaczynam się bać własnych myśli. „Czcij ojca swego i matkę swoją, aby długo trwały twoje dni i aby ci się dobrze działo w ziemi, którą Pan, Twój Bóg, ci daje". Chwilę potem myślę jeszcze: mam tylko taką nadzieję, że będą to dni po tamtej stronie, a nie tutaj, w tej głupiej, nudnej wsi. Obbe chwyta butelkę coli i łapczywie wypija resztki, nie pytając, czy może też bym chciała, potem wstaje i wraca do pracy przy sianie.

Ostatnie okrążenie idzie wolniej. Ja kieruję traktorem, Obbe wrzuca bele na wóz, a ojciec układa je jedną na drugiej. Ojciec co chwilę krzyczy, że mam jechać szybciej albo wolniej. Czasem gwałtownie otwiera drzwiczki do kabiny, brutalnie spycha mnie z siedzenia, a następnie nagłym ruchem kierownicy zmienia kierunek, żebyśmy nie wylądowali w rowie; krople potu ściekają mu z czoła. Kiedy znów staje na belach siana i przyjmuje kolejne od Obbego, myślę sobie, że gdybym tak dodała porządnie gazu, to spadłby z wozu. Choćby jeden raz.

Po sianokosach Obbe i ja stoimy za oborą, podpierając ścianę, źdźbło trawy wystaje mu z przerwy między przednimi zębami. W tle słychać szum czochradeł, które obracają się na grzbietach krów, żeby ich nie swędziało. Jeszcze dużo czasu do pory karmienia, więc na razie jesteśmy wolni. Obbe przygryza źdźbło i obiecuje, że zdradzi mi hasło do Simsów, jeśli wezmę udział w jego misji. Z hasłem można zostać potwornie bogatym i kazać postaciom z gry całować się z języczkiem. Przechodzi mnie dreszcz. Czasem gdy ojciec przychodzi powiedzieć dobranoc, wtyka mi język do ucha. To nie jest aż tak przykre jak palec z szarym mydłem, ale mimo wszystko. Nie wiem, dlaczego to robi. Jakby moje ucho było zakrętką od kartonu z leguminą waniliową, który co wieczór wylizuje, bo szkoda, żeby się zmarnowało, a może robi tak, bo często zapominam przetrzeć uszy pałeczkami?

– Ale to chyba nic ze śmiercią?

Nie wiem, czy jestem wystarczająco silna, by teraz spotkać się ze śmiercią. Bogu możemy się pokazać tylko w naszych niedzielnych ubraniach, ale jak jest ze śmiercią, nie wiem. Gniew ojca nadal mnie przytłacza. W szkole trzymam się z dala od bójek, patrzę na nie z boku, ale jestem po stronie słabszych. Jeśli chodzi o śmierć, to trudno by było stanąć po swojej stronie, tego się zwyczajnie nie nauczyłam, chociaż staram się czasem popatrzeć na siebie z dystansu. Nie udaje się, mocno siedzę w sobie samej. Na dodatek świeżo w pamięci mam jeszcze chomika. Wiem, jak potem będę się czuć, ale i tak przeważa to nad moją ciekawością, by zobaczyć śmierć i ją zrozumieć.

– Zawsze jest ryzyko, że ją spotkamy.

Obbe wypluwa źdźbło spomiędzy zębów, biaława grudka ląduje na kamieniach.

– A czy ty rozumiesz, dlaczego nie wolno nam mówić o Matthiesie?

– Chcesz to hasło czy nie?

– A Belle też może wziąć w tym udział? Zaraz tutaj przyjdzie.

Nie mówię mu, że Belle przychodzi głównie z powodu siusiaków chłopców z sąsiedztwa, bo się przechwalałam i powiedziałam jej, że są podobne do bladych croissantów, jakie czasami jadłyśmy u niej w domu, zrobionych z ciasta, które jej matka wyławiała z puszki, rozwałkowywała i wkładała do piekarnika, gdzie przypiekały się na brązowo.

– W porządku – mówi Obbe. – Tylko niech nie marudzi.

Chwilę później Obbe przynosi trzy puszki coli z piwnicy, ukryte pod swetrem, i kiwa na Belle i na mnie. Wiem, co się wydarzy, więc jestem spokojna. Tak bardzo, że zapominam o trzymaniu suwaka w zębach. Może ma to związek z tym, że sąsiadka Lien i jej mąż Kees przyszli ze skargą. Uznali, że to niebezpieczne, kiedy jeżdżę na rowerze z rękawami naciągniętymi na palce i z suwakiem w zębach. Ojciec i matka zignorowali to jak zbyt niską ofertę kupna cielaka.

– To chwilowe – powiedziała matka.

– Tak, wyrośnie z tego – dodał ojciec.

Ale ja z tego nie wyrosnę, właśnie w to wrastam i nikt tego nie zauważa.

Kiedy idziemy do szopy z królikami, Belle opowiada o klasówce z biologii i o Tomie. Tom siedzi dwie ławki za nami, ma czarne włosy do ramion i chodzi zawsze w tej samej bluzie w kratkę. Podejrzewamy, że jest sierotą, bo nikt mu nie pierze rzeczy i cały czas chodzi w tym samym. Belle twierdzi, że Tom na pewno przypatrywał się jej z dziesięć minut, a to oznacza, że pod T-shirtem w każdej chwili mogą jej zacząć rosnąć cycki. Nie cieszy mnie to, ale się uśmiecham. Ludzie potrzebują małych problemów, żeby mogli poczuć się wielcy. Nie pragnę cycków; nie wiem, czy to dziwne. Nie pragnę też chłopców, tylko siebie, ale nie wolno mi się nigdy z tym wygadać, jak z hasłem do nokii, żeby nikt nie mógł nagle się włamać.

W szopie z królikami jest ciepło i ciemno. Słońce cały dzień nagrzewało gipsowe płyty na dachu. Dieuwertje leży wyciągnięty w swojej klatce.

Matka wyjęła stamtąd zwiędłe liście z wczoraj i włożyła świeże: dołożyć cukierków do puszki ze słodyczami to zapomniała, ale liści nie. Obbe przesuwa żłóbek i stawia go na ziemi. Z kieszeni kurtki wyciąga nożyczki; na brzegach jest trochę sosu pomidorowego z kartonu Heinza, po tym jak matka odcięła róg. Kiedy Obbe zaczyna ciąć, przez szpary między deskami wpada słońce i odbija się w metalu. Śmierć daje sygnał ostrzegawczy.

– Najpierw tnie się wąsy, to są jego sensory, bez nich Dieuwertje nie będzie wiedział, co robi.

Odcina wąsy jeden po drugim i kładzie na mojej wyciągniętej dłoni.

– A czy nie robimy mu krzywdy? – pyta Belle.

– To tak, jakbyśmy sparzyli się w język i nie czuli smaku, też nam nic od tego nie będzie.

Dieuwertje kryje się po kątach klatki, ale nie jest w stanie uciec przed ręką Obbego. Teraz, kiedy już wszystkie wąsy zostały obcięte, Obbe mówi:

– Czy chcecie zobaczyć, jak się parzą?

Belle i ja spoglądamy po sobie. Tego nie było w planie, mieliśmy obciąć wszystkie wąsy i patrzeć, czy odrosną, ale znów czuję robaki w brzuchu. Od kiedy Obbe pokazał swojego siusiaka, syrop na robaki, który daje matka, działa szybciej: specjalnie narzekam, że mnie swędzi między pośladkami. Czasem śni mi się, że z odbytu wyłażą mi robaki wielkości grzechotników z łbami lwów, że wpadłam w zagłębienie w materacu jak Daniel do jaskini lwów, i muszę przyrzec, że ufam Bogu, ale nadal widzę obrzydliwe wygłodzone paszcze z ciałami węży. Dopiero kiedy wołam o łaskę, budzę się z koszmaru.

Obbe kiwa głową w stronę karłowatego królika w klatce naprzeciwko Dieuwertje. Przypominają mi się słowa ojca: nigdy nie pokrywajcie małego królika dużym. Ale to się nie zgadza: ojciec też jest o dwie głowy wyższy od matki, a ona przeżyła nasz poród. Więc pewnie można i tak, dlatego wciskam małego królika w ramiona Belle, która przez chwilę trzyma go, a potem wkłada do klatki Dieuwertje. W milczeniu przyglądamy się, jak Dieuwertje ostrożnie obwąchuje karłowatego królika, kica wokół niego, uderza łapkami o ziemię i naskakuje na niego najpierw z przodu, a potem od tyłu. Nie widzimy jego siusiaka. Tylko gorączkowe ruchy, a w oczach małego królika strach, który widziałam też u chomika.

– Gorliwość bez rozwagi nie jest dobra, a kto przyspiesza kroku, błądzi – ojciec przypomina czasem, kiedy zbyt gorączkowo czegoś chcemy, i akurat w tym momencie Dieuwertje osuwa się obok małego królika. Przez chwilę zastanawiam się, czy ojciec też tak osuwa się obok matki i czy to dlatego ma zniekształconą nogę, która zawsze go boli. A może opowieść o kombajnie jest zmyślona i przez to bardziej wiarygodna, i nie trzeba się wstydzić. Kiedy chcemy już odetchnąć z ulgą, zauważamy, że karłowaty królik leży martwy. Nie było żadnego widowiska. Zamknął oczy i już go nie ma. Bez konwulsji czy krzyku bólu, bez cienia śmierci.

– Głupia zabawa – odzywa się Belle.

Widzę, że zaraz zacznie płakać. Jest za delikatna na takie rzeczy. Jak podpuszczka, z której robi się ser, a my jesteśmy o wiele dalej w całym procesie. Nas otacza już plastikowa powłoka.

Obbe spogląda na mnie. Brodę porasta mu meszek. Nic nie mówimy, ale wiemy, że musimy to powtarzać, dopóki nie zrozumiemy śmierci Matthiesa. Ukłucia w brzuchu są coraz boleśniejsze, jakby ktoś dziurawił moją skórę nożyczkami, mydło nie pomogło. Wsuwam wąsy królika do kieszeni kurtki, są tam już skorupy krowy i świderek do sera, pociągam za zawleczkę na puszce coli i przykładam usta do zimnego metalu. Nad krawędzią puszki widzę, że Belle patrzy na mnie wyczekująco. Teraz muszę spełnić obietnicę. Jezus też miał uczniów, bo wciąż im coś dawał, przez co był wiarygodny. Muszę dać coś Belle, żeby nie zrobić sobie z przyjaciółki wroga. Zanim pokażę jej dziurę do podglądania w żywopłocie z cisu, pociągam Obbego za rękaw i szepczę:

– Więc co to za hasło?

– Klapaucjusz – odpowiada, wyciągając z klatki Dieuwertje małego królika.

Chowa go pod swetrem na brzuchu, który pewnie jest jeszcze zimny od puszek coli. Nie pytam, co z nim zrobi. Wszystko, co wymaga dochowania tajemnicy, jest milcząco akceptowane.

Belle siedzi już na rybackim krzesełku przy cisowym żywopłocie. Zginam kciuk tuż przed dziurą do podglądania.

– To nie jest siusiak – woła Belle. – Tylko twój kciuk.

– To nie jest pogoda na siusiaki, źle trafiłaś – odpowiadam.

– No to kiedy będzie dobry dzień?

– Nie wiem, tego się nigdy nie wie. Na wsi dobre dni to rzadkość.

– Ty zwyczajnie mnie okłamałaś, co?

Kosmyk włosów zamoczył się jej w puszce coli i przykleił do policzka. Kiedy jej się odbija, zakrywa dłonią usta. Nagle słyszymy zza żywopłotu śmiechy, a przez dziurę widzimy chłopców z sąsiedztwa, jak skaczą do nadmuchiwanego basenu i unoszą się na wodzie na swoich brązowych plecach jak rodzynki w kąpieli z brandy.

Ciągnę Belle za ramię.

– Chodź, spytamy, czy możemy się u nich pobawić.

– Ale jak wtedy zobaczymy siusiaki?

– Muszą się co jakiś czas wysikać – odpowiadam pewnie, a duma mnie rozpiera.

Rosnę na samą myśl o tym, że mam coś, czego pragną inni. Ramię w ramię idziemy do sąsiadów. W brzuchu czuję ukłucia. Czy robaki są uodpornione na colę?

# 12

Moja fascynacja siusiakami zaczęła się chyba od gołych aniołków; miałam dziesięć lat i ściągałam je z choinki, by choć przez chwilę pomacać zimną porcelanę między ich mocnymi udami, jakby to był kawałek muszli znaleziony w mączce wapiennej dla kur, i zakrywałam je dłonią niczym jemiołową gałązką, wtedy dla osłony, a teraz z niepohamowanego pragnienia, które zagnieździło się przede wszystkim w moim podbrzuszu i ciągle rosło.

– Jestem pedofilem – szepczę do Hanny.

Czuję swój oddech na włoskach ramienia i staram się tak ułożyć na brzegu wanny, by go nie czuć. Nie wiem, czego bardziej się obawiam: własnego oddechu na skórze czy myśli, że pewnego dnia przestanę oddychać i nie wiem, kiedy to nastąpi. Niezależnie od tego, jak się w wannie układam, czuję na skórze swój oddech, włoski się jeżą, zanurzam je w kąpieli. „Jesteś pedofilem, jesteś grzeszna". Tego słowa nauczyłam się od Obbego, usłyszał je w telewizji, w domu u kolegi. Na kanałach Nederland 1, 2 i 3 takie słowa się nie pojawiają, tam je wycinają, bo w telewizji nikt nie chce oglądać głów pedofilów. Obbe powiedział, że oni uganiają się za siusiakami młodych chłopców, że z wyglądu to normalni ludzie z normalnym życiem, i jeszcze, że pedofile są starsi. Chłopcy z naszego sąsiedztwa są dużo młodsi, o pięć lat. Nie ma więc wątpliwości, że jestem pedofilem i że pewnego dnia otworzy się sezon polowań na takich jak ja, przyprą mnie wtedy do muru jak my krowy w przegrodach, kiedy trzeba je przenieść na nowe pastwisko.

Po jedzeniu matka jak zwykle podała nam wilgotną ściereczkę; po kolei wycieraliśmy w nią ubrudzone keczupem buzie i lepkie palce. Nie chciałam jej dotykać. Matka by mi nie wybaczyła, gdybym swoje grzeszne palce wytarła w tę samą ściereczkę, do której ona przyłożyła swoje usta – nie jadła makaronu z keczupem, ale i tak wytarła usta do sucha. Może chciała w ten sposób popróbować, jak smakowało, albo był to taki pocałunek na dobranoc, o którym coraz częściej zapominała, kładąc nas do łóżek. Teraz

sama poszłam na górę i podciągnęłam kołdrę do piersi, widziałam to kiedyś na filmie u Belle; potem zawsze ktoś przychodził i otulał bohaterkę aż pod samą brodę, ale mnie się to nigdy nie przydarzyło, i kiedy budziłam się, drżąc z zimna, sama podciągałam kołdrę i szeptałam do siebie:

– Kolorowych snów, kochana bohaterko.

Zanim ściereczka dotarła do mnie, zdążyłam odsunąć się już na krześle i powiedzieć, że czuję parcie. Słowo „parcie" sprawiło, że wszyscy przy stole spojrzeli z nadzieją, że może teraz w końcu uda mi się zrobić kupę. Ale w ubikacji spędziłam tylko tyle czasu, by usłyszeć odsuwanie krzeseł; trzy razy przeczytałam wszystkie rocznice w urodzinowym kalendarzu nad umywalką i zmarzła mi pupa. Ołówkiem wyjętym z kieszeni kurtki dorysowałam krzyżyki przy każdym nazwisku, delikatnie, tak że było je widać tylko z bliska, a przy moich urodzinach w kwietniu duży krzyż i dopisałam jeszcze z tyłu A.H., od Adolfa Hitlera.

Siusiak chłopca z sąsiedztwa był w dotyku miękki jak babcine pulpety z mielonki, które czasem w niedzielę muszę rolować w kuchni na blacie posypanym ziołami; tylko że one są tłuste i szorstkie. Najchętniej nie wypuściłabym już siusiaka z dłoni, ale strumień zrobił się mniejszy i ustał. Chłopiec trząsł biodrami, przez co jego siusiak też trząsł się na wszystkie strony, aż krople sików poleciały na szare kafle. Potem podciągnął bokserki i dżinsy. Belle patrzyła z pewnej odległości. Wolno jej było zapiąć mu spodnie. Ważne zadania trzeba zaczynać od samego dołu, aż dojdzie się do szczytu. Belle długo jeszcze nie zapomni martwego królika, ale ja dotrzymałam słowa. Chwyciłam ją za palec wskazujący i przycisnęłam go do siusiaka chłopca z sąsiedztwa, mówiąc już całkiem niepotrzebnie:

– Jest prawdziwy.

– Jestem pedofilem – mówię to jeszcze raz.

Hanna wyciska z butelki ostatnie krople szamponu i wciera we włosy. Aromat kokosu. Milczy, ale wiem, że myśli. Potrafi pomyśleć, zanim coś powie, ze mną jest na odwrót. Kiedy próbuję w tej kolejności, w głowie nagle robi mi się pusto, a moje słowa przypominają krowy, które jak przybłędy na placu Dam kładą się w oborze nie tam, gdzie trzeba, tylko tam, gdzie nie ma dojścia. Hanna zaczyna chichotać.

– Mówię poważnie! – dodaję.

– Nie da rady.

– Dlaczego nie?

– Pedofile są inni. Ty jesteś inna. Jesteś jak ja.

Zanurzam się w kąpieli z głową, zatykam nos palcami i czuję głową dno, w wodzie widzę niewyraźny kształt nagiego ciała Hanny. Jak długo moja siostra będzie jeszcze wierzyć, że jestem taka jak ona, że jesteśmy jednością? Minęło już wiele nocy, odkąd leżymy w oddzielnych w łóżkach i ona już czasem nie nadąża za biegiem moich myśli.

– Ty jesteś dziewczynką – odzywa się Hanna, gdy tylko wynurzam się z wody.

Na głowie ma kołnierz z piany.

– Więc pedofilami są tylko chłopcy?

– Tak, i to o wiele starsi, co najmniej o trzy dłonie, i siwi.

– Dzięki Bogu.

Wprawdzie jestem inna, ale nie jestem pedofilem.

Myślę o chłopcach z mojej klasy. Żaden nie ma siwych włosów. Tylko Dave, jak mówi nasza pani, ma starą duszę. Wszyscy mamy stare dusze. Moja ma dwanaście lat. Jest starsza od najstarszej krowy u sąsiada, a ta według niego nadaje się już na szrot, bo daje mało mleka.

– Dobrze powiedziane, Bogu dzięki – mówi Hanna głośno i wybuchamy śmiechem, wychodzimy z wanny i wycieramy się nawzajem, wsuwamy głowy w piżamy jak ślimaki szukające schronienia.

# 13

Skóra z brodawkami opina szkielety. Co kilka sekund nadymają policzki, jakby chciały coś powiedzieć, ale za każdym razem się rozmyślają. Przez chwilę mam ochotę wycisnąć taką brodawkę, żeby zobaczyć, co w niej tkwi, ale zamiast tego kładę ramiona na biurku i opieram brodę na dłoniach. Nic nie jadły od czasu wędrówki ropuch. Może opierają się tak jak matka? Żebym tylko wiedziała, przeciw czemu ten opór. W czasie drugiej wojny światowej opór był zawsze przeciw innym – szwaby przeciw Żydom, teraz opór jest skierowany przeciw nam samym. Właściwie moja kurtka budrysówka też jest oporem i rebelią przeciw wszystkim chorobom, które są wymieniane w radiowym koncercie życzeń Muzyczny Kosz Owoców. Coraz bardziej boję się tych wszystkich chorób. Czasem, kiedy na lekcjach WF-u patrzę na koleżanki i kolegów stojących w rządku przed kozłem, wyobrażam sobie nawet, że po kolei zaczynają rzygać, rzygi jak owsiany kleik sięgają im do kostek, a potem czuję, jak strach przygważdża mnie do linoleum, a policzki parzą jak grzejnik pod sufitem. Kiedy zamrugam, obraz znika. Żeby opanować strach, każdego ranka na krawędzi stołu rozkruszam kilka miętówek na cztery części i chowam do kieszeni spodni. Gdy robi mi się niedobrze albo wydaje mi się, że zaraz zrobi mi się niedobrze, biorę jedną; smak mięty mnie uspokaja.

Dyrektor szkoły nie zwolnił mnie wcześniej do domu.

– Za szkolnymi wymówkami zawsze kryje się coś więcej – powiedział i ominął mnie wzrokiem, jakby zobaczył za mną głowy ojca i matki oraz to, co czeka nas w każdym momencie, czyli wielką roztargnioną śmierć, która zawsze zabiera niewłaściwą osobę albo niewłaściwą zachowuje przy życiu.

– Tylko mi nie plujcie – mówię do ropuch i wyciągam z papierowej chusteczki dwie dżdżownice, które przyniosłam z ogródka, zanim przyszła Belle.

Dżdżownica to jedno z najsilniejszych zwierząt, bo ma dziewięć serc i przepołowiona może sobie zwyczajnie dalej żyć. Wiją się w palcach na

wszystkie strony, kiedy je trzymam nad głową pulchniejszej ropuchy. Ropucha wodzi oczkami tam i z powrotem; w miejscu źrenic są kreseczki. Jak śrubokręty, myślę sobie. Dobrze wiedzieć, gdybym musiała któregoś dnia je rozebrać, żeby zobaczyć, co z nimi jest nie tak; tak jak zrobiłam z tosterem zapchanym stopionym serem. Ropuchy nie łapią dżdżownic. Pocieram nogą o nogę, swędzą mnie majtki ze szkoły. Ostatnio często popuszczam w majtki, a te zasikane chowam pod łóżkiem. Tylko to jest fajne w smutku, że matka nieustannie ma zatkany nos i nie czuje jak śmierdzą, kiedy przychodzi powiedzieć mi dobranoc. Gdyby poczuła, pewnie zrobiłaby mi koło tyłka podczas jakiejś rodzinnej imprezy, tak jak robi to z powodu mojego brzucha: umyślnie pokazuje na zapadnięty tort mokka, który wygląda jak świeża kupa.

Dziś w szkole też mi się zdarzyło. Na szczęście nikt tego nie zauważył, oprócz naszej pani. Dostałam od niej majtki z „Pudła zapomnienia", gdzie przechowywane są zagubione rzeczy, którymi już nikt się nie interesuje i które naprawdę są zagubione. Na majtkach jest napis czerwonymi literami: „COOL". Takie napisy na majtkach są jak opór ojca i matki: zachowują go dla siebie, ale przecież wszędzie ze sobą noszą; z tym że ja absolutnie nie czuję się cool.

– Jest pani na mnie zła? – spytałam nauczycielki, kiedy dawała mi majtki.

– Skądże, nie jestem zła, to może się przytrafić – odpowiedziała.

Wszystko może się przytrafić, pomyślałam wtedy, ale niczego nie można powstrzymać. Plan śmierci i wybawcy, ojciec i matka, którzy nie kładą się już na sobie, Obbe, który szybciej wyrasta z ubrań, niż matka jest w stanie zapamiętać instrukcje prania na kolejnych metkach, i robi się nie tylko coraz wyższy, ale też coraz okrutniejszy, mrówki w brzuchu, przez które poruszam się na moim misiu i wstaję z łóżka wyczerpana, albo takie pytania: dlaczego nie mamy już masła orzechowego z kawałkami orzeszków?, dlaczego puszka ze słodyczami dostała ust i głosem matki mówi: „Czy naprawdę chcesz to zrobić?", dlaczego ramię ojca stało się szlabanem i spada na ciebie niezależnie od tego, czy czekasz na swoją kolej, czy nie?, no i Żydzi w piwnicy, o których, tak jak o Matthiesie, się nie mówi. Czy oni jeszcze żyją? Jedna z ropuch nagle rusza do przodu. Zatrzymuję ją dłonią, żeby nie spadła z biurka i się nie zabiła. Czy one też

mają w głowach silos? Znów opieram głowę na dłoniach, chcę obejrzeć je z bliska i mówię:

– Wiecie co, kochane ropuchy? Musicie używać swoich sił. Jeśli nie potraficie dobrze pływać jak inne żaby ani wysoko skakać, to musicie umieć coś innego. Na przykład siedzieć cicho, wtedy inne żaby nie będą was naśladować. Tak cicho jak grudki błota. I potraficie dobrze kopać w ziemi, to muszę wam przyznać. Całą zimę myślimy, że zniknęłyście, a wy siedzicie sobie zwyczajnie w ziemi pod naszymi stopami. My, ludzie, zawsze jesteśmy widoczni, nawet gdy chcemy być niewidoczni. Poza tym potrafimy wszystko to co wy: pływać, skakać, kopać, ale nic z tych rzeczy nie jest dla nas ważne, bo my chcemy przede wszystkim tego, czego nie potrafimy, czego musimy się długo uczyć w szkole, choć ja najchętniej chciałabym umieć pływać albo zagrzebać się w błocie i przespać dwa sezony. Ale może najważniejszą różnicą między wami a mną jest to, że wy nie macie już ojca i matki albo ich nie widujecie. Jak wy to robicie? Czy oni nie powiedzieli pewnego razu: „No to cześć wam, pyzy, teraz możecie się już obejść bez nas. A my idziemy swoją drogą". Tak to się odbyło? A może pewnego pięknego dnia latem poszłyście sobie pobrodzić, a oni odpłynęli na liściu lilii w siną dal i tyle ich widzieliście? Czy to bolało? Czy to nadal boli? Może zabrzmi to dziwnie, ale często brakuje mi ojca i matki, choć widuję ich codziennie. A może to tak jak z rzeczami, których chcemy się nauczyć, bo ich jeszcze nie potrafimy: brakuje nam wszystkiego, czego nie mamy, ojciec i matka są, ale jakby ich nie było.

Robię wdech i myślę o matce, która teraz na dole siedzi z filiżanką anyżkowego mleka w dłoni, kolana razem, i czyta reformowany dwutygodnik dla rodzin „Terdege", można go odpakować z folii w czwartek, nie wcześniej. Ojciec przegląda telegazetę w poszukiwaniu cen mleka. Jeśli są korzystne, idzie do kuchni posmarować sobie kromkę chleba, wtedy matka robi się nerwowa, bo przecież może nakruszyć, zupełnie jakby pracowała w sanepidzie. Jeśli ceny mleka nie są korzystne, ojciec wychodzi na dwór i maszeruje wałem przeciwpowodziowym, oddalając się od domu. Za każdym razem wydaje mi się, że widzimy go ostatni raz. Wieszam wtedy jego kombinezon na haczyku w przedpokoju, obok kurtki Matthiesa – śmierć ma tutaj własny wieszak. Ale najgorsza jest ta obezwładniająca cisza. Kiedy gaśnie telewizor, słychać tylko bicie zegara

z kukułką, jakby czas był śledziem do namiotu, który coraz głębiej znika w ziemi, aż robi się całkiem ciemno, ciemno jak w grobie. I oni nie odpływają od nas, tylko my od nich.

– Obiecajcie, że to naprawdę zostanie między nami, kochane ropuchy, ale czasem wolałabym mieć innych rodziców, rozumiecie? – ciągnę dalej. – Takich rodziców jak ma Belle, delikatnych jak biszkopt, który właśnie wyjęto z piekarnika. Takich, którzy długo ją tulą, kiedy robi jej się smutno, kiedy się boi albo właśnie się cieszy. Rodziców, którzy przeganiają wszystkie strachy spod łóżka i z głowy i którzy w weekend robią z tobą przegląd całego tygodnia, tak jak Dieuwertje Blok, żeby podsumować, co się w danym tygodniu osiągnęło, co sprawiło trudność i jak w końcu udało ci się znów pozbierać. Którzy patrzą ci w oczy, kiedy do ciebie mówią – chociaż mnie przeraża patrzenie ludziom w oczy, jakby czyjeś gałki oczne były dwiema wspaniałymi kulkami do gry, które bez końca można zdobywać i tracić. Żałoba jest jak pusty worek na szklane kulki do gry. I jeszcze jedno: rodzice Belle wyjeżdżają na egzotyczne wakacje i zaparzają herbatę, kiedy ona wraca ze szkoły. Mają setki różnych smaków, w tym miętę z lukrecją, mój ulubiony. Czasem piją ją, siedząc na podłodze, bo tak jest fajniej niż na krześle. Baraszkują też ze sobą i to nie przeradza się w walkę. Mówią też „przepraszam", kiedy coś źle zrobili.

Zastanawiam się, moje przyjaciółki ropuchy, czy wy w ogóle potraficie płakać, czy może po prostu idziecie popływać, kiedy jesteście smutne. My mamy łzy w sobie, wy chyba szukacie ich na zewnątrz, żeby się w nich pogrążyć. Ale wracam do waszych sił, bo od tego zaczęłam. Rzecz jasna trzeba wiedzieć, czego chce się używać i jak to robić. Wiem, że jesteście dobre w chwytaniu much i w parzeniu się. To ostatnie uważam za fanaberię, ale wy robicie to bez przerwy. A kiedy skończycie robić to, co lubicie, pojawia się problem. Czy macie ropuszą grypę? Tęsknicie za domem? A może zwyczajnie robicie wszystko na przekór? Wiem, że mam za dużo pytań, ale kiedy zaczniecie swój okres godowy, to z pewnością zacznie się on także u ojca i matki. Czasem ktoś powinien dać dobry przykład, ja zawsze mam świecić dobrym przykładem dla Hanny, choć w drugą stronę działa to lepiej. A może teraz przeważnie się całujecie? Według Belle są cztery fazy. Całowanie, dłubanie, jeszcze większe dłubanie i parzenie się. Nie mogę nic na ten temat powiedzieć, bo nawet jeszcze nie

weszłam do gry. Rozumiem jednak, że trzeba zaczynać powoli. Tyle że zostało nam mało czasu. Wczoraj matka odłożyła na bok nawet bułkę żytnią z serem, a ojciec stale grozi odejściem. Musicie też wiedzieć, że w ogóle się nie całują. Nigdy. No dobrze, tylko o północy w sylwestra. Wtedy matka ostrożnie przybliża się do ojca, bierze w dłonie jego głowę, na chwilę, jak jabłko usmażone w zbyt tłustym cieście, i przyciska swoje wargi do jego skóry, nawet nie słychać cmoknięcia. Słuchajcie, ja nie wiem, co to jest miłość, ale wiem, że dzięki niej można skakać do góry albo przepłynąć więcej basenów, ona sprawia, że jest się widocznym. Na przykład krowy często są zakochane i wtedy skaczą sobie wzajemnie na grzbiety, także jałówki na jałówki. Więc w gospodarstwie praktykujemy miłość. Jednak, szczerze mówiąc, szanowne ropuchy, sądzę, że okopaliśmy się, chociaż jest lato. Siedzimy głęboko w błocie i nie ma nikogo, kto by nas stamtąd wyciągnął. A właściwie czy wy macie jakiegoś Boga? Boga, który wybacza, albo Boga, który pamięta? Ja już nie wiem, jakiego Boga my mamy. Może wyjechał na wakacje, a może też się okopał? W każdym razie rzadziej bywa w firmie. No i te wszystkie pytania, ropuchy. Ile z nich trafia do waszych małych łebków? Nie jestem dobra w rachunkach, ale z grubsza biorąc, pewnie z dziesięć. No to popatrzcie, skoro wasze łebki są sto razy mniejsze od mojej głowy, to ile pytań jest we mnie i ile odpowiedzi nie zostało odhaczonych. Teraz wstawię was z powrotem do wiadra. Przykro mi, ale nie mogę was uwolnić. Brakowałoby mi was, bo kto będzie czuwać przy mnie, kiedy śpię? Obiecuję, że pewnego dnia zabiorę was nad jezioro. Może wtedy wspólnie podryfujemy na liściu lilii i być może, ale tak serio być może, odważę się zdjąć moją kurtkę. Chociaż pewnie będzie to trochę niewygodne, ale według pastora niewygoda jest dobra, bo w niej jesteśmy autentyczni.

# 14

Od porannego do wieczornego dojenia mija dokładnie dwanaście godzin. Jest sobota, wtedy ojciec po pierwszym udoju wraca do łóżka, potem słychać skrzypienie podłogi, aż na górze wszystko cichnie. Dopiero kiedy zgłodnieje, gdzieś około jedenastej, wolno nam zasiąść w kuchni do stołu, który jest nakryty już od ósmej i biegam czasem głodna wokół niego z nadzieją, że ojciec przez sufit wyczuje, jak trzęsę się cała ze zniecierpliwienia. Zdarza się, że przemycam na górę kawałek miodownika i przełamuję go tam na dwa kawałki. Dawniej połowa była dla Hanny, teraz jest dla moich ropuch. Kiedy ojciec w końcu siada do stołu – wcześniej musi się jeszcze ogolić, żeby być gładkim i schludnym na Dzień Pański – na szyi i kołnierzyku ma jeszcze pianę. Dzisiaj jest inaczej. Minęła już jedenasta, a kanapka ojca nadal leży na talerzu. Zrobiłam już cztery okrążenia wokół stołu, a matka posmarowała kromkę razowego chleba masłem, położyła plasterek głowizny i dała na to kleks keczupu, dokładnie tak, jak ojciec lubi. Ta kanapka kojarzy mi się z rozjechanym jeżem, którego widziałam wczoraj w drodze ze szkoły. To był smutny widok: życie, które przywarło do drogi, kawałek dalej na poboczu wnętrzności i wydłubane oczy, pewnie przez wronę. Dwie czarne dziury, w które można było włożyć palce. Jeż leżał na bocznej drodze, gdzie rzadko jeżdżą traktory czy samochody. Może sam tak wybrał, może przez dłuższy czas czekał na niewłaściwy moment, żeby przejść przez jezdnię. Zasmucona kucnęłam obok jeża i wyszeptałam:

– Bądź nam miłościw, Panie Boże, nie opuszczaj nas. Zebraliśmy się tutaj, aby pożegnać jeża, który tak bezlitośnie został nam odebrany. Oddajemy Tobie to przerwane życie i składamy je w Twoje ręce. Przyjmij jeża i daj mu spoczynek, którego nie mógł tu zaznać. Bądź nam wszystkim Bogiem miłosiernym i kochającym, abyśmy mogli żyć ze śmiercią. Amen.

Potem zerwałam kilka garści trawy i położyłam na jeżu; odjeżdżając stamtąd na rowerze, nie oglądałam się za siebie.

Kładę kromkę na talerzu i starannie pokrywam ją czekoladową posypką. Burczy mi w brzuchu.

– Czy ojciec dalej leży w łóżku? – pytam.

– Jeszcze nawet nie wrócił – odpowiada matka. – Czułam po prześcieradłach, że zimne.

Pochyla się nad tacą i wyławia łyżeczką kożuch z zimnej już kawy ojca. Lubi kożuchy. Widzę, jak brązowy i obwisły kożuch z mleka znika w jej ustach; przechodzi mnie dreszcz. Krzesło Obbego naprzeciwko mnie także jest puste. Na pewno siedzi przed komputerem albo jest u kur. Obbe i ja mamy dwadzieścia kur: czubatki, orpingtony, wyandotty i trochę niosek. Często udajemy, że mamy dwa dobrze prosperujące przedsiębiorstwa – jego nazywa się Grzebielucha, a moje Liliputek. Raz do roku mamy pisklęta, małe żółte kępki waty cukrowej na nóżkach. Matki chowają większość, biorą je pod skrzydła i ogrzewają, ale czasem taka kurza matka nie chce o tym słyszeć, może nie wie, do czego służą skrzydła, bo przecież nie mogą fruwać, ich ciała są za grube i za ciężkie, by wzbić się w powietrze. Dlatego wkładamy pisklęta do akwarium wypełnionego trocinami i stawiamy w szopie pod lampą grzewczą od cieląt. Czasem zabieram jedno ze sobą na strych i wkładam pod pachę na noc, zawiązuję mu tylko kawałek ręcznika papierowego z tyłu, żebym nie obudziła się cała w sraczce. Obbe i ja sprzedajemy nasze jajka – wytłoczka z dwunastoma kosztuje jedno euro. Kupuje je sprzedawca frytek na placu i robi z nich pyszny majonez albo gotuje je na huzarską sałatkę jarzynową. Z początku Obbe przesiadywał cały czas u kur na odwróconym wiadrze od mleka, mógł godzinami patrzeć, jak jedna z jego czerwonych kur bierze kąpiel w piasku. Teraz bywa tam rzadziej. Czasem nawet zapomina dać im jeść, wtedy głodne podfruwają na siatkę wybiegu. On robi to specjalnie, tak myślę. Nie cierpi coraz więcej rzeczy, więc pewnie także sprzedawcy frytek i jego majonezu. Dlatego często to ja rzucam im chleb, zbieram jajka z gniazd i podkładam ukradkiem do moich wytłoczek. Mam nadzieję, że teraz w końcu sprząta u kur. Ojciec zagroził, że je sprzeda, jeśli Obbe szybko nie zrobi tam porządku. Szczególnie gdy jest gorąco, roi się tam od larw i kurzych wszołów. Można je zobaczyć na gołym ramieniu, brązowe ciałka z sześcioma nogami, i zgnieść między palcami.

Tymczasem Hanna też dołączyła do stołu. I od razu pochłonęła całą salaterkę truskawek. Kiedy czekamy, robimy się nerwowe, bo nie wiemy, co teraz będzie i gdzie podziewa się ojciec. Czy zebrał się w końcu na odwagę, by wsiąść na rower i na zawsze od nas odjechać? Bez osłony tylnego koła zapewne, bo przedziurawiła się membrana, kiedy po nabożeństwie poryw wiatru przewrócił rower. A może ojciec upadł wśród krów i został stratowany potężnymi nogami bydła, które jest zasuszane. Koncentruję się na truskawkach. Zaraz pójdę po nowe do ogródka: ojciec za nimi przepada i najchętniej posypuje je grubą warstwą brązowego cukru.

– Zaglądałaś już do obory?

– Przecież wie, że o tej godzinie jemy – mówi matka i wkłada kubek z kawą ojca do mikrofali.

– Może pojechał do Janssena po sianokiszonkę?

– Nigdy tego nie robił w sobotę. No to chyba po prostu zaczniemy bez niego.

Żadna z nas nie zabiera się jednak do jedzenia. Dziwnie jest bez ojca. I kto teraz podziękuje Bogu „za ubóstwo i szczodrość”?

– To ja pójdę zobaczyć – mówię i odsuwam krzesło, potrącając przy tym krzesło Matthiesa. Chwilę się chwieje, potem pada oparciem na podłogę. Łoskot wibruje mi w uszach, szybko chcę je podnieść, ale matka łapie mnie mocno za ramię.

– Nie dotykaj!

Patrzy na oparcie, jakby to był mój brat, który raz jeszcze upadł, który zawsze i wciąż na nowo będzie upadać w naszych głowach. Nie podnoszę krzesła i patrzę na nie, jakby to był ktoś martwy. Teraz, kiedy skończyły się truskawki, Hanna zaczyna obgryzać paznokcie. Czasem między zębami widać krwawe skórki. Po łoskocie następuje cisza, nikt nie oddycha. Dopiero po chwili powoli powracają funkcje życiowe: czucie, węch, słuch i ruch.

– To przecież tylko krzesło – mówię nagle.

Matka puszcza mnie i bierze słoik z masłem orzechowym.

– Ty naprawdę jesteś z innej planety – szepcze.

Wbijam wzrok w podłogę. Matka zna tylko Ziemię. Ja znam osiem planet i wiem, że do tej pory tylko na Ziemi znaleziono życie. „Matka Woli Ziemniaki, Może Je Sama Usmażyć Nawet". Matka prawie w ogóle teraz nie je, ale to zdanko pozwala mi zapamiętać nazwy wszystkich planet. Kiedy się czymś denerwuję albo muszę zbyt długo czekać na światłach niedaleko szkoły, powtarzam je w myślach kilkadziesiąt razy. To sprawia, że robię się mała: wszyscy razem jesteśmy małym ziemniaczkiem na olbrzymiej patelni.

– Co z was wyrośnie? – żali się matka.

Zaciska dłoń na słoiczku Duo Penotti. Od śmierci Matthiesa nikt z niego nie je, za bardzo się boimy, że nie uda nam się zachować bieli białego kremu, że kolory się pomieszają, że zrobi się jedna wielka czarna dziura.

– Zostaniemy Wielkimi Miłymi Ludźmi, mamo, i oczywiście to krzesło nie jest tylko krzesłem, bardzo mi przykro.

Matka kiwa potakująco głową.

– No i gdzież ten człowiek się podziewa?

Kolejny raz włącza przycisk mikrofali. Nie sprowadza mnie z powrotem do Układu Słonecznego, tylko pozwala mi błądzić. Czy naprawdę jestem inna niż inni?

Szybko otwieram drzwi i wychodzę na dwór, idę przez podwórze w kierunku obór. Biorę głęboki oddech i wydmuchuję powietrze tak mocno, jak tylko potrafię. Powtarzam to kilka razy i zauważam, że niebo nade mną zaczyna szarzeć. To idealny dzień, aby uciec na tamtą stronę. Tam pewnie będę mogła sama planować swój czas i jeść śniadanie, kiedy zechcę, ale im jestem bliżej obór, tym wolniej idę. Na podwórzu staram się nie nastąpić na krawędzie płytek. „Jeśli to zrobisz, czeka cię śmiertelna choroba albo dopadną cię sraczka lub rzygi. I każdy to zobaczy. Wszyscy mieszkańcy wsi, cała klasa". Potrząsam głową, by pozbyć się tych myśli, i zauważam, że zasuwa od silosu na paszę obok obory dla mlecznych krów jest otwarta. Pod spodem leży olbrzymia hałda paszowego granulatu. Ojciec zawsze nas ostrzegał przed szczurami.

– Jeśli nakruszysz, zaczną podgryzać najpierw granulki karmy, a potem gryźć w palce, przegryzą wam nawet podeszwy na wylot.

Strumień granulatu robi się coraz cieńszy, większość już się wysypała. Na moment zanurzam w nim palce. Granulki są chłodne i delikatne, prześlizgują się między palcami. Potem zamykam zasuwę i przywiązuję sznurkiem do bocznej ścianki. Nagle przypomina mi się sznur pośrodku obory, do którego umocowana była niebieska piłka do skakania, żeby krowy miały nieco rozrywki. Ale nowa krowa, która jeszcze miała rogi, przebiła piłkę. Sznur został. Czasem przywiązywaliśmy do niego liście orzecha włoskiego, wisiały tam też płyty *Hitzones* Obbego, kiedy ojciec mu je zabrał – błyszczącą stroną odganiały muchy, tak jak liście orzecha. Wyobrażam sobie, że teraz zamiast piłki wisi tam głowa ojca. Matka często mówi za niego. Kto wie, może tamtej nocy, kiedy schowałam się za szopą dla królików, też tak było? Na wsi jest mnóstwo sznurów, ale nie ma żadnego, który miałby stałe zadanie. W każdym razie ojciec nie stoi na silosie. Drzwi do obory są otwarte i widzę Obbego od strony koryt. Rzuca krowom sianokiszonkę, widły zgrabnie zataczają łuk, pot na twarzy przypomina krople rosy na metalowych ramach okien. Krowy są niespokojne. Machają ogonami w lewo i w prawo. Niektóre mają na sobie mnóstwo grudek wyschniętego gówna, które co jakiś czas trzeba wycinać z sierści nożem do racic: bardziej ze względu na wygląd niż dla samych krów. Przy każdym ruchu bicepsy Obbego się napinają. Robi się coraz silniejszy. Szybko przebiegam wzrokiem po dziesiątkach krowich grzbietów, od zakątków obory aż do sznura pośrodku. Nagle otwierają się drzwi z tyłu i ukazuje się ojciec. Wygląda inaczej. Jego głowa jest jak silos, z którego wysypał paszę. Górne guziki kombinezonu ma rozpięte, widać jego brązową pierś. Matka uważa, że tak nie wypada: wyobraźcie sobie, że jeden z nabywców mleka go tak zobaczy! Może się boi, że klient odjedzie bez mleka, ale za to z ojcem. Mleko kosztuje euro za litr. Ojciec składa się mniej więcej z pięćdziesięciu litrów. Także z tego powodu niedziela jest ulubionym dniem matki: w Dzień Pański nikomu nie wolno wydawać pieniędzy ani ich przyjmować. Tego dnia wolno nam jedynie oddychać i przyjmować tylko to, co najniezbędniejsze, czyli wyłącznie Słowo Boże i jarzynową matki.

Ojciec zagania ostatnie krowy do środka, klepie je po zadach i zasuwa rygiel wielkiej metalowej bramy. Nic z tego nie rozumiem. Przecież rygiel jest zasuwany tylko zimą albo wtedy, gdy nikogo nie ma w gospodarstwie.

A zimy nie ma i wszyscy jesteśmy w domu. Na dodatek ojciec rzuca wszystkie widły na jedną kupę obok koryt i owija je w plastik, który został po pakowaniu sianokiszonki. Na moment spogląda w górę. Widać, że się jeszcze nie ogolił. Łapie się za głowę, szczęki ma napięte. Chcę mu tylko powiedzieć, że matka czeka na niego w domu i że nie jest zła, że jeszcze nie pytała, czy ją kochamy, więc nie mogła też zwątpić w odpowiedź, i że kanapka leży na jego ulubionym talerzu ze szlaczkiem w krowy na brzegach. Że Hanna i ja ćwiczyłyśmy dziś rano Psalm 100, psalm na ten tydzień, i że wychodzi nam czysty jak mleko. Ojciec mnie nie zauważył. Stoję więc z porcelanową salaterką na truskawki w rękach i patrzę na niego. Razem z Obbem zabierają byka od młodych krów, był tam zaledwie dwa dni. Nazwaliśmy go Bello. Ojciec wszystkie byki nazywa Bello. Nawet gdyby wolno nam było wybrać i nadać inne imię, i tak zostałby w końcu Bello. Raz widziałam jego siusiaka. To było bardzo krótko, bo matka wtedy wyszła z obory dla mlecznych krów i ręką w plastikowej rękawiczce zasłoniła mi oczy i powiedziała:

– Robią poloneza.

– Dlaczego nie mogę tego obejrzeć? – spytałam.

– Bo nie jesteśmy w nastroju do świętowania.

Wstydziłam się mojego pytania: oczywiście nie byliśmy w nastroju do świętowania, cóż za lekceważenie ze strony byka.

Dopiero teraz ojciec mnie dostrzega. Macha ręką od siebie i woła:

– Musisz wyjść z obory, natychmiast.

– Tak, natychmiast – powtarza po nim Obbe, który przepasał się niebieskim kombinezonem wokół bioder.

Najwidoczniej bierze na poważnie to, że zostanie następcą ojca. Przez chwilę czuję ukłucie na wysokości śledziony. Wygląda na to, że nagle się dogadali wśród krów, oto ojciec i syn.

– Dlaczego?

– Nie dyskutuj! – wrzeszczy ojciec. – Zamknij drzwi!

Boję się złości w jego głosie i oczach, które tkwią mu w twarzy jak twarde królicze bobki. Z czoła ścieka mu pot. W tym momencie krowa obok mnie ześlizguje się z betonowego rusztu i pada na wymię. Nawet nie próbuje wstać. Spoglądam jeszcze pytająco na ojca i na Obbego, ale już się

odwrócili i kucają przy jałówkach. Zamaszystymi krokami wychodzę z obory, zatrzaskuję za sobą drzwi i słyszę, jak trzeszczy drewno. Niech ta cholerna obora się zawali, myślę sobie, ale zaraz wstydzę się własnych myśli. Dlaczego nie mogę wiedzieć, co się dzieje? Dlaczego nikt mi nic nie mówi?

W ogrodzie warzywnym właźę pod siatkę przeciw ptakom. Sąsiadka Lien rozpięła ją nad rzędami truskawek, aby mewy i szpaki ich nie wyjadały. Klękam na wilgotnej ziemi. Jest sobota, więc mogłam założyć spodnie, bo trzeba będzie pracować. Delikatnie odsuwam liście, żeby odsłonić najładniejsze owoce, całe czerwone zrywam i kładę do salaterki. Od czasu do czasu wsuwam truskawkę do ust: są słodkie i wspaniale soczyste. Lubię strukturę truskawek, małe ziarenka i włoski w ustach. Struktury mnie uspokajają. Dbają o całość, utrzymują w całości coś, co bez nich zapadłoby się w sobie. Nie lubię tylko struktury warzyw w indonezyjskiej potrawie nasi, ugotowanej cykorii i gryzących ubrań. Ludzka skóra też ma strukturę. Skóra matki coraz bardziej przypomina siatkę na ptaki: małe kratki zapadające się w miękkiej skórze, jakby była puzzlami, w których co rusz brakuje jakiegoś kawałka. Ojciec ma raczej skórę ziemniaczaną: gładką z szorstkimi miejscami. Czasem z zagłębieniem po gwoździu, na który się nadział.

Kiedy salaterka jest pełna, wyłażę spod siatki i strzepuję ziemię ze spodni. W szopie przy wycieraczce stoją kalosze ojca i Obbego, jeden tkwi do połowy w zzuwadle. Obaj nie siedzą przy stole, tylko na sofie przed telewizorem, chociaż jest dzień, a w ciągu dnia ekran powinien być czarny. Na ogół widać wtedy tylko, że śnieży. Najpierw myślałam, że znajdziemy tam Matthiesa, ale potem zorientowałam się, że ojciec po prostu wyciągnął kable. Właśnie lecą Wiadomości NOS: „FMD dotknęło także tutejszych hodowców. Kara boska czy zwykły przypadek?”.

Bóg, jak pogoda, nigdy nie zadowala. Jeśli gdzieś we wsi uratowany zostanie łabędź, w innym miejscu umiera członek zboru. Nie wiem, co to jest FMD i nie będę miała szansy, żeby się dowiedzieć, bo matka właśnie mówi, że mam pójść pobawić się z Obbem i Hanną i że to nie będzie taki dzień jak inne, a ja nie chcę jej przerywać i nie mówię, że już od dłuższego czasu dni nie są takie jak dawniej, bo jej twarz jest blada jak bielutkie

szydełkowe firanki na okna. Zauważam, że ojciec i matka usiedli dziwnie blisko siebie. Może zapowiada to nagość i muszę ich teraz zostawić w spokoju; dwóch ślimaków też nie wolno rozdzielać, bo można uszkodzić perłową macicę ich domków. Salaterkę z truskawkami stawiam na bufecie, obok otwartej Biblii w przekładzie Stanów Generalnych, na wypadek gdyby matka po parzeniu się zgłodniała i w końcu zaczęła jeść. Ojciec wydaje dziwne dźwięki: posykuje, pomrukuje, wzdycha, kręci głową i powtarza „nie, nie, nie". Zwierzęta, parząc się, wydają różne dźwięki, więc pewnie tak samo jest u ludzi. Przez moment na ekranie telewizora widzę ozór krowy z pęcherzami po bokach.

– Co to jest FMD? – pytam.

Nie dostaję odpowiedzi. Ojciec pochyla się do przodu, bierze pilota i podgłaśnia telewizor.

– No idź już! – mówi matka, nie patrząc na mnie.

Idę na górę i tupię coraz głośniej, jakby paski na ekranie były schodkami, ale nikt nie idzie za mną, nikt mi nie mówi, co na Boga się tu dzieje.

# 15

Na drzwiach pokoju Obbego wisi czarna karteczka z wypisanym białymi literami: „Nie przeszkadzać". Nie chce, żeby mu przeszkadzano, ale kiedy Hanna i ja przez dłuższy czas nie zachodzimy do niego, wtedy sam przychodzi do nas. My nie mamy na drzwiach karteczek, my akurat chcemy, żeby nam przeszkadzano, nie chcemy być same.

Wokół białych liter są naklejki artystów z nowej składanki *Hitzone 14*, między innymi Robbiego Williamsa i chłopaków z Westlife'a. Ojciec wie, że Obbe tego słucha, ale nie ośmiela się zabrać mu discmana, bo to jedyne, co jest w stanie Obbego udobruchać, a mnie nawet nie wolno na niego oszczędzać.

– Kup sobie książki za swoje oszczędności, to raczej coś dla ciebie – powiedział ojciec, a ja pomyślałam: czy stałam się jakimś dropsem lukrecjowym rzuconym z dala od wszystkiego, co jest cool?

Ojciec i tak uważa, że cała ta muzyka na CD i w radiu jest bezbożna. Lepiej żebyśmy słuchali Muzycznego Kosza Owoców, ale to jest nudne jak flaki z olejem i dla starych ludzi, dla nadgniłych owoców, jak powiada czasem Obbe. Śmieszy mnie to: koncert życzeń dla nadgniłych owoców przykutych do łóżka, pieśń kościelna numer 11. Sama najchętniej słucham opowieści Berta i Erniego, bo wykłócają się o rzeczy, które normalnych ludzi wcale nie obchodzą; kłótnie mnie uspokajają. Włączam wtedy mój odtwarzacz CD, wpełzam pod kołdrę i wyobrażam sobie, że jestem wyjątkowym spinaczem do papieru ze zbioru Berta.

– Klapaucjusz – szepczę, uchylając delikatnie drzwi.

Widzę pasek na plecach Obbego, który w kombinezonie siedzi na podłodze. Drzwi skrzypią, kiedy je szerzej otwieram. Brat się odwraca. Jego wzrok jest ciemny, podobnie jak karteczka na drzwiach. A ja ni stąd, ni zowąd zastanawiam się, czy motyle żyłyby krócej, gdyby wiedziały, że mogą się zalatać na śmierć.

– Hasło? – woła Obbe.

– Klapaucjusz – mówię raz jeszcze.

– Błąd – odpowiada Obbe.

– Przecież takie było hasło.

Wąsy Dieuwertje nadal tkwią w kieszeni mojej kurtki. Kłują mnie w dłoń. Mam szczęście, że matka nie opróżnia mi kieszeni, bo inaczej dowiedziałaby się, czego nie chcę oddać, co gromadzę, by stać się cięższa.

– Musisz wymyślić coś lepszego, inaczej nie wolno ci tu wejść.

Obbe odwraca się do mnie plecami i dalej bawi się Lego. Buduje olbrzymi statek kosmiczny. Chwilę się namyślam i mówię:

– Heil Hitler.

Przez moment jest cicho. Potem widzę, jak jego ramiona lekko się unoszą i opadają, zaczyna rechotać, coraz głośniej. Dobrze, że się śmieje, to stwarza więź – rzeźnik we wsi też zawsze puszcza do mnie oko, kiedy przychodzę po świeże kiełbaski. To znaczy, że dokonałam dobrego wyboru, że jest zadowolony, że uwalniam go od tych kiełbasek, które z takim uczuciem robił i które pachną gałką muszkatołową.

– Powiedz jeszcze raz, ale z podniesioną ręką.

Teraz Obbe odwrócił się już do mnie. Podobnie jak ojciec rozpiął kombinezon. Błyszcząca brązowa pierś przypomina kurczaka na rożnie. W tle słychać intro The Sims. Bez wahania wyciągam rękę w powietrze i ponownie szepczę pozdrowienie. Brat kiwa, że mogę wejść, i znów kieruje swój wzrok na Lego. Wokół niego leżą różne rodzaje klocków, ułożone kolorami. Zamek z Lego, w którym przez pewien czas ukrywał martwego Tiesjego, dopóki nie zaczął śmierdzieć, już zburzył.

W pokoju panuje zaduch, w powietrzu czuć rozkład, zapach ciała nastolatka, który już dawno się nie mył. Na nocnym stoliku leży rolka papieru toaletowego, a dokoła jasnożółte zwitki. Bawię się zwitkami i dyskretnie je wącham. Gdyby łzy miały zapach, nikt nie mógłby płakać po kryjomu. Zwitki nie pachną niczym. Jedne są lepkie, inne zbite. Spod poduszki wystaje róg czasopisma. Unoszę poduszkę, na okładce jest naga kobieta z piersiami jak dynie piżmowe. Spogląda zdziwiona, jakby nie znała przyczyny swojej nagości, jakby to był zbieg okoliczności, a to akurat było jej pięć minut. Są ludzie, którzy boją się, kiedy przychodzi ten moment, żyli dla niego, a kiedy następuje, są zaskoczeni. Nie wiem, kiedy

wypadnie moje pięć minut, wiem tylko, że będę wtedy miała na sobie moją kurtkę. Tej kobiecie musi być zimno, widać gęsią skórkę na jej ramionach.

Szybko opuszczam poduszkę. Nie widziałam wcześniej tego czasopisma. Nie dostajemy żadnej prasy z wyjątkiem protestanckiego „Reformatorisch Dagblad", dwutygodnika dla rodzin „Terdege", biuletynu zrzeszenia Agrifirm, jakichś gazetek reklamowych z Dirka i czasopisma o dżudo dla Matthiesa – ojciec i matka wciąż „zapominają" odwołać prenumeratę, więc co piątek śmierć Matthiesa po raz kolejny spada z pacnięciem na wycieraczkę. A może Obbe tłucze głową w ramę łóżka, żeby wytrząść z niej tę nagą kobietę? Nie może w sobie poprzełączać kanałów jak w telewizorze, a ojciec z pewnością od razu zauważyłby, że syn ma nie całkiem czyste myśli.

Siadam na podłodze obok Obbego. Uwięził w ruinach zamku jasnowłosą księżniczkę, która ma pomalowane usta i tusz na rzęsach.

– Zgwałcę cię – mówi Obbe i raz po raz dociska rycerza do księżniczki, tak jak Bello napiera na krowy.

Teraz trudno mi zasłonić dłonią oczy, bo nikt nie pilnuje, czy nie podglądam. Dochodzę do wniosku, że lepiej stawić czoła pokusie. Przypatruję się scenie i biorę z pudełka na Lego czystą puszkę po tuńczyku, w której przechowujemy monety i złote medaliony; pachną rybim tłuszczem. Obbe sięga po nie ręką.

– Masz tutaj swoje pieniądze, kurwo.

Brat stara się obniżyć głos. Tego lata zaczął przechodzić mutację, raz jego głos jest wysoki, raz niski.

– Co to jest „kurwa"? – pytam.

– Kobieta na własnym gospodarstwie.

Zerka na drzwi, czy ojciec i matka tego nie słyszą. Wiem, że matka nie krytykuje kobiet, które prowadzą gospodarstwa, choć uważa, że to raczej praca dla mężczyzn. Biorę innego rycerza, który stoi na popsutej wieży obserwacyjnej. Obbe znów dociska swojego ludzika do księżniczki, oboje mają na twarzach wyraz zadowolenia. Teraz ja obniżam głos:

– Co masz pod sukienką, księżniczko?

Obbe wybucha głośnym śmiechem. Czasem ma się wrażenie, jakby do jego gardła wleciał szpak i wydawał piskliwe dźwięki.

– Nie wiesz, co tam jest pod spodem?

– Nie.

Stawiam księżniczkę na murze obronnym. Znam tylko siusiaki.

– Sama to masz. Cipa.

– A jak ona wygląda?

– Jak bułeczka z budyniem.

Unoszę brwi. Ojciec kupuje czasem w piekarni bułeczki z budyniem. Zdarza się, że pod spodem mają niebieskie kropki i budyń jest już zaschnięty, ale i tak smakują całkiem dobrze.

Z dołu dochodzą krzyki ojca. Krzyczy teraz częściej, jakby z coraz większą siłą chciał upchnąć w nas swoje słowa. Myślę o sentencji z Izajasza: „Wołaj na całe gardło, nie powściągaj się, podnieś jak trąba swój głos i wspominaj mojemu ludowi jego występki, a domowi Jakuba jego grzechy!". Jakie to występki znów popełniliśmy?

– Co to jest FMD? – pytam Obbego.

– Pryszczyca, choroba pyska i racic.

– I co teraz?

– Wszystkie krowy trzeba wybić. Całe stado.

Mówi to bez emocji, ale dostrzegam, że włosy na czubku głowy ma tłustsze niż przy szyi, wyglądają jak zawilgocona sianokiszonka. Nie mam pojęcia, ile razy dotknął już czubka głowy, ale to jasne, że się martwi.

Czuję nagły przypływ gorąca w piersiach, jakbym zbyt szybko wypiła kubek czekoladowego mleka. Ktoś je miesza łyżeczką – słyszę, jak matka mówi: „Nie mieszaj łyżeczką" – i przez to powstaje w moim sercu wir, a krowy jedna za drugą znikają w tym wirze jak grudki kakao w mleku. Z całych sił staram się myśleć o księżniczce z Lego. Jak ukryła pod sukienką bułeczkę z budyniem, który Obbe będzie mógł wylizywać z nosem w cukrze pudrze.

– Ale dlaczego?

– Bo są chore. Śmiertelnie.

– A to jest zaraźliwe?

Obbe spogląda na mnie badawczo, mruży oczy, które robią się jak płaskie nożyki, jakie czasem musimy kupować dla sąsiadki Lien, do jej

ogrodowej rozdrabniarki, i mówi:

– Będę uważnie obserwować, czy oddychasz.

Ramionami obejmuję kolana, kołyszę się coraz szybciej w przód i w tył. Wyobraziłam sobie, że ojciec i matka żółkną jak ludziki Lego, że nie będą w stanie opuścić swoich miejsc, kiedy krów już nie będzie, że nikt ich nie weźmie za kark i nie wetknie we właściwe miejsce.

Chwilę później dołącza do nas Hanna. Ma ze sobą koktajlowe pomidorki, zębami odrywa z nich skórkę i dostaje się do delikatnego czerwonego miąższu. Wzrusza mnie dokładność, z jaką zjada pomidorki, z jaką robi wszystko, zawsze warstwa po warstwie. Z kanapki zjada najpierw to, co na wierzchu, dopiero potem skórkę, następnie miąższ. Z biskwitów Liga przednimi zębami zdrapuje mleczną polewę, a ciastko zachowuje na sam koniec. Hanna je warstwowo, a ja myślę warstwowo. Akurat kiedy ma zgnieść zębami kolejnego pomidorka, drzwi do pokoju Obbego ponownie się otwierają i głowę wsuwa weterynarz. Już dawno go u nas nie było, nadal nosi ten sam długi ciemnozielony fartuch roboczy z czarnymi guzikami, a z kieszeni dyndają mu bezwładnie cztery palce gumowej rękawicy; kciuk jest podwójny. Po raz drugi przynosi złe wiadomości:

– Jutro przyjadą pobrać próbki. Trzeba założyć, że nic nie da się uratować, nawet wolnych krów.

To krowy niezarejestrowane oficjalnie, ojciec trzyma je na dodatkowe mleko, które sprzedaje we wsi i po rodzinie. Pieniądze z „czarnego mleka" przechowywane są w puszce na kominku. Na wakacje. Czasem jednak widzę, jak ojciec otwiera puszkę i wyjmuje kilka banknotów, kiedy wydaje mu się, że nikogo nie ma w domu. Podejrzewam, że odkłada na swój posag. Ewa też tak robi, chociaż ma dopiero trzynaście lat. Ojciec na pewno szuka sobie takiej rodziny, w której będzie mógł oblizywać nóż po tym, jak wyjmie go ze słoika z jabłkową melasą, i gdzie nie będzie musiał krzyczeć albo trzaskać drzwiami, której nie będzie przeszkadzać, że po jedzeniu rozpina górny guzik spodni i znad gumki od majtek wystają mu jasne, kręcone włoski. A może nawet będzie mógł wtedy sam zdecydować, w co się ubrać: teraz każdego ranka matka przewiesza przez ramę łóżka to, co

ojciec ma założyć – kiedy mu się to nie podoba, matka cały dzień się do niego nie odzywa, albo znów wykreśla coś ze swojego jadłospisu, co zapowiada westchnieniem, tak jakby to jedzenie jej nie chciało.

– Skoro tak, to niech się dzieje wola Nieba.

Weterynarz spogląda na nas i się uśmiecha. Ma piękny uśmiech, ładniejszy niż uśmiech Boudewijna de Groota.

– No i postarajcie się teraz być wyjątkowo mili dla rodziców – dodaje.

Posłusznie kiwamy głowami. Tylko Obbe wpatruje się uparcie w grzejnik w pokoju. Schnie tam kilka motyli. Mam nadzieję, że weterynarz tego nie widzi i nie powie o tym ojcu i matce.

– Muszę wrócić jeszcze do krów – mówi weterynarz, obraca się i zamyka za sobą drzwi.

– Dlaczego ojciec sam nie przyjdzie i nam tego nie powie? – pytam.

– Ponieważ musi podjąć pewne środki – odpowiada Obbe.

– Na przykład?

– Ogrodzić gospodarstwo, wyłożyć maty dezynfekcyjne, zamknąć cielaki, zdezynfekować narzędzia, zbiornik na mleko.

– A nas nie musi podjąć? Nie jesteśmy środkami?

– Jasne – mówi Obbe – ale my, od kiedy się urodziliśmy, jesteśmy zamknięci i unieruchomieni. Jesteśmy, jacy jesteśmy.

Przysuwa się do mnie bliżej. Użył tego samego płynu po goleniu co ojciec, żeby uszczknąć coś z jego naturalnego autorytetu.

– Chcesz wiedzieć, jak zamordują krowy?

Kiwam głową i myślę o naszej pani, która powiedziała, że z moją zdolnością wczuwania się i bezgraniczną fantazją zajdę daleko, ale że na dłuższą metę muszę im nadać słowa, ponieważ inaczej wszystko we mnie utknie na dobre. I wszyscy. I że pewnego dnia zwinę się w sobie niczym czarne pończochy, jak nas, reformowanych, czasem przezywają w szkole – choć ja nigdy nie noszę czarnych pończoch – i będę widzieć już tylko ciemność, wieczną ciemność. Obbe przykłada mi palec wskazujący do skroni i naśladuje odgłos wystrzału, jednocześnie ściągając troczki mojej kurtki tak, że nie mogę złapać tchu. Przez chwilę patrzę mu w oczy i widzę

tę samą nienawiść co wtedy, gdy potrząsał chomikiem w szklance wody. Uwalniam się.

– Masz źle w głowie?!

– Wszyscy mamy źle w głowach, ty też – odpowiada Obbe.

Z szuflady biurka wyciąga paczkę bąbelkowych miniczekoladek, rozrywa papierki i jedną pod drugiej wsadza do ust, aż rośnie w nich wielka brązowa bryja. Na pewno ukradł z piwnicy. Mam nadzieję, że Żydzi mieli czas, żeby się ukryć za rzędem słoików z musem jabłecznym.

# 16

Ojciec uważa, że pogrzeby wron są najpiękniejsze. Zdarza się, że na kupie gnoju czy na pastwisku znajdzie martwą wronę, wiesza ją wtedy na gałęzi wiśni głową w dół. Już po chwili całe stado wron zaczyna krążyć nad drzewem, godzinami oddając ostatnią posługę przedstawicielowi swojego gatunku. Nie ma takiego zwierzęcia, które by tak długo nosiło żałobę jak wrony. Zazwyczaj jeden z ptaków wyróżnia się wśród pozostałych, jest trochę większy, jest też gwałtowniejszy, kracze najgłośniej ze wszystkich. Najpewniej to pastor całego towarzystwa. Ich stroje z czarnych piór wspaniale kontrastują z tłem jasnego nieba, a według ojca wrony to najmądrzejsze ze zwierząt. Potrafią liczyć, zapamiętywać twarze i głosy, dlatego też zachowują urazę do tych, którzy źle je potraktowali. Przenikliwie spoglądają z rynny, kiedy ojciec przemieszcza się między domem a oborą, jak kartonowy zając na strzelnicy – ich czarne oczy świdrują jego pierś jak śrut. Staram się nie patrzeć na wrony. Może chcą nam coś oznajmić albo czekają, aż krowy będą martwe? Wrony w gospodarstwie zapowiadają, że ktoś umrze, tak powiedziała babcia. Sądzę, że matka umrze pierwsza. Albo ja. Nie bez powodu ojciec prosił dziś rano, żebym się położyła na podwórzu, bo chce zdjąć miarę na nowe łóżko; zrobi je z desek po kurniku Obbego, z palet i dębiny. Położyłam się na podwórzu na zimnej ziemi z rękoma wzdłuż ciała i zobaczyłam, jak ojciec rozłożył metrówkę i przykłada mi ją od stóp do głowy, więc pomyślałam: gdyby odpiłować nogi łóżka i wyjąć materac, łatwo będzie można z tego zrobić trumnę. Wolałabym, żeby złożyli mnie do ziemi twarzą w dół, a okienko dali na wysokości moich pośladków, każdy mógłby się pożegnać, patrząc na moją srajdziurę, bo wokół tego wszystko się kręci.

Ojciec złożył metrówkę. Nalegał, żebym już dłużej nie spała w łóżku Matthiesa, bo „Jaś nie może na to dłużej patrzeć". Ostatnio wyglądam tak blado, że sąsiadka Lien co piątek przynosi mi w skrzynce po ziemniakach mandarynki. Niektóre, tak jak ja, zawinięte są w kurteczki, ale z papieru. Coraz częściej wstrzymuję też oddech, bo nie chcę dostać zarazków, ale też

dlatego, że chcę się znaleźć bliżej Matthiesa. Po chwili osuwam się na ziemię, a wszystko wokół rozmywa się jak zaśnieżony krajobraz. Szybko dochodzę do siebie i widzę zatroskaną twarz Hanny, która kładzie mi na czole spoconą dłoń jak kompres. Nie mówię jej, jak fajnie jest stracić przytomność i że istnieje większa szansa, że w zaśnieżonym krajobrazie spotkam Matthiesa, niż że w gospodarstwie napotkam śmierć. Kiedy tak leżałam na podwórzu i ojciec zapisywał w terminarzu centymetry, nad głowami krążyły nam wrony.

Matka naciąga czyste prześcieradło na nowy materac i wzrusza poduszkę. Na środku, tam gdzie będzie leżeć moja głowa, robi pięścią dwa wgniecenia. Kiedy siedzę przy biurku i patrzę na moje nowe łóżko, już mi brakuje starego, chociaż stopami zaczęłam w nim dotykać do brzegowej deski i miałam wrażenie, że wzięto mnie w dyby, które coraz bardziej się zaciskają. Ale przynajmniej dawało mi to poczucie bezpieczeństwa, jakby coś mnie ograniczało, bym dalej nie rosła. Teraz mam tyle miejsca, że mogę się przewracać z boku na bok i kłaść na ukos. Będę musiała zrobić sobie zagłębienie, żeby do niego wpadać, bo zniknął zarys Matthiesa. W niczym nie odnajduję już jego wymiarów.

Matka klęka przy brzegu łóżka, opierając łokcie na pościeli, która zalatuje gnojówką, bo wiatr wiał ze złej strony, zresztą coraz częściej zawiewa ze złej strony. Niedługo nic już nie będzie pachnieć krowami, ich zapach ulotni się nawet z naszych głów, a my będziemy tylko pachnieć tęsknotą, wzajemną nieobecnością. Matka delikatnie, na zachętę poklepuje pościel dłonią. Posłusznie wstaję i wsuwam się pod prześcieradła; kładę się na boku, żeby widzieć jeszcze jej twarz. Kiedy tak na nią patrzę, niebieskie paski pościeli sprawiają wrażenie, że jest ode mnie oddalona o całe mile, tkwi gdzieś pod tamtej stronie jeziora, jej ciało chude jak u kurki wodnej przymarzniętej do lodu w przeręblu swojego smutku. Przesuwam nogi trochę na prawo, żeby znalazły się pod złożonymi rękoma matki. Natychmiast się odsuwa, jakbym była pod napięciem. Pod oczami ma ciemne worki. Staram się wybadać, jak bardzo dotknęły ją wiadomość o wybuchu pryszczycy, wieczorny incydent po nabożeństwie, no i czy wrony przyleciały po nią, czy po mnie.

– Nie dajcie się pokonać złu, lecz zło dobrem zwyciężajcie – powiedział w porannym kazaniu pastor Renkema.

Siedziałam z Hanną i innymi dziećmi ze wsi na balustradzie wokół organów na chórze. To stamtąd zobaczyłam, jak ojciec unosi się nad morzem czarnych kapeluszy, które z góry przypominały żółtka zbuków pokrytych tu i ówdzie czarnymi plamkami, bo nie wybrano ich na czas z gniazd. Niektóre z dzieci wokół mnie także za długo leżały w gniazdach, siedziały z sennymi twarzami, gapiąc się przed siebie, podtrzymując głowę, jakby to był woreczek na kościelną kolektę, którego nie chciały podać dalej. Ojciec rozejrzał się dookoła i ignorując matkę, która krótkimi szarpnięciami pociągała go za połę czarnego płaszcza, zawołał:

– To wszystko przez pastorów!

W zborze zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Cisze są niewygodne jak suchy nawóz, który z trudem przechodzi przez betonowe ruszty i nie wiadomo, co z nim zrobić. Wszyscy spojrzeli na ojca, a wszyscy na balustradzie na Hannę i na mnie. Broda zapadała mi się coraz głębiej w kołnierz kurtki, aż poczułam chłód zamka błyskawicznego.

Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, że organista szuka białych klawiszy, by zaintonować Psalm 51, co poderwało całe zgromadzenie, i protest ojca przepadł wśród mieszkańców wsi jak kawałeczek masła wśród żółtek, słychać było tylko cichy szmer plotkarek. Zaraz potem zobaczyłyśmy, jak matka z wciśniętym pod ramię śpiewnikiem wymyka się z ławki. Belle szturchnęła mnie w bok:

– Twój ojciec ma nie po kolei w głowie.

Nie odpowiedziałam, tylko pomyślałam o głupcu z dziecięcej piosenki, który zbudował dom na piaskach, a kiedy spadł deszcz i przyszła powódź, dom się zawalił. Ojciec zbudował swoją myśl na lotnych piaskach. Jak mógł winić za to pastora? A może to była właśnie nasza wina? Może to była jedna z plag, a tutaj plagi nie są zjawiskiem przyrody, tylko przestrogą.

Matka zaczyna cichutko nucić: „Wyżej niż błękitne niebo, wyżej niźli złoto gwiazd, mieszka ojciec na niebiesiech, który kocha każde z was: Matthiesa, Obbego, Budrysówkę i Hannę". Ja nie śpiewam, tylko obserwuję wiadro pod biurkiem. Według matki ropuchy to paskudne, niesympatyczne zwierzęta. Czasem wygarnia je zza zzuwadła zmiotką na

szufelkę i wynosi na kupę obornika jak obierki. A z ropuchami nie jest dobrze. Są przygaszone, skóra wysycha im coraz bardziej i długo siedzą z zamkniętymi oczami – może się modlą i nie wiedzą, jak skończyć; ja mam podobnie, gdy z kimś rozmawiam. Zaczynam wtedy szurać nogami i patrzeć przed siebie tak długo, aż ktoś powie:

– No to cześć.

Mam nadzieję, że nie nadejdzie taki moment, że będę musiała powiedzieć do ropuch „cześć", ale jeśli prędko nie zaczną jeść, to tak właśnie będzie.

Matka skończyła śpiewać i sięga do kieszeni różowego szlafroka, skąd wyciąga zawiniątko w srebrnej folii.

– Przepraszam – mówi.

– Za co?

– Za planety. I za dzisiejszy wieczór. To przez krowy. I strach.

– Nie szkodzi.

Biorę zawiniątko. To bułka z serem i kminkiem.

Ser ogrzał się w kieszeni. Matka przygląda się, jak biorę gryza.

– Tylko że ty jesteś taka inna, z tą twoją dziwną kurtką.

Wiem, że mówi tak tylko dlatego, że sąsiadka Lien znów poruszyła ten temat, kiedy przyszła wybadać, co tam z krowami, a więc i z nami. Nawet weterynarz zagadnął matkę o moją kurtkę. Kiedy chwilę później wróciła po karmieniu cieląt, stanęła na drabince, którą rozłożyła pośrodku kuchni. Zazwyczaj używała jej wyłącznie do omiatania pajęczyn, a przy każdej pajęczynie z pająkiem mówiła:

– Znów czarna wdowa w domu.

To jedyny żart, jakim matka dysponuje, ale pielęgnujemy go jak owada złapanego do słoiczka po dżemie. Tym razem stanęła na drabince nie po to, żeby omieść pajęczyny, lecz by wyciągnąć mnie z sieci, którą sama utkała.

– Jeśli natychmiast nie ściągniesz tej kurtki, skoczę.

Stała tam, wysoko nade mną, w czarnej długiej sukience, z dłońmi złożonymi na piersiach, ustami czerwonymi od wiśni – to jedne z niewielu rzeczy, które jeszcze je; przypominała rozpłaszczone pajęcze zwłoki na bielusieńkiej jak kreda tapecie. Oceniłam skok. Czy śmierć się tym

zadowoli? Pastor uważa, że diabeł boi się naszej wsi, bo jesteśmy silniejsi od zła. Ale czy naprawdę tak jest? Czy jesteśmy silniejsi od zła?

Wcisnęłam pięść w brzuch, by zdusić piekielne ukłucia, które znów się odezwały, odruchowo ścisnęłam pośladki, jakbym chciała powstrzymać wiatry. To nie były wiatry, tylko cały sztorm. Sztorm, który coraz częściej szalał we mnie. Miał też imię, jak orkany w telewizji, nazwałam go Duch Święty. Duch Święty rozszalał się we mnie, materiał kurtki przylepił mi się do pach. Bez mojej warstwy ochronnej na pewno się rozchoruję. Patrzyłam na matkę w odrętwieniu, na jej wyciągnięte z lamusa pantofle, na stopnie, na których widoczne były ślady farby.

– Liczę do dziesięciu. Raz, dwa, trzy, cztery…

Jej głos coraz bardziej się oddalał, kuchnia się rozmywała i chociaż starałam się sięgnąć do zamka błyskawicznego, nie dawałam rady. Potem usłyszałam głuchy łomot, gruchot kości na podłodze, trzask i krzyk. Kuchnia nagle wypełniła się ludźmi w wielu różnych kurtkach. Poczułam dłonie weterynarza na ramionach, jakby to były dwa cielęce łby, jego spokojny głos prowadził mnie. Powoli wyostrzał mi się wzrok i przybliżał się obraz matki na taczce, na której wywieźliśmy fasolkę na kompost; Obbe wiózł matkę do lekarza rodzinnego we wsi. W powietrze wzlatywały wrony, widziałam je przez łzy, jakby to były plamki tuszu do rzęs. Ojciec ani myślał zawieźć ją volkswagenem.

– Nadgniłych mandarynek nie odwozi się do warzywniaka – powiedział.

Czyli że to była jej wina. Niebawem, pomyślałam, będziemy musieli ją wywieźć na zawsze. Przez resztę wieczoru ojciec nie powiedział już żadnego głupiego słowa. Tylko siedział przed telewizorem: nogi wyciągnięte, jałowcówka w dłoni, papieros. W kombinezonie miał coraz więcej dziur od papierosów, bo z braku popielniczki kładł je na kolanie, tak jakby było mu duszno i potrzebował więcej wywietrzników.

Weterynarz, który od podania wiadomości o pryszczycy jest stale z nami, wziął mnie i Hannę na przejażdżkę po wsi. Siedzenie w samochodzie to najlepszy sposób na siedzenie cicho: wszystko wokół się przesuwa, zmienia i można być tego świadkiem, samemu nie ruszając się z miejsca. Pojechaliśmy na pola rzepaku. Usiedliśmy na masce i przypatrywaliśmy się z daleka, jak kombajn kosi rośliny. Czarne nasiona lądowały w dużym kontenerze. Weterynarz opowiadał, że robi się z nich

olej do lamp, karmę dla zwierząt, biopaliwa i margarynę. Przeleciał nad nami klucz gęsi. Wybierały się na tamtą stronę. Przez chwilę oczekiwałam, że spadną z nieba jak kawałki manny i wylądują u naszych stóp z przetrąconymi karkami, ale leciały dalej i dalej, aż zniknęły mi z oczu. Spojrzałam na Hannę, ale była bardzo zajęta rozmową o szkole. Zdjęła buty i siedziała na masce w skarpetach w paski. Najchętniej też ściągnęłabym moje zielone gumowce, ale nie miałam odwagi. Choroba może nadejść z każdej strony, jak włamywacze, chociaż ojciec i matka nie doceniają ich przebiegłości; gdy wychodzą z domu, zamykają na klucz tylko drzwi frontowe, sądząc, że przez tylne drzwi mogą wejść jedynie znajomi.

Ani słowem nie wspomnieliśmy o tym, co się wydarzyło w domu. Brakowało słów, które skróciłyby strach o głowę, tak jak noże kombajnu obcinają rzepakowi główki, by zachować tylko to, co użyteczne. Milczeliśmy przy zachodzącym słońcu, a w drodze powrotnej dostałyśmy w smażalni po porcji frytek; zjadłyśmy je w samochodzie i szyby zaszły wilgocią, moje oczy też, bo po raz pierwszy nie czułam się sama: frytki łączą ludzi bardziej niż jakakolwiek potrawa.

Godzinę później, z tłustymi palcami, leżałyśmy już w łóżkach, pachniałyśmy majonezem i wieczorem, który mimo wszystko był pełen nadziei. Po frytkach nie mam już wcale apetytu na bułkę, ale nie chcę znów rozczarować matki, więc biorę gryza. Nadal widzę ją na taczce ze skaleczoną nogą dyndającą nad rantem. I Obbego, który nagle wydał mi się taki kruchy, że chciałabym go pocieszyć, jego długie i niezgrabne ciało wyglądało na jeszcze dłuższe i jeszcze bardziej niezgrabne. Ale nie wiedziałam, jak go pocieszyć. U Rzymian 12 napisano: „Ci, którzy zostali obdarzeni darem posługiwania, niech posługują innym, a ci, co posiadają dar nauczania, niech korzystają zeń nauczając. Podobnie też niech umacnia innych ten, kto z łaski Bożej potrafi podnosić innych na duchu. Ten, kto dzieli się z innymi tym, co posiada, niech czyni to szczerym sercem, a temu, kto wydaje rozkazy, niech towarzyszy przy tym troska o dobro podwładnych; ten, kto okazuje innym miłosierdzie, niech czyni to radośnie”. Nie wiem, co jest moim darem, być może milczenie i słuchanie. Więc robiłam to. Spytałam go tylko, co porabiają jego Simsy. Czy już całują się z języczkiem.

– Nie teraz – rzucił i zamknął się w swoim pokoju na klucz.

Przeboje z nowej składanki *Hitzone* dobiegały z jego pokoju tak donośnie, że mogłam mamrotać słowa tekstów. Nikt nie reagował.

Matka robi się coraz bardziej wiotka, jak fasolka wyjęta z zamrażarki. Upuszcza coś na podłogę i mówi, że to nasza wina. Dziś pięć razy odmawiałam *Ojcze nasz*. Ostatnie dwa razy miałam oczy otwarte, żeby wszystko mieć pod kontrolą. Mam nadzieję, że Jezus to zrozumie, krowy też śpią z otwartymi oczami, żeby nikt ich znienacka nie napadł. Nic nie poradzę, że coraz bardziej boję się tego, co może mnie niespodziewanie zaatakować o zmierzchu: od komara po Boga.

Matka wpatruje się pustym wzrokiem w moją świecącą pościel. Nie udaje mi się przełknąć kęsa. Nie chcę, żeby była smutna z mojego powodu. Żeby raz jeszcze wyciągnęła drabinkę, bo w ten sposób łatwo dostanie się także do sznura, na silos. Wystarczy wtedy, że nogą odepchnie drabinkę. Obbe mówi, że potem to już idzie szybko, tylko temu, kto się wiesza, czas się dłuży, bo kontempluje wiele rzeczy, a kontemplacja w czasie nabożeństwa w zborze też trwa co najmniej dwie miętówki. A skoro teraz lęk wysokości jej nie powstrzymał, to nie powstrzyma również na silosie.

Z pełnymi ustami mówię:

– Tutaj jest tak ciemno.

W oczach matki błyska nadzieja. Na myśl przychodzi mi pamiętnik szkolny Belle. Matka przekreśliła w nim moją odpowiedź na pytanie: „Kim chciałabyś zostać?" i napisała obok: „Dobrym chrześcijaninem". Przez to przy pytaniu: „Ile masz centymetrów wzrostu?" nikt nie zauważył, jak bardzo w ostatnim czasie szurnęłam do góry. Zastanawiam się, czy jestem dobrym chrześcijaninem. Może będę, jeśli dam matce to, co ją rozweseli.

– Ciemno gdzie? – pyta.

– No wszędzie – odpowiadam i przełykam kęs.

Matka pstryka kulę ziemską na stoliku nocnym i udaje, że wykrada się z pokoju, ostrożnie, ze skaleczoną nogą, przewiązana paskiem od szlafroka. Bawiliśmy się w to, kiedy żył jeszcze Matthies, i nigdy nie miałam dość.

– Wielki Misiu, Wielki Misiu! Nie mogę zasnąć, boję się.

Przez palce podglądam, jak podchodzi do okna, rozsuwa zasłony i mówi:

– Spójrz, ściągnęłam dla ciebie księżyc. Księżyc i wszystkie skrzące się gwiazdy. Czego jeszcze może chcieć miś?

Miłości, myślę sobie, tak jak ciepła w oborze, gdzie wszystkie te oddychające krowy holenderki mają jeden wspólny cel: przeżyć. Ciepłego boku, na którym mogłabym położyć głowę, jak podczas dojenia. Krowy to oczywiście ojciec i matka. Nie mogą ci dać więcej miłości, wysuwają tylko od czasu do czasu swój szorstki język, kiedy podajesz im kawałek buraka pastewnego.

– Już nic, jestem zadowolonym misiem.

Czekam tak długo, aż ucichnie skrzypienie na schodach i zasuwam zasłony, staram się myśleć o moim wybawcy, żeby zniknął ucisk wokół żołądka i ustąpił tęsknocie, tęsknocie, którą tylko ptaki potrafią dobrze wyrazić. Orientuję się, że przy każdym ruchu moje łóżko skrzypi i że ojciec i matka od razu się orientują, co wyprawiam w nocy. Podnoszę się i staję na materacu, zakładam na szyję sznur z belki. Jest za luźny. Nie mogę przesunąć węzła, zbyt długo jest już zawiązany, więc zakładam sznur na szyję jak szal, szorstkie włoski drażnią skórę, wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym się powoli dusiła, gdybym była huśtawką i wiedziała, jakich ruchów się ode mnie oczekuje, gdybym czuła, jak życie powoli się ze mnie wyślizguje, tak jak to stale trochę czuję, kiedy znów leżę na sofie z gołymi pośladkami, stając się mydelniczką.

# 17

– To inauguracja – mówię do Hanny, która siedzi ze skrzyżowanymi nogami na moim nowym materacu.

Na piżamie ma głowę Barbie z jasnymi włosami i czerwonymi ustami. Twarz lalki jest w połowie starta, tak jak u lalek Barbie, którym Hanna zeskrobała w łazience uśmiechy namydloną gąbką do naczyń. Nie chciałyśmy, żeby matka pomyślała, że jest nam do śmiechu, z pewnością nie teraz, kiedy krowy zachorowały.

– Co znaczy „inauguracja"? – pyta Hanna.

Włosy ma upięte w koczek. Ja nie lubię koczków, naciągają skórę, a poza tym wtedy często wyzywają nas od „czarnych pończoch", bo fryzury kobiet w kościele przypominają kłębki zwiniętych skarpet.

– To taki rytuał, chodzi o to, żeby coś lub kogoś powitać, moje łóżko jest nowe i to będzie jego pierwsza noc.

– Okej – odpowiada Hanna. – To co mam robić?

– Zacznijmy od powitania.

Zakładam kosmyk włosów za ucho, a potem głośno i wyraźnie mówię:

– Witaj, łóżko.

Kładę dłoń na prześcieradle.

– Witaj, łóżko – powtarza siostra i też kładzie dłoń płasko na materacu; gładzi prześcieradło.

– A teraz rytuał.

Kładę się na brzuchu, z głową trochę pod poduszką, ale tak, żeby widzieć Hannę, i mówię jej, że ona jest ojcem, a ja matką.

– W porządku – mówi Hanna i kładzie się na brzuchu obok mnie.

Naciągam poduszkę mocniej na głowę, nos wciskam w materac. Jeszcze pachnie sklepem meblowym, nowym życiem. Hanna robi to, co ja. Trochę tak leżymy, jak zestrzelone wrony, w milczeniu, w końcu wyciągam głowę spod poduszki i patrzę na Hannę, jej poduszka delikatnie unosi się i opada.

Materac jest statkiem, naszym statkiem. „Wiemy bowiem, że jeśli ten namiot, który jest naszym ziemskim mieszkaniem, się rozpadnie, mamy budowlę od Boga, dom w niebie, nie rękoma zbudowany, wieczny". Przypominam sobie słowa do Koryntian, potem całą uwagę skupiam na Hannie i szepczę do niej:

– Od dziś będzie to nasza baza, miejsce, gdzie jesteśmy bezpieczne. Powtarzaj za mną: „Kochane łóżko, my, Budrysówka i Hanna, tatuś i mamusia, inaugurujemy cię i wprowadzamy w mroczny świat Planu. Wszystko, co tu zostanie powiedziane i wytęsknione, tutaj pozostanie. Od dziś jesteś nasze".

Hanna powtarza moje słowa, ale przypomina to raczej mamrotanie, bo twarz nadal ma schowaną pod poduszką. Po głosie poznaję, że się nudzi, za chwilę będzie miała dość i zechce pobawić się w coś innego. Choć to nie jest zabawa, tylko sprawa śmiertelnie poważna.

Żeby zrozumiała powagę sytuacji, kładę rękę na poduszce, w miejscu gdzie trzyma głowę, chwytam oba końce i mocno cisnę w dół. Natychmiast zaczyna się wić, więc muszę przyłożyć większą siłę, jej ręce młócą naokoło, łapie mnie za kurtkę. Jestem od niej silniejsza, nie udaje jej się wydostać spod poduszki.

– To jest inauguracja – powtarzam. – Ten, kto tutaj zamieszka, musi czuć, jak to jest się dusić, tak jak Matthies, jak to jest, kiedy prawie umierasz, tylko wtedy możemy zostać przyjaciółmi.

Zabieram poduszkę, a Hanna zaczyna szlochać. Twarz ma czerwoną jak burak. Łapczywie chwyta powietrze.

– Idiotko – mówi – prawie się udusiłam.

– Tak trzeba. Teraz wiesz, jak się czuję każdej nocy. I łóżko już wie, co może się stać – odpowiadam.

Podpełzam do płaczącej Hanny i scałowuję łzy z jej policzków, słony strach.

– No nie płacz, mężusiu.

– Przestraszyłaś mnie, żonko – szepcze Hanna.

– Im dalej w las, tym więcej wilków.

Powoli zaczynam się ocierać o siostrę, tak jak o mojego misia, i szepczę:

– Jeśli okażemy odwagę, nasz żywot na tej ziemi będzie długi, tak jak przedłużamy termin wypożyczenia książek z biblioteki, żeby się w nich zatracić, nie ryzykując kary.

– Jesteśmy poszarpanymi książkami, bez okładek, z zewnątrz nie widać, co jest w środku – mówi Hanna i chichoczemy na samą myśl.

Robi mi się ciepło od tego ocierania się o Hannę, kurtka klei się do skóry, przestaję dopiero wtedy, kiedy widzę, że zaczyna zapadać w sen. Nie mamy teraz czasu na sen. Siadam na łóżku.

– Ja wybieram weterynarza – mówię ni stąd, ni zowąd, starając się przybrać zdecydowany ton.

Przez moment jest cicho.

– Jest miły i mieszka po tamtej stronie, i wysłuchał wiele różnych serc, na pewno tysiące – dodaję.

Hanna kiwa głową, głowa Barbie na jej piżamie też się kiwa.

– Boudewijn de Groot to za wysokie progi dla takich dziewczyn jak my – mówi.

Nie wiem, co ma na myśli, mówiąc: „dziewczyny takie jak my". Co sprawia, że jesteśmy, jakie jesteśmy? Dlaczego ludzie mogą po nas poznać, że jesteśmy od Mulderów? Sądzę, że istnieje wiele takich dziewczyn jak my, tylko jeszcze ich nie spotkałyśmy. Ojcowie i matki też się przecież kiedyś spotykają po raz pierwszy. A ponieważ każdy ma w sobie rodzica, więc się w końcu pobierają.

To, jak nasi rodzice się odnaleźli, pozostaje tajemnicą. Ojciec przecież nie potrafi szukać. Kiedy coś zgubi, to zazwyczaj ma to w kieszeni, a kiedy idzie po zakupy, zawsze wraca z czymś innym, niż miał na liście: matka to pomylone opakowanie jogurtu, którym ojciec się zadowolił, a matka też zadowoliła się nim. Nigdy nic nam nie powiedzieli o swoim pierwszym spotkaniu, matka uważa, że nigdy nie ma na to właściwego momentu. Właściwe momenty to u nas rzadkość, a kiedy się pojawiają, i tak zauważamy je już po fakcie. Podejrzewam, że poszło dokładnie tak jak u krów, że dziadek z babcią otworzyli drzwi do pokoju matki i wpuścili tam ojca, tak jak wpuszcza się byka do krów. Potem zamknęli drzwi i proszę bardzo: pojawiliśmy się my. Od tamtego dnia ojciec nazywa matkę „żoną", a matka ojca „mężem". A kiedy są dobre dni, mówią do siebie „słoneczko"

i „skarbeńku”. To mnie dziwi, jakby się bali, że zapomną o swojej płci albo o tym, że do siebie należą.

Nakłamałam Belle o tym, jak się spotkali. Powiedziałam, że wpadli na siebie przy stoisku z huzarskimi sałatkami jarzynowymi w Dirku. Oboje zdecydowali się na sałatkę z wołowiną, a kiedy szperali między opakowaniami, ich dłonie się zetknęły. Pani w szkole mówi, że miłość nie potrzebuje kontaktu wzrokowego, że wystarczy dotyk. Zastanawiam się, jak nazwać to, kiedy nie ma żadnego kontaktu: ani wzrokowego, ani dotykowego.

Mimo wszystko przytakuję Hannie, ale myślę sobie, że gdzieś muszą być jeszcze dziewczyny takie jak my. Być może nie pachną nieustannie krowami, złością ojca i jego papierosami, ale przecież coś można z tym zrobić.

Na krótko przykładam dłoń do szyi. Czuję odcisk sznura na skórze, a kiedy myślę o dzisiejszym dniu, o chwiejącej się drabince i głuchym łomocie, to jakby sznur był trochę bardziej zaciągnięty; podwójny węzeł pod krtanią. Nagle wszystko wydaje się zatrzymywać pod szyją, tak jak na kołdrze zatrzymują się światła reflektorów ciągnika, którym jeździ ojciec. Słychać, że rozrzuca krowi gnój na polu. Musi to robić po kryjomu, bo nikomu nie wolno rozrzucać gnoju, trzeba ograniczyć groźbę infekcji. Tylko że nie wiemy, co z tym robić: deski, po których taczką dowozi się nawóz na pryzmę, toną w gnojowicy, nic się już nie zmieści. Ojciec powiedział, że w nocy i tak pies z kulawą nogą nie zauważy, co on rozrzuca na łące. Dziś jeszcze przyjechał ktoś w białym kombinezonie z firmy utylizacyjnej i porozkładał w gospodarstwie dziesiątki pułapek na szczury z niebieską trutką, aby nie rozniosły pryszczycy. Hanna i ja musimy być czujne, ojciec nie może nam nagle umrzeć. Wiązka światła raz za razem wędruje po łóżku od stóp aż do mojej szyi.

– Kraksa na traktorze czy upadek do gnojówki?

Hanna przysuwa się do mnie pod kołdrą. Jej ciemne włosy pachną sianokiszonką. Przez chwilę zaciągam się tym zapachem i myślę o tym, ile razy przeklinałam krowy, a teraz, kiedy niebawem zostaną zlikwidowane, najbardziej na świecie chciałabym, żeby zostały z nami; i o tym, że nigdy w gospodarstwie nie było tak cicho, że niedługo będziemy mogli sobie

tylko przypominać te dźwięki, że tylko jeszcze wrony z rynny będą na nas patrzeć.

– Jesteś zimna jak zamrożony chleb – odzywa się Hanna.

Układa głowę w zagłębieniu pod moją pachą. Nie przyjęła zaproszenia do zabawy. Może boi się, że kiedy coś powie, to naprawdę się stanie, że jeśli w teleturnieju *Lingo* potrafiłyśmy przewidzieć, kto złapie zieloną piłkę, tak samo możemy przewidzieć śmierć.

– Lepszy zamrożony chleb niż rozmrożona fasolka – odpowiadam i chichoczemy pod zaciągniętą na głowy kołdrą, żeby nie zbudzić matki.

Potem przesuwam rękę na kark Hanny. Jest ciepły. Czuję przez skórę kręgi.

– Masz już prawie idealną wagę, żonko.

– A do czego, mężusiu?

– Do wybawienia.

Hanna odsuwa moją rękę.

– Do wybawienia nie potrzeba idealnej wagi, właśnie brak perfekcjonizmu czyni nas kruchymi i dlatego trzeba nas wybawić.

– To my jesteśmy kruche?

– Jak źdźbła trawy – odpowiada Hanna.

Nagle dociera do mnie, że wszystko, co się w ostatnim czasie wydarzyło, zaczyna do siebie pasować, wszystkie te momenty, kiedy byłyśmy kruche, więc mówię:

– To kolejna plaga z Księgi Wyjścia, nie może być inaczej. Tylko że u nas pojawiają się w innej kolejności. Rozumiesz?

– Co masz na myśli?

– Rozbiłaś sobie nos i woda zamieniła się w krew, była już wędrówka ropuch, wszy w szkole, śmierć pierworodnego, gzy przy gnojówce, konik polny zgnieciony kaloszem Obbego, u mnie pęcherze na języku od sadzonego jajka, grad.

– Więc myślisz, że dlatego przyszła teraz zaraza na bydło? – pyta Hanna z przerażeniem w oczach.

Położyła rękę na sercu, dokładnie tam, gdzie Barbie ma uszy, jakby lalka nie mogła usłyszeć, o czym tutaj mówimy. Powoli kiwam głową. Czeka nas

tylko jeszcze jedna plaga, myślę sobie, ale za to najgorsza: ciemność, całkowity mrok, dzień zakryty na wieki niedzielnym płaszczem ojca. Nie wypowiadam tego na głos, ale obie wiemy, że w tym domu są dwie osoby, które ciągle marzą o tamtej stronie, które chcą się przeprawić przez jezioro i tam złożyć ofiary: począwszy od Fireballs, a skończywszy na martwych zwierzętach.

Słyszymy, że traktor skręcił. Pstrykam kulę ziemską na nocnym stoliku, aby rozproszyć ciemność, która nagle zapadła, kiedy reflektory ciągnika przestały się ślizgać po pokoju. Ojciec skończył rozrzucanie gnoju. Wyobrażam sobie, że stoi w kombinezonie i z pewnej odległości spogląda na gospodarstwo – tylko w dużym pokoju pali się światło, w owalnym oknie, które jest tak oświetlone, jakby podpity księżyc stoczył się kilka metrów w dół. Patrząc na gospodarstwo, widzi trzy pokolenia rolników. Należało do dziadka Muldera, a ten przejął je z kolei po swoim ojcu. Po śmierci dziadka wiele jego krów nadal żyło. Ojciec opowiadał, że jedna z krów dziadka także miała pryszczycę i że zwierzę nie chciało pić.

– Wtedy kupił beczułkę śledzi i wrzucił je chorej krowie do pyska. Ta dostała nie tylko trochę białka, ale też dopadło ją tak wielkie pragnienie, że mimo pęcherzy na języku znów zaczęła pić.

Dla mnie to ładna opowieść. Teraz pęcherzy nie zwalczy się śledziami, krowy dziadka także zostaną wybite. Cała egzystencja ojca zostanie mu za jednym zamachem zabrana. Tak pewnie się teraz czuje: śmierć Tiesjego razy liczba krów, razy sto osiemdziesiąt. Ojciec zna każdą krowę, każdego cielaka.

Hanna odsuwa się ode mnie, jej lepka skóra powoli odkleja się od mojej, zostawiając tłusty wazelinowy ślad, zupełnie jakby była jedną z moich gwiazd na suficie, które czasem spadają i dla których nie mogę już wymyślać życzeń, bo wszechświat nie jest studnią życzeń, tylko zbiorową mogiłą: każda gwiazda to zmarłe dziecko, najpiękniejsza to Matthies – tego nauczyła nas matka. Dlatego bałam się czasem, że Matthies pewnego dnia spadnie i wyląduje w cudzym ogródku i że tego nie zauważymy: bywa, że na niebie jest mniej gwiazd, ale nie trzeba się tym martwić.

– Musimy się dostać do bezpiecznej strefy – mówi Hanna.

– Dokładnie.

– Tylko kiedy w końcu przeprawimy się na tamtą stronę?

Siostra jest zniecierpliwiona. Nie umie czekać. Jak czegoś chce, to musi być już. Ja jestem rozważniejsza, dlatego wiele mnie omija. Rzeczy też bywają zniecierpliwione.

– Mówisz tak ładnie, ale niewiele z tego wynika.

Obiecuję Hannie poprawę i mówię:

– Kiedy zgryzoty jak myszy przegonię z mojej głowy, to miłość znów będzie harcować.

– Czy to także plaga? Myszy?

– Nie, to ochrona przed tym, jak kot wróci.

– Co to jest miłość?

Przez chwilę się zastanawiam i mówię:

– Coś jak adwokat babci z klerykalnej gałęzi rodziny, który był gęsty i złocistożółty, żeby dobrze smakował, koniecznie należało wszystkie składniki dodawać w odpowiedniej kolejności i odpowiednich proporcjach.

– Adwokat jest wstrętny – mówi Hanna.

– Bo musisz się jeszcze nauczyć go lubić. Miłości też nie lubi się od razu, ale z czasem coraz lepiej smakuje, jest słodsza.

Hanna obejmuje mnie przez chwilę, trzyma w objęciach, jak czasem swoje lalki. Ojciec i matka nigdy się nie przytulają, pewnie dlatego, że wtedy jakaś część twoich tajemnic przykleja się do drugiej osoby i lepi się jak wazelina. Dlatego sama z siebie też nikogo nie obejmuję: nie wiem, jaką tajemnicą chciałabym się podzielić.

# 18

Drewniaki ojca stoją obok wycieraczki, na twardych noskach mają niebieskie plastikowe ochraniacze, aby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się zarazy. Ja też chciałabym naciągnąć na twarz taki ochraniacz, żeby każdy mój oddech pozostał mój. W tych drewniakach idę opróżnić koszyczek z obierkami na kupę gnoju, wywalam je na białawy od rosy krowi gnój i nagle uświadamiam sobie, że być może jest to ostatnia kupa krowiego gnoju, jaką widzę. Zniknie na długo, tak jak dźwięk porannego muczenia, odgłos cysterny z mlekiem, kiedy uruchamia chłodzenie, dźwignika śrubowego do paszy i gruchania gołębi, które zlatują się do ziaren kukurydzy i robią gniazda w stalowej kalenicy; wszystko to zacznie blednąć, aż w końcu będziemy to sobie przypominać na urodziny albo w czasie bezsennych nocy, wszystko opustoszeje: obory, serowarnia, silosy na paszę, nasze serca.

Mleczny ślad pośrodku podwórza prowadzi od cysterny do studzienki: ojciec odkręcił kran. Nie wolno nam już sprzedawać mleka, ale on nadal doi krowy, tak jakby nic się nie stało, ustawia je między prętami na stanowiskach, zakłada na strzyki kubki udojowe, potem bierze jakieś moje stare majtki, moczy je w krowiej maści i natłuszcza wymiona. Często mnie zawstydzało, kiedy ojciec, zupełnie się nie krępując, kładł moje znoszone figi obok strzyków albo przy gumach strzykowych – a w nocy myślałam czasem, że krok z moich majtek przechodził z jednych obcych rąk do drugich, od Obbego aż do gospodarza Janssena, i że w jakiś sposób i mnie dotykali swoimi pobrużdżonymi, zrogowaciałymi dłońmi. Zdarzało się, że majtki wpadły między krowy, które deptały je wtedy na betonowych rusztach. Ojciec mówił na nie „strzykowe ścierki", w ogóle nie zauważał, że to były majtki. Co sobotę matka je prała i rozwieszała do wysuszenia.

W koszyku został ogryzek, wygrzebuję go paznokciem i kątem oka widzę weterynarza, jak kuca przy jednym z igloo dla cieląt. Zanurza strzykawkę w pojemniku z antybiotykami, po czym wbija igłę w kark cielaka. Cielak ma biegunkę, musztardowożółte gówno obryzgało mu boki,

nogi drżą jak paliki ogrodzenia na wietrze. Nawet teraz, przy niedzieli, jest u nas weterynarz, chociaż kiedy leżeliśmy na dywaniku w łazience z gołymi tyłkami i termometrami w odbytach, wszystko odkładano do poniedziałku. Wtedy matka śpiewała nam piosenkę „Zawsze jest Kortjakje chora, bo w tygodniu na to pora, tylko nie w niedzielę, w niedzielę nie". A ja myślałam: Kortjakje stchórzyła, nie idzie do szkoły, ale za to idzie do kościoła, wygodnicka. Dopiero kiedy poszłam do gimnazjum, zrozumiałam, że Kortjakje bała się wszystkiego, czego nie znała. Czy jej dokuczano? Czy tak jak mnie bolał ją brzuch już na sam widok szkolnego dziedzińca lub kiedy ogłaszano klasowe wycieczki, na które zabiorą się także wszystkie zarazki? Czy ona też przełamywała miętówki na brzegu stołu, żeby powstrzymać mdłości? Właściwie to Kortjakje była nieszczęśliwą dziewczynką.

Niebieskie ochraniacze trzeszczą przy każdym kroku. Tato powiedział kiedyś:

– Śmierć zawsze przychodzi w drewniakach.

Wtedy tego nie rozumiałam. Dlaczego nie na łyżwach czy w tenisówkach? Teraz rozumiem: śmierć się na ogół zapowiada, tylko my nie chcemy jej widzieć ani słyszeć. Wiedzieliśmy, że lód w wielu miejscach jeszcze był słaby, wiemy, że pryszczyca nie ominie naszej wsi.

Uciekam do szopy z królikami, gdzie jestem zabezpieczona przed wszystkimi chorobami, i wsuwam wiotką nać marchwi przez siatkę. Przez chwilę myślę o kręgach szyjnych królika. Czy trzeszczałyby, gdyby skręcić mu kark. To przerażająca myśl, że w dużej mierze w naszych dłoniach nosimy czyjąś śmierć, nawet w tak małych jak moje – kielnie murarskie też mogą zarówno budować, jak i przycinać ostrą krawędzią. Odsuwam żłóbek, kładę dłoń na sierści i przygładzam uszy Dieuwertje, ich brzegi są twarde od tkwiącej tam chrząstki. Zamykam na moment oczy i myślę o spikerce z kręconymi włosami z „Wiadomości Świętego Mikołaja". O jej zatroskanym spojrzeniu, kiedy Piotrusie, pomagierzy Świętego Mikołaja, znowu giną bez śladu i wszyscy budzą się z pustymi butami przy kominku, a pomarańczowe marchewki dla jego rumaka leżą przywiędłe od gorąca, z pomarszczonymi skórkami. Myślę też o bezach i figurkach z piernika na jej biurku i o swoich fantazjach, że jestem taką piernikową figurką i wolno mi być bardzo blisko spikerki, bliżej niż ktokolwiek inny. I jeszcze, że

powie do mnie: „Posłuchaj, Budrysówko, rzeczy robią się duże, a potem na powrót małe, ale człowiek zawsze zachowuje swój wzrost". I wyobrażam sobie, jak mnie uspokaja, bo sama już nie jestem w stanie.

Kiedy znów otwieram oczy, chwytam mojego królika za prawe ucho, jest sztywne i twarde. Potem macam miejsce między tylnymi łapami Dieuwertje. Idzie łatwo, jak dawniej z porcelanowymi aniołkami. W tym momencie do środka wchodzi weterynarz. Szybko cofam rękę, pochylam głowę, aby ustawić żłóbek na swoim miejscu. Kiedy się czerwienisz, twoja głowa robi się cięższa, bo wstyd więcej waży.

– Wszystkie mają gorączkę, niektóre nawet czterdzieści dwa stopnie – mówi weterynarz.

Myje ręce szarym mydłem w beczce z wodą. Po wewnętrznej stronie beczki osadziły się algi. Będę musiała wyczyścić ją szczotką. Zaglądam do środka. Mdli mnie na widok mydlin, a kiedy kładę dłoń na brzuchu i czuję wzdęte jelita, przypominają kiełbaski z kopru włoskiego od rzeźnika, trudne do strawienia.

Weterynarz odkłada kostkę szarego mydła na drewniany stół, między kamienne korytka. Zostały po poprzednich królikach, z których większość umarła ze starości. Ojciec wziął szpadel i pochował je na najodleglejszym pastwisku, w miejscu gdzie nie wolno nam się bawić. Czasem martwię się o leżące tam króliki. Może ich zęby trzonowe jeszcze przez dłuższy czas rosną i jak zaczną wystawać z ziemi, to zahaczy o nie jakaś krowa albo, co gorsza, ojciec. Dlatego daję Dieuwertje dużo liści i rwę dla niego wiadra trawy, żeby miał dużo do gryzienia, żeby jego zęby już nie rosły.

– Dlaczego nie mogą wyzdrowieć? Przecież dzieci po gorączce zdrowieją.

Weterynarz wyciera ręce w stary ręcznik, odwiesza go z powrotem na haczyk na ścianie szopy.

– To jest zbyt zaraźliwe, nie można już sprzedawać ich mięsa ani mleka. Więc jest czysta strata.

Potakuję, chociaż nie rozumiem. Przecież teraz będzie jeszcze większa strata. Wszystkie te parujące ciała, do których jesteśmy tak przywiązani, wkrótce zostaną zabite. To jak z Żydami, tylko że ich nienawidzono, a to gorsza śmierć, niż kiedy z miłości i bezsilności lądujesz w grobie.

Weterynarz odwraca wiadro do góry dnem i siada na nim. Czarne kędziory zwisają mu z głowy jak świąteczne serpentyny. Czuję się niezgrabna, kiedy tak patrzę na niego z góry. I nie wiem, co począć z tymi dodatkowymi centymetrami, które uzupełniane są na bieżąco tylko w szkolnych pamiętnikach. Wcześniej robiliśmy to na futrynie. Ojciec brał wtedy miarkę i ołówek i zaznaczał na drewnie kreseczkę tuż nad czubkiem głowy. Kiedy Matthies nie wrócił, ojciec zamalował futrynę na oliwkowy kolor. Taki sam jak na okiennicach w dużym pokoju, które ostatnio stale są zamknięte: nikt nie może zobaczyć, że rośniemy.

– Przykra sprawa.

Weterynarz wzdycha i obraca swoje dłonie. Na wewnętrznej stronie widać pęcherze. Są jak folia bąbelkowa w kopertach, w których ojciec wysyłał czasem probówki ze spermą byków, często – jeszcze ciepłe – stały na stole podczas śniadania. Zimą przykładałam je do policzka zaraz jak wstałam z łóżka, bo chłód podłogi od palców dochodził do policzków – i w tle słyszałam matkę, jak pluje na szybkę kominka, aby ją potem przetrzeć do czysta papierowym ręczniczkiem. Robiła to, zanim ojciec włożył do kominka podpałkę, którą rozpalał starymi gazetami. Według matki czuć więcej ciepła, kiedy widać, jak płomienie pieklą się wokół drewna.

Matka uważała przykładanie probówki do policzka za obrzydliwość. Mówiła, że z tego, co jest w probówkach, majstruje się cielaki, tak jak babcia też robi nowe świece z parafiny, którą wszyscy we wsi dla niej zbierają. Tylko że ta rzecz była biaława, czasem wodnista, czasem bardzo gęsta. Pewnego razu ukradkiem zabrałam jedną probówkę do pokoju. Hanna nalegała, żebyśmy ją odkręciły, gdy tylko ostygnie i nie będziemy się już mogły nią ogrzewać. Kiedy probówka zrobiła się chłodna jak nasze ciała, kolejno zanurzyłyśmy w niej swoje małe palce, a potem na raz, dwa, trzy wsadziłyśmy je sobie do buzi. To było mdłe i słonawe. Wieczorem fantazjowałyśmy, że wyjdą z nas cielaki, aż w końcu zakwitł nam w głowach plan na wybawcę i poczułyśmy się ważniejsze niż dotąd: same rozpłyniemy się w rękach naszych wybawców jak nasienie w probówkach.

– Wygodnie ci w tej kurtce?

Mija chwila, zanim jestem w stanie odpowiedzieć. Nadal myślę o pęcherzach na dłoniach weterynarza.

– Tak, bardzo wygodnie.

– Nie za gorąco?

– Nie za gorąco.

– Dokuczają ci?

Wzruszam ramionami. Jestem dobra w wymyślaniu odpowiedzi, ale gorsza w ich udzielaniu. Każda odpowiedź wywołuje uwagę. Nie lubię uwag. Są tak uporczywe jak pędzel do nakładania powłoki na sery. Gdy spadnie ci na ubranie, nie można doprać śladu po nim.

Weterynarz się uśmiecha. Dopiero teraz zauważam, że ma najszersze dziurki w nosie, jakie kiedykolwiek widziałam, a to musi oznaczać, że często w nim dłubie. To stwarza między nami więź, o której nie wolno mi zapomnieć. Na szyi ma stetoskop. Wyobrażam sobie przez chwilę, jak by to było, gdyby ten zimny metal dotknął mojej piersi, a weterynarz słuchałby wszystkiego, co się we mnie porusza i zmienia, niespokojnie marszcząc czoło, a swój kciuk i palec wskazujący wsuwałby mi potem między szczęki, żeby mnie karmić jak cielaka. Ogrzewałby mnie pod swoim zielonym roboczym ubraniem.

– Tęsknisz za bratem?

Kładzie mi dłoń na łydce, delikatnie szczypie. Może sprawdza, czy nie jestem chora: po umięśnieniu nóg cieląt można poznać, czy są zdrowe. Delikatnie pociera tam i z powrotem, aż moja skóra pod dżinsami robi się gorąca i ciepło rozchodzi się po całym ciele jak w chłodny zimowy dzień myśl o powrocie do domu i o czekoladowym mleku, myśl, która jednak po powrocie do domu już tak nie rozgrzewa. Patrzę na jego starannie przycięte paznokcie. Na palcu serdecznym widać odcisk obrączki, skóra jest tam jaśniejsza. Ukochani są zawsze widoczni, w sercach lub pod skórą, moja pierś też niemal się rozdwaja, kiedy matka siada na skraju łóżka i pyta mnie porcelanowym głosikiem, czy ją kocham, a ja odpowiadam:

– Od piekła aż do nieba.

Czasem czuję, jak klatka piersiowa mi trzeszczy i boję się, że w końcu na dobre się rozszczepię.

– Tak, brakuje mi go – szepczę.

Po raz pierwszy się zdarzyło, że ktoś zapytał mnie, czy brakuje mi Matthiesa. Żadne głaskanie po główce, żadne szczypanie w policzek, tylko

pytanie. Nie: czym jest ta strata dla ojca i matki, dla krów, ale: czym jest dla mnie. Wpatruję się w swoje buty. Tęsknota jest jak jazda po sianokiszonkę: kładziemy wielkie opony na brezencie opinającym hałdę i codziennie odcinamy tę hałdę, warstwa po warstwie, żeby ją potem odnowić. Każdego roku tak samo.

Przyglądam się weterynarzowi, wygląda na przygnębionego, matka często tak wygląda, jakby cały dzień miała na głowie szklankę wody i musiała zanieść ją na tamtą stronę. Dlatego mówię:

– Ale ze mną wszystko w porządku, ja mogę mówić o szczęściu i chwalić Pana, dopóki na kolanach moich dżinsów nie pojawią się naszywki z bohaterami z kreskówek.

Weterynarz się śmieje.

– A wiesz, że jesteś najpiękniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałem?

Czuję, że policzki robią mi się czerwone jak kółeczka w teście wyboru. Nie wiem, ile dziewczynek widział w swoim życiu, ale schlebia mi to. Ktoś uważa, że jestem ładna. Nawet w mojej spłowiałej kurtce, której brzegi zaczynają się strzępić. Nie wiem, co odpowiedzieć. Pytania w teście wyboru są często naciągaczami, jak mówi nasza pani, bo zawierają w sobie trochę prawdy, trochę kłamstwa. Weterynarz chowa stetoskop pod koszulę. Przed wyjściem na zewnątrz puszcza do mnie oko.

– Dla świętego spokoju – mówi czasem matka, kiedy ojciec tak do niej mruga.

Matka mówi to w złości, bo święty spokój już dawno umarł, a mimo to w piersiach płonie mi coś innego niż w sercu. Serce często płonie jak krzew gorejący.

# 19

Wzrastamy z towarzyszącym nam Słowem, ale w gospodarstwie coraz częściej brakuje słów. Dawno minęła pora na kawę, a my nadal w milczeniu siedzimy w kuchni i kiwamy głowami, potakując w odpowiedzi na niezadane pytania; weterynarz siedzi na miejscu ojca u szczytu stołu naprzeciwko matki. Pije czarną kawę, ja moją ciemną lemoniadę. Jak każdego popołudnia po odpasieniu ojciec wsiadł na rower i pojechał nad jezioro zobaczyć, czy czegoś nie przeoczył; lewa nogawka spięta niebieską klamerką do bielizny, aby podmuch wiatru nie wkręcił jej w szprychy. Ojciec wielu rzeczy nie dostrzega. Częściej patrzy na ziemię lub na niebo niż na to, co znajduje się na wysokości jego oczu. Ja jestem tak duża, że akurat wpasowuję się pomiędzy i aby mnie zobaczył, muszę się robić wyższa lub niższa. W niektóre dni spoglądam za nim z okna w kuchni, dopóki nie stanie się małą czarną kropką na wale, ptakiem, który wypadł ze swojej chmary. W pierwszych tygodniach po śmierci brata spodziewałam się jeszcze, że ojciec przywiezie go na bagażniku przemarzniętego do szpiku kości. Że wszystko jeszcze dobrze się skończy. Teraz wiem, że ojciec zawsze przyjeżdża z pustym bagażnikiem i że Matthies nie wróci, tak samo jak Jezus nie przybędzie na obłoku.

Przy stole jest cicho. I tak coraz mniej się mówi, dlatego większość rozmów odbywa się tylko w mojej głowie. Prowadzę wtedy długie rozmowy z Żydami w piwnicy, pytam ich, jak opisaliby nastrój matki i czy przypadkiem nie widzieli w ostatnim czasie, żeby jadła, i czy myślą, że matka, tak jak moje ropuchy, które nie chcą się parzyć, pewnego dnia padnie martwa. Wyobrażam sobie wówczas nakryty stół pośrodku piwnicy, wśród półek z torebkami mąki, marynatami i ulubionymi orzeszkami matki, tymi w zatłuszczonych puszkach Duyvisa. Tylko całe orzeszki, połówki jej tak nie smakują, zostawia je ojcu, a on ma gdzieś, czy są całe, czy nie. I matka ma wtedy na sobie swoją ulubioną sukienkę, tę w morskim kolorze ze stokrotkami. Pytam Żydów, czy nie mogliby

wyrecytować Pieśni nad Pieśniami, bo matka tak ją lubi, czy nie mogliby się o nią zatroszczyć na dobre i na złe.

Rozmowy o ojcu są inne. Często chodzi o jego posag. Mam wtedy nadzieję, że jego nowa żona częściej nie będzie się z nim zgadzała, że ktoś odważy się mu sprzeciwić, zwątpić w niego, tak jak czasem wątpimy w Boga; nawet najwięksi przyjaciele, tacy od serca, nie mówią jednym głosem, więc ojciec i Bóg też nie. Czasem mam nadzieję, że ktoś się na niego zezłości i powie: „Masz uszy zapchane pastewnymi burakami i słuchasz tylko siebie, a to poluzowane ramię szlabanu musimy zreperować, tam nie powinno być zawiasów". No to byłoby fajne.

Obbe pokazuje mi język. Za każdym razem, kiedy na niego patrzę, wyciąga do mnie język brązowy od bezy z czekoladą i migdałami; do lemoniady każde z nas dostało po kawałku. Ja moją rozkładam na części, żeby zębami zdrapać biały krem. Dopiero kiedy weterynarz mruga do mnie, spostrzegam, że oczy mam pełne łez. Myślę o lekcji przyrody, kiedy mówiliśmy o Neilu Armstrongu, pierwszym człowieku na Księżycu, i o tym, jak musiał się czuć Księżyc, kiedy po raz pierwszy w jego życiu ktoś zadał sobie trud, by się do niego zbliżyć. Może weterynarz jest astronautą i w końcu ktoś zada sobie trud, aby zobaczyć, ile jest jeszcze we mnie życia. Liczę na dobrą rozmowę. Nie wiem tylko, na czym miałaby polegać, tak czy owak będzie musiała zawierać słowo „dobry", to chyba oczywiste. Nie wolno mi zapomnieć, by przeciągle patrzeć mu w oczy, bo kto dużo się rozgląda na boki, ma coś do ukrycia, a tajemnice zawsze przechowywane są w głowie na takiej półce jak w zamrażalniku i jak mrożone paczki mielonego mięsa, kiedy się je wyjmie i nic z nimi nie zrobi, psują się.

– Wszystkie zwierzęta trzeba wybić, żeby tylko nie było gorzej – odzywa się weterynarz, by przerwać ciszę.

Matka zaciska dłonie w pięści. Leżą na blacie jak zwinięte w kłębek jeże. Hannie powiedziałam, że teraz zapadły w sen zimowy i że już niebawem będą przemierzać kontury naszych policzków, tak jak wtedy, kiedy matka palcem wskazującym zeskrobywała nam zaschnięte mleko z kącików ust. Nagle otwierają się drzwi i z przedpokoju do kuchni wchodzi ojciec, rozsuwa zamek swojego marynarskiego kołnierza i rzuca na blat worek

zamarzniętego chleba. Staje przy stole i wielkimi gryzami zjada swoją bezę z czekoladą.

– Przyjdą jutro w porze podwieczorku – odzywa się weterynarz.

Ojciec uderza pięścią w stół. Z bezy matki odskakuje kawałek, matka go osłania, kładąc na nim rękę: gdybym była okruchem bezy, pasowałabym dokładnie do miseczki jej dłoni.

– Czym sobie na to zasłużyliśmy? – pyta matka.

Odsuwa krzesło i podchodzi do zlewu. Ojciec chwyta palcami za przegrodę nosa, jakby zakładał sobie klips z woreczka na chleb, żeby płacz go nie odwodnił.

– Na górę, do siebie – mówi tylko. – Natychmiast.

Obbe daje znak, że mamy iść na strych. Idziemy do jego pokoju, zasłony są jeszcze zaciągnięte. Pani w szkole powiedziała dzisiaj pod koniec lekcji przyrody, że kiedy się oddycha przez nos, wszystko filtrują znajdujące się tam włoski. Jeśli oddychasz przez usta, to wszystko od razu w ciebie wchodzi, a choroby nie natrafiają na żadną barierę. Belle od razu zaczęła głośno oddychać przez usta, czym wywołała wesołość. Spojrzałam na nią z przerażeniem: jeśli Belle zachoruje, to będzie koniec naszej przyjaźni. Teraz oddycham tylko przez nos, usta mam zaciśnięte, otwieram je tylko wtedy, gdy mam coś powiedzieć, ale i to zdarza się coraz rzadziej.

– Hanna, musisz opuścić spodnie.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo jest ku temu żywotny interes.

– Ojciec potrzebuje więcej majtek w oborze?

Myślę o moich. Może matka natknęła się na nie pod łóżkiem i zobaczyła, że są sztywne i żółte od zaschniętych sików? Obbe unosi brwi, jakbym to ja stawiała tutaj dziwne pytania. Potem kręci głową.

– Pokażę wam coś fajnego.

– Tylko nie znowu coś ze śmiercią – mówi Hanna.

– Nie, nic ze śmiercią. To zabawa.

Hanna ochoczo kiwa głową. Lubi zabawy. Często sama gra w Monopoly na podłodze w dużym pokoju.

– No to musisz ściągnąć majtki i położyć się na łóżku.

Zanim zdążę spytać, o co chodzi, Hanna już ma spodnie i majtki na kostkach. Patrzę na szparkę między jej nogami. Nie przypomina bułeczki z budyniem, o której mówił Obbe. Raczej nagiego ślimaka, którego Obbe kiedyś za zzuwadłem rozciął scyzorykiem i z którego wyszedł śluz. Siadam obok Hanny na łóżku.

– Teraz zamknij oczy i rozsuń nogi.

– Podglądasz – mówię.

– Nie podglądam – zaprzecza Hanna.

– Widziałam, ruszały ci się rzęsy.

– To od przeciągu – odpowiada.

Dla pewności zakrywam jej oczy dłonią, czuję jej rzęsy, łaskoczą mnie w skórę, patrzę, jak Obbe bierze puszkę coli i dziko nią wstrząsa. Potem przykłada puszkę do szparki, rozsuwa Hannie nogi tak szeroko, jak to tylko możliwe, aż widać różowe. Jeszcze kilka razy wstrząsa puszką i przykłada jak najbliżej otworu. Nagle ciągnie za zawleczkę puszki i cola tryska strumieniem na ciało. Hanna wstrząsa biodrami, wydaje krzyk. Ale kiedy przestraszona zdejmuję dłoń z jej oczu, widzę w nich coś, czego nie znam. To nie wyraz bólu, raczej spokoju. Chichocze. Obbe wstrząsa drugą puszkę i powtarza procedurę. Oczy Hanny robią się wielkie, przyciska wilgotne usta do mojej dłoni, cicho pojękuje.

– Czy to boli?

– Nie, jest przyjemnie.

Wtedy Obbe odrywa zawleczkę i przykłada ją do różowawej kulki, która wystaje ze szparki. Szarpie za nią, jakby otwierał puszkę coli. Hanna jęczy teraz głośniej i wije się na pościeli.

– Przestań, Obbe, to ją boli! – mówię.

Siostra leży na poduszce spocona i mokra od coli. Także Obbe jest spocony. Podnosi z podłogi pustą do połowy puszkę i podaje mi. Łapczywie piję i nad brzegiem puszki widzę, jak Hanna chce naciągnąć majtki.

– Czekaj – mówi Obbe – musisz dla nas coś przechować.

Sięga po kosz pod biurkiem, odwraca go do góry dnem i wyławia spomiędzy sprawdzianów z niedostatecznymi ocenami dziesiątki zawleczek od coli. Potem jedną po drugiej wpycha w Hannę.

– W przeciwnym razie ojciec i matka zauważą, że kradniecie puszki – mówi.

Hanna nie protestuje. Nagle stała się jakaś inna. Wygląda wręcz, jakby odczuwała ulgę, chociaż umówiłyśmy się kiedyś, że będziemy czuć się winne na wieki, żeby ojciec i matka już nie musieli. Patrzę na nią ze złością.

– Ojciec i matka cię nie kochają – wymyka mi się niechcący.

Hanna pokazuje mi język. Widzę jednak, że ulga w jej oczach powoli gdzieś znika, źrenice robią się mniejsze. Szybko kładę jej dłoń na ramieniu i mówię, że żartowałam. Wszyscy chcemy miłości ojca i matki.

– Będziemy musieli złożyć więcej ofiar – odzywa się Obbe.

Siada przed komputerem, który uruchamia się z szumem. Nie wiem, jaką ofiarę złożyliśmy przed chwilą, ale nie mam odwagi spytać, boję się nowych zadań. Hanna siada obok niego na składanym krzesełku. Zachowują się, jakby nic się nie stało, i może faktycznie tak jest, i tylko ja niepotrzebnie się przejmuję, tak jak przejmuję się z powodu zmierzchu, który wciąż na nowo zapada: tak się dzieje i już, niezależnie od tego, jak bardzo boję się ciemności, ale w końcu znów zrobi się jasno, tak jak teraz – nawet jeśli jest to sztuczne światło, światło ekranu, to ciemność sprzed sekundy w znacznej mierze ustąpiła. Podnoszę zapomnianą zawleczkę i wsuwam do kieszeni kurtki między wąsy królika i skorupy skarbonki. Musimy teraz postępować z Hanną ostrożnie, przy każdym kroku może nas zdradzić, prawdopodobnie słychać brzęk zawleczek od coli w jej ciele, tak jak czasem ułamują się, kiedy pijesz, i wpadają do puszki, i słychać je z każdym łykiem. Patrzę na plecy brata i siostry. Nagle dociera do mnie, że już nie słychać trzepotu skrzydełek motyli w plastikowych pudełkach po serze. Przychodzi mi na myśl zdanie z Mateusza: „A jeśliby zgrzeszył brat twój, idź, upomnij go sam na sam; jeśliby cię usłuchał, pozyskałeś brata swego". Obbe i ja musimy koniecznie porozmawiać w cztery oczy. I chociaż zawsze jesteśmy w sześcioro oczu, to muszę się postarać, żeby oczy Hanny były na chwilę zamknięte.

Po kolacji wymykam się na dwór, przekraczam czerwone taśmy i wchodząc do obory, przykładam rękę do ust jak papierową maseczkę.

Drzwi i okna muszą być zamknięte, więc powietrze jest tam ciężkie od amoniaku zmieszanego z zapachem sianokiszonki. Sunę szuflą do gnoju po betonowych rusztach i odgarniam rzadkie kupy na środek; wpadają do otworów i słyszę, jak lądują w piwnicy. Szuflę trzeba trzymać pod odpowiednim kątem, żeby nie zahaczała o szpary w betonie. Od czasu do czasu szturcham krowy w racice, żeby wiedziały, że muszą się nastąpić. Niekiedy trzeba to zrobić brutalnie, wtedy nie podnoszą głów. Idę wzdłuż odpływu gnojówki, obok zasuszonych krów, które błogo przeżuwają, jakby ich nie obchodziło, że to ich ostatnia wieczerza. Pozwalam Beatrix, by polizała mnie po ręce, to czarna krowa z białym łbem i brązowymi plamami wokół oczu – wszystkie krowy mają niebieskie oczy, to przez dodatkową błonę, która odbija światło. Zimą robię tak przy cielakach, pozwalam im oblizywać moje zmarznięte palce, ssą je aż powstaje próżnia, tak jak smutek w moich piersiach. Za każdym razem odgłos ssania przypomina mi opowieść Obbego, jak syn Janssena włożył cielakowi do pyska nie palec, tylko coś innego, ale to były historie, które krążyły po wsi jak zapach gnoju rozrzucanego raz w miesiącu, i lepiej było wtedy zatkać sobie nos.

Daję krowie jeszcze chwilę lizać moją rękę. Najpierw trzeba zdobyć czyjeś zaufanie, a dopiero potem bezlitośnie uderzać, tak uczył mnie Obbe. W ten sposób zgromadził swój zbiór motyli. Za uszami krów holenderek jest czułe miejsce, gdzie lubią być dotykane. Każdego wieczoru szukam z latarką podobnego miejsca na swoim ciele, ale nie znajduję niczego, co byłoby warte głaskania, co by mnie uspokoiło albo przyspieszyło mi oddech. Kładę dłoń na głowie krowy, a potem sunę wzdłuż kręgosłupa do kości biodrowych, w kierunku ogona. Widzę tyłek, który otwiera się i zamyka, jak buzia głodnego niemowlęcia. Niewiele myśląc, wsuwam do niego palec wskazujący: jest ciepło i obszernie. Pod tyłkiem wisi coś, co faktycznie przypomina bułeczkę z budyniem, o której mówił Obbe, tylko jest bardziej różowe, z kosmykiem włosów na końcu. Jest tam jeszcze jedna dziura, ale wąska i miękka. To musi być cipa krowy, myślę. Natychmiast zwiera biodra, przyciąga do siebie ogon i porusza niespokojnie nogą. Przez chwilę myślę o Hannie i wsuwam palec do środka, a potem wysuwam, i tak na zmianę, coraz szybciej i szybciej, aż staje się to nudne. Drugą rękę wkładam do kieszeni kurtki i nagle między resztkami skarbonki,

zawleczkami od puszek i wąsami Dieuwertje wyczuwam świderek do serów. Zapomniałam, że zabrałam go z serowarni. Wyciągam urządzonko z kieszeni i kręcę nim kilka razy w powietrzu, oglądając je z każdej strony. Nagle wpada mi do głowy pomysł. Wybawcę trzeba przetestować, nurkowie też najpierw muszą zdobyć patent. To będzie test dla weterynarza, bo jeśli potrafi uratować krowę od zabłąkanego świderka do serów, to uratuje też zbłąkane serce dziewczyny. Mrużę oczy w oczekiwaniu na ból, jaki poczuje Beatrix, i ostrożnie wkładam świderek w jej zad, pcham coraz mocniej, by tyłek się poszerzył i ułożył dookoła świderka, aż już dalej nie sięgam. Kiedy całe przedramię mam w krowie, puszczam świderek i cofam usmarowaną gównem rękę. Klepię krowę w ciepły bok, tak jak ojciec klepnął mnie w łydkę, gdy skończył z mydłem.

– Z Beatrix coś jest nie tak – mówię do weterynarza po tym, jak już umyłam sobie rękę płynem, którego matka używa do czyszczenia wiader na mleko, spryskałam szlauchem podeszwy gumowców i zakręciłam kran.

– Pójdę zobaczyć – mówi i idzie do obory.

Po chwili wraca, ale nie widzę niepokoju w jego spojrzeniu. Nie ma zatroskanej zmarszczki między oczami, zaciśniętych ust.

– I co? – pytam.

– No wiesz, to szlachcianka. One zawsze robią przedstawienie, kiedy coś im dolega. Ale to nic poważnego, jest okazem zdrowia. I pomyśleć, że to biedne zwierzę trzeba będzie jutro zlikwidować. Pryszczyca to potworność w oczach Boga.

Uśmiecham się do niego jak prezenterka teleturnieju *Lingo*, kiedy ktoś nie wylosuje zielonej kulki.

# 20

– Teraz pada pierwsza krowa – mówi matka.

Stanęła przed metalową bramą, w każdej dłoni trzyma termos, na jednym mazakiem wodoodpornym napisano „HERBATA”, na drugim „KAWA”. Pod pachą ściska paczkę ciastek z różowym lukrem. Jakby dla utrzymania równowagi. Jej głos jest zachrypnięty. Wchodzę za nią do obory akurat wtedy, gdy na betonowe ruszty padają pierwsze martwe krowy, a maszyna podciąga ich nieruchawe ciała za tylne nogi do chwytaka, który je łapie jak przytulanki na jarmarku i zrzuca na ciężarówkę. Dwie krowy stoją pod wirującymi czochradłami, przeżuwając na próżno, nosy mają pokryte grubymi strupami. Gorączkowo spoglądają na towarzyszki, które osuwają się lub ślizgają i zwalają na posadzkę obory. Niektóre jałówki lądują jeszcze żywe w wozie na padlinę. Innym przykładany jest do łbów aparat ubojowy, który strzela metalowym bolcem. Skóra mi cierpnie od jęków i czuję, jakby skóra pękała mi od tego łomotu ciał o ściany wozu, jakbym dostawała gorączki. Nic nie daje naciągnięcie kołnierza na nos i żucie troczków od kaptura. Nawet Maxima, Klejnocik i Plamka zostają zlikwidowane bez żalu. Osuwają się, są składane jak kartony po mleku, a potem wrzucane do kontenera.

Nagle słyszę krzyk ojca. Stoi z Obbem przy korytach wśród mężczyzn ubranych w niebiesko-zielone kombinezony, czepki pływackie i maseczki. Głośno recytuje Psalm 35 wers 1, aż przechodzi to w krzyk, w kącikach ust zbiera mu się ślina. „Walcz z moimi wrogami, Panie na Niebiesiech, Gromy rzuć na prześladowców moich; Pochwyć włócznię, tarczę i puklerz, By zdławić ich przemoc, której się obawiam”. Ślina powoli skapuje mu z brody na posadzkę. Skupiam się na kroplach, na smutku, który się z niego sączy, tak jak z martwych krów gnojówka i krew, ściekające po krawędziach kafli aż do studzienki, gdzie miesza się z mlekiem z cysterny.

Cielaki zostały zlikwidowane wcześniej. Nie musiały patrzeć, jak ich matki są brutalnie zabijane. Obbe zaprotestował, wieszając najmłodszego cielaka na gałęzi przed naszym gospodarstwem; wisi za nogę, z pyska

sterczy mu ozór. Wszyscy hodowcy ze wsi powiesili przy swoich bramach wjazdowych jakieś martwe zwierzę, krowę albo świnię. Niektórzy ścięli jeszcze drzewo, a pień zwalili w poprzek drogi przez polder, żeby służby sanitarne nie mogły przejechać. Człowiekowi w białym kombinezonie, który wcześniej rozkładał w gospodarstwie pułapki na szczury, teraz zabrakło tej staranności, ziarenka trutki wrzucił do czarnego kontenera.

– Nie będziesz zabijał! – woła ojciec.

Stoi przy krowie, która należała do dziadka, ona też jest już martwa, jej nogi sterczą do nieba. Na betonowych rusztach leżą połamane ogony. Rogi. Połowy kopyt.

– Mordercy! Hitlery! – woła jeszcze Obbe.

Myślę o Żydach, jak zgonieni niczym bydło szli na rzeź, o Hitlerze, który tak bał się chorób, że postrzegał ludzi jak bakterie, jak coś, co można łatwo wytępić. Pani mówiła na historii, że kiedy Hitler miał cztery lata, załamał się pod nim lód, a uratował go ksiądz. I że jak pod niektórymi ludźmi załamuje się lód, to lepiej, żeby ich nie ratować. Zastanawiałam się wtedy, dlaczego taki drań jak Hitler został uratowany, a mój brat nie. Dlaczego trzeba wybić krowy, choć nie zrobiły nic złego.

Widzę nienawiść w oczach Obbego, kiedy zaczyna bić jednego z mężczyzn w kombinezonie. Evertsen i Janssen, gospodarze ze wsi, odciągają go i próbują uspokoić, ale wyrywa się im i wybiega z obory, omijając matkę, która wciąż jeszcze stoi na progu jak wryta, z dwoma termosami – gdybym wyjęła jej jeden z ręki, pewnie i ona straciłaby równowagę i padła na ziemię tak głośno jak zasuszone krowy, na które teraz przyszła kolej. Smród śmierci utkwił mi w krtani jak zbrylony proteinowy proszek, próbuję go przełknąć, a obrazu cielaków, które widzę kątem oka, staram się pozbyć mruganiem, jakby to były muszki, mrugam z całych sił, oczy zaczynają mnie piec i w końcu pozbywam się go, płacząc. W każdej stracie tkwią próby zachowania tego, czego nie chciało się stracić, ale i tak trzeba było zostawić. Począwszy od woreczka z przepięknymi kulkami do gry i rzadkimi kostkami, skończywszy na moim bracie. W stracie jesteśmy, kim jesteśmy: kruchymi istotami, jak nieopierzone pisklęta szpaków, które od czasu do czasu wypadają nagie z gniazda i mają nadzieję, że jeszcze do niego wrócą. Płaczę z powodu krów, płaczę z powodu trzech króli, z żalu, a na końcu płaczę nad samą

sobą, śmieszną, okrytą kurtką strachu, a potem szybko ocieram łzy. Muszę powiedzieć Hannie, że na razie nie możemy się przeprawić na tamtą stronę. Nie możemy tak zostawić ojca i matki. Co się z nimi stanie, skoro za chwilę nie będzie już krów? Pisklę szpaka bez rodziców wie jedno: nikt go nie weźmie z powrotem do gniazda.

Zatykam dłonią usta przed smrodem i szepczę raz po raz:

– Matka Woli Ziemniaki, Może Je Sama Usmażyć Nawet.

Ale to nie pomaga, wcale mnie nie uspokaja. Patrzę na ojca, który trzyma widły i co chwilę gniewnie wymachuje nimi w stronę mężczyzn. Gdyby to były bele siana albo sianokiszonki, moglibyśmy je wspólnie podnieść lub zawinąć w zielony plastik i ustawić na widoku na polu, żeby potem wyschły. Jeden z mężczyzn, najwyższy z całej grupy, stoi obok metalowej bramy przy matce i je ciastko z różowym lukrem, maska zwisa mu z brody jak miseczka na rzygowiny. Najpierw przednimi zębami zdrapuje lukier, a potem zjada ciastko, tymczasem wokół niego bolce trafiają prosto w łby krów, a one osuwają się na ściany. Kiedy wysupłuje z opakowania drugie ciastko i starannie pozbawia je lukrowej warstwy, moja skóra zaczyna powoli pękać – tak musi się czuć poczwarka, stając się motylem, ale coś ją powstrzymuje, choć widzi wokół siebie szczeliny i światło wolności, które przez nie prześwieca – a serce za żebrami zaczyna gwałtownie bić i boję się, że wszyscy we wsi je usłyszą, tak samo boję się w nocy, kiedy leżę na moim misiu, aż mrok powoli ustępuje. Najchętniej krzyczałabym i waliła mężczyzn w brzuchy albo zawiązałabym im maseczki na oczach, żeby nie widzieli krów, tylko mrok własnych czynów i żeby te czyny, czarne i lepkie, przykleiły się do nich i towarzyszyły im przy każdym kolejnym kroku. Przeciągnęłabym ich za te durne łby przez ubrudzone obory, a potem maszyna chwyciłaby ich za nogi i wrzuciła do kontenera.

Ojciec upuszcza widły, unosi głowę i spogląda na kalenicę obory, gdzie po każdym strzale podlatują gołębie. Mają brudne pióra: pokój zawsze przychodzi w bieli, ale teraz jest wojna. Przez chwilę mam nadzieję, że ojciec podejdzie i mocno mnie przytuli, aż guziki jego kombinezonu odbiją się na moim policzku, i że ja też się zatracę w tych objęciach, ale jedyne, w czym mogę się teraz zatracić, to sama strata.

Wychodzę na zewnątrz i widzę, jak Obbe ściąga swój jednorazowy kombinezon. A potem wrzuca go do ogniska, które zrobili protestujący; na

łące obok kupy gnoju pali się stara trzcina, wokół stoi grupka przegranych gospodarzy. Gdybyśmy tak mogli pozbyć się naszych ciał, uwolnić od zmazy, która w nas tkwi.

# Część III

# 1

Obbe znienacka przykłada mi usta do ucha i szepcze, powoli i wyraźnie:

– Dżizas. Kurwa.

Z prześwitu między zasłonami pada mu na czoło pasemko światła. Czerwone rozcięcie od walenia głową jest już blizną, jak szew na mojej skarpetce, tak i Obbe coraz bardziej staje się przeszkodą, czymś, co uwiera. Zaciskam mocno powieki i czuję w jego ciepłym oddechu pastę do zębów i to zakazane słowo, które powtórzone raz jeszcze znika gdzieś w głębi mojej błony bębenkowej. Na szczęście to tylko moje uszy, a nie ojca i matki, bo to jest najgorsze ze wszystkiego, co moglibyśmy powiedzieć, a nawet pomyśleć, i czego w gospodarstwie nikt nigdy jeszcze nie wymówił. Ogarnia mnie smutek, bardziej ze względu na Boga niż z własnego powodu, On przecież nic nie może poradzić na to, co się dzieje w domu, a mimo to Jego imię jest teraz używane nadaremno. Im częściej Obbe to wypowiada, tym głębiej wsuwam się w pościel.

– Użyłaś hasła do Simsów.

Obbe pochyla się nade mną w swojej piżamie w paski. Dłonie kładzie po obu stronach poduszki.

– Tylko jeden raz – odpowiadam cicho.

– Nieprawda, twoje Simsy nie muszą już chodzić do pracy, bo są nieprzyzwoicie bogate, oszukujesz. Powinnaś mnie była spytać o pozwolenie, dżizas, kurwa!

Czuję mieszankę cynamonu i orzecha, to zapach wody po goleniu ojca. Przychodzi mi na myśl, że muszę zadowolić Obbego tak jak ojca, więc odwracam się na brzuch, odciągam gumkę spodni od piżamy i odsłaniam pośladki. Obbe odsuwa usta od mojego ucha.

– Co ty robisz?

– Musisz włożyć mi palec do pupy.

– To przecież obrzydliwe!

– Ojciec tak robi, pewnego dnia dzięki temu będę mogła zrobić kupę. Trzeba zrobić przejście. Wystarczy trochę. Pamiętasz, jak w akwarium robiliśmy w piasku korytarze dla złapanych mrówek?

Obbe zakasuje rękawy koszuli, delikatnie rozwiera mi pośladki, jakby otwierał swoją encyklopedię zwierząt, z którą obchodzi się ostrożnie i nie pozwala jej nikomu dotykać, i wpycha we mnie palec wskazujący, jakby chciał pokazać rzadkie zwierzę, na przykład kakadu.

– Nie boli?

– Nie – odpowiadam i zaciskając zęby, staram się powstrzymywać łzy.

Nie powiedziałam mu, że w zasadzie należy użyć szarego mydła Sunlight, które wcale nie jest szare, tylko żółtawobrązowe. Nie chciałabym mieć piany w ustach, jak niektóre krowy z pryszczycą. Ojciec też coraz częściej o tym zapomina, nie chce więcej zatykać we mnie flagi, bo jestem już dla niego ziemią zdobytą. Ktoś musi przejąć to zadanie, żebym nie musiała iść do doktora albo żeby nie trzeba było mnie opróżniać.

Obbe wsuwa jednak palec najgłębiej, jak może.

– Spróbuj puścić bąka, to pożałujesz – mówi.

Kiedy się odwracam, widzę, że spodnie od jego piżamy są nabrzmiałe w kroku. Przypomina mi się, jak ostatnio robił sztuczki ze swoim siusiakiem, i zastanawiam się, jakiej jest grubości, na ile palców, i czy też można by go tam włożyć, żeby zrobić przejście. Ale nie mówię nic, nie teraz: pytania budują oczekiwania, a nie wiem, czy dałabym radę im sprostać. Kiedy pani zadaje mi pytanie na lekcji, moje myśli robią się niewyraźne, jakby zamazane korektorem. Nie chcę rozgniewać Obbego jeszcze bardziej. Co by było, gdyby zaczął kląć i obudził tym ojca i matkę? Nagle Obbe zaczyna poruszać we mnie palcem coraz szybciej, jakby szturchał to rzadkie zwierzę ze swoich zbiorów, by pobudzić je do życia. Powoli zaczynam poruszać biodrami w górę i w dół – chcę uciec, a jednak zostać. Chcę unosić się i tonąć. Otacza mnie śnieżny krajobraz.

– Wiesz, jak długo mogą żyć węgorze?

– Nie – szepczę.

Nie ma powodu, by szeptać, ale mój głos nagle zrobił się cichszy, ochrypły. Do ust napływa mi ślina. Przez moment myślę o ropuchach. Siedzą jedna na drugiej i mówią do siebie „żonko” i „mężusiu”, a ich długie

języki wiją się i splatają ze sobą, jakby walczyły o tę samą urojoną muchę. Czy ropucha ma siusiaka? I czy może go złożyć i schować z powrotem do puzdra tak jak byk i jak Obbe swój drewniany rewolwer do kabury?

– Mogą żyć nawet osiemdziesiąt osiem lat, ale mają wrogów: kormorany, nicienie i rybaków.

Obbe raptownie wyciąga ze mnie palec. Śnieżny krajobraz zaczyna topnieć. Oprócz ulgi w piersiach czuję też rozczarowanie, jakby mnie ktoś znów wepchnął do mojej czarnej jak smoła głowy – latarka, którą świecą na ciebie, aby dać ci podium, a potem znów ją gaszą. Coraz częściej uciekam w siebie, kładę się na brzuchu i pocieram kroczem o przytulankę, coraz gwałtowniej i gwałtowniej, aż listewki pod materacem zaczynają trzeszczeć, w końcu przestaję je słyszeć i całe napięcie dnia ustępuje, tylko szumi mi w uszach, morze jest wtedy o wiele bliżej niż w ciągu dnia.

– Ojciec i matka mają po czterdzieści pięć lat i nie mają wrogów.

– To nic nie znaczy – odpowiadam i szarpię za majtki i spodnie od piżamy, żeby je podciągnąć.

Mam nadzieję, że ojciec nie będzie zły, że zwolniłam go z jego zadania. Nie chcę być dla niego jeszcze większym ciężarem.

– Nie, to nic nie znaczy – mówi Obbe.

Kilka razy głośno przełyka ślinę. A potem zachowuje się tak, jakby go to nie dotyczyło, jakby się nie obawiał, że utracimy ich wcześniej niż samych siebie, i z obrzydzeniem spogląda na swój palec wskazujący. Przez moment go wącha.

– Tak pachnie tajemnica – mówi.

– Świntuch.

– Nie mów nic ojcu i matce, jeśli im powiesz, dżizas, kurwa, zamorduję Dieuwertje i ściągnę z ciebie tę paskudną kurtkę.

Obbe odpycha mnie i zamaszystym krokiem wychodzi z pokoju. Słyszę, jak schodzi po schodach, a potem jak otwiera i zamyka szafki w kuchni. Teraz, kiedy nie ma już krów, nie jemy śniadań o stałej porze. Czasem w ogóle nie ma śniadania, tylko trochę krakersów i kaszka Brinty, bo ojciec zapomina pójść w środę po chleb do piekarza. Albo nagle zaczął się bać pleśni. Za to codziennie w południe musimy się przed nim stawić – siedzi w fotelu przy oknie, tam gdzie zazwyczaj pali papierosy, prawa noga

założona na lewą, co do niego nie pasuje, bo na ogół siedzi raczej w rozkroku, niebieskie pióro wieczne w dłoni: jesteśmy jego nowym pogłowiem i bada nas pod kątem ewentualnych chorób – mamy pokazać gołe plecy, jakby to były spody omletów. Ojciec szuka niebieskich i białych plamek.

– Obiecajcie, że nie umrzecie – mówi, a my kiwamy głowami i nie mówimy, że jesteśmy głodni i że z głodu też można umrzeć.

Wieczorem regularnie dostajemy zupę z puszki, z pulpecikami i dodatkowym wermiszelem, który matka łamie nad garnkiem, więc wygląda to tak, jakby jednak sama ją ugotowała. Kosmyki wermiszelu, niczym koła ratunkowe, pływają tu i ówdzie w talerzach z zupą, ozdobionych wizerunkami kur.

Pod kołdrą w dinozaury ruszam przez chwilę nogami, żeby uzyskały normalną wagę i nie były już tak ciężkie, chociaż nie wiem, jak należy czuć nogi, chyba powinny być nieważkie, wszystko, co należy do ciebie, jest nieważkie, a to co obce, wydaje się ciężkie. Oddech Obbego, w którym mieszają się pasta do zębów i przekleństwa, wisi nade mną jak naprzykrzający się nabywcy mleka: nic ich nie zadowala i wkraczają na teren czyjegoś gospodarstwa z podniesioną głową. Zrzucam z siebie kołdrę i idę przez klatkę schodową do pokoju Hanny, na koniec korytarza. Drzwi ma zawsze uchylone, a na klatce musi się palić światło. Sądzi, że włamywacze zatrzymają się przy lampie jak ćmy i rano ojciec wygoni ich na zewnątrz.

Cichutko otwieram drzwi. Siostra już się obudziła i ogląda książeczkę. Dużo czytamy, lubimy bohaterów, zostają nam potem w głowach, a tam piszemy dalej ich historie, tylko teraz z nami w rolach głównych. Pewnego dnia zostanę bohaterką także dla matki, wtedy będziemy mogły z Hanną ze spokojnym sercem przeprawić się na tamtą stronę. Uwolnię też Żydów i ropuchy, a dla ojca kupię oborę z nowiusieńkimi krowami holenderkami i usunę wszystkie sznury i silosy. Nie będzie wysokości, znikną pokusy.

– Obbe zaklął, powiedział: „Dżizas, k...a" – szepczę Hannie i siadam w nogach łóżka na brzegu.

Hanna robi wielkie oczy. Odkłada książkę z obrazkami.

– Jak ojciec to usłyszy... – zaczyna.

W kącikach oczu ma jeszcze śpiochy. Mogłabym je podważyć małym palcem, tak samo jak kiedyś z bratem szpachelką wyciągnęliśmy ślimaka z jego domku, a śluzowate paskudztwo rozsmarowaliśmy na płytkach.

– Wiem. Musimy coś zrobić.

– Może trzeba powiedzieć matce, że Obbe zachowuje się podle. Pamiętasz jeszcze, jak Evertsen chciał się pozbyć psa? Stwierdził, że zwierzę jest podłe, no i tydzień później dostało zastrzyk – mówię.

– Obbe nie jest przecież psem, idiotko.

– No, ale jest podły.

– Tak, ale musimy mu coś dać, raczej kość niż zastrzyk, żeby był spokojny – mówi Hanna.

– No to co?

– Zwierzę.

– Żywe czy martwe?

– Martwe. Woli takie.

– Tak mi szkoda tych biednych zwierzątek. Najpierw z nim pogadam – mówię.

– Tylko nie opowiadaj głupot, bo go rozzłościsz. I musimy pomówić o Planie. Nie chcę tu dłużej zostać.

Myślę o weterynarzu, nie umiał nawet znaleźć świderka do serów w krowie, więc to niemożliwe, żeby wiedział, jak uratować moje serce. Ale nic nie mówię, bo teraz są ważniejsze sprawy.

Ze stolika nocnego Hanna bierze torebkę Fireballs. Na opakowaniu jest laleczka z płomieniami wychodzącymi z jej ust. Hanna rozrywa plastik i podaje mi czerwoną kulkę. Wkładam ją do ust i zaczynam ssać. Kiedy robi się gorąca, wyjmuję. Stale zmienia kolor, z czerwonego na pomarańczowy, a potem żółty.

– Kiedy będziemy już wybawione po tamtej stronie, to może uruchomimy własną fabrykę Fireballs. Wtedy codziennie będziemy pływać w basenie między czerwonymi kulkami – ciągnie Hanna.

Przerzuca kulkę w ustach z jednego do drugiego policzka. Kupujemy je w sklepie ze słodyczami van Luika, na końcu wsi przy ulicy Karnemelkseweg. Pani, która sprzedaje słodycze, nosi zawsze ten sam

biały przybrudzony fartuch i ma czarne rozczochrane włosy, sterczą jej na wszystkie strony. Wszyscy nazywają ją Czarownicą. Krążą o niej straszne opowieści. Belle mówi, że zaklęciem potrafi zmienić błąkające się koty w kocie dropsy, a dzieci, które kradną, w bloczki karmelowe. Ale i tak wszystkie dzieci kupują u niej słodycze, choć nam ojciec właściwie nie pozwala tam chodzić.

– To poganka przebrana za świętoszkę. Widziałem, jak w niedzielę przycinała żywopłot – powiedział.

Pewnego razu zakradłyśmy się z Belle na tyły jej ogrodu i zobaczyłyśmy żywopłot. Był tak bujny i wysoki, że gałęziami mógłby dotknąć gwiazd. Straszyłam Belle, mówiąc, że Czarownica odwiedza nocą każdego, kto po kryjomu zajrzał do jej ogrodu, i zamienia go w roślinę, którą sadzi za domem.

Oprócz słodyczy mają w sklepiku jeszcze artykuły papiernicze i czasopisma z traktorami albo nagimi kobietami na okładkach. Drzwi wejściowe uruchamiają dzwonek, ale niepotrzebnie, bo mąż Czarownicy, w białym roboczym ubraniu, tak białym jak jego twarz, i o ciele tak chudym jak u charta, zawsze stoi za ladą i obserwuje każdego, kto wchodzi, jego oczy przywierają do ciebie jak magnesy. Tuż obok stoi klatka z papugą. Pan i pani van Luik nieustannie mówią do tego jaskrawo upierzonego ptaka. Chociaż to raczej gderanie – a to o nowych długopisach, że nie przyszły, a to o lukrecjowych nitkach, że wyschły i można nimi rozbić szybę, a to o pogodzie, że zbyt gorąco, zbyt zimno, zbyt duszno.

– Musisz już iść, wkrótce ojciec i matka się obudzą – mówi Hanna.

Potakuję i rozgryzam Fireball, żeby dostać się do gumy do żucia. Słodki cynamonowy smak wypełnia mi usta. Hanna znowu otwiera książkę z obrazkami i udaje, że czyta, ale widzę, że nie może się skupić na słowach, że słowa tańczą, w mojej głowie też często tak tańczą, coraz trudniej im ustawiać się porządnie w szereg i wydostać z ust.

# 2

Para wideł leży na podwórzu złożona zębami jak dłonie do modlitwy. Nie wiem, gdzie jest Obbe. Szukam go w pustych oborach, które pachną zaschniętą krwią, tu i ówdzie leżą jeszcze kawałki połamanych ogonów. Od likwidacji nikogo tutaj nie było. Idę do ogrodu warzywnego i tam go znajduję, siedzi skulony na ziemi wśród buraków. Cały dygocze. Z daleka widzę, że trzyma w ramionach zwiędniętą roślinę i wściekle wbija palec w ziemię, żeby wsadzić tam nowe nasionka, tak jak niedawno wsuwał mi go między pośladki. Ale tym razem gwałtowniej. Drugą ręką gładzi liście buraka, czasem, kiedy ma dobre dni, gładzi też kury po piórach. Nie miał na to wpływu, śmierć przyszła. Rękoma obejmuję moją kurtkę. Dopiero listopad, a w nocy już był przymrozek.

Nagle Obbe wstaje i kiedy się odwraca, dostrzega mnie. Przypomina mi się zdanie z Księgi Wyjścia: „Jeśli zobaczysz, że osioł twego wroga upadł pod swoim ciężarem, nie pozostawisz go, ale razem z nim przyjdziesz mu z pomocą".

Uśmiecham się do Obbego, żeby wiedział, że przychodzę w pokoju, że zawsze przychodzę w pokoju, nawet jeśli czasem pragnęłabym przyjść z wojną, jak wtedy gdy przynoszę do ogródka kawałek popsutej zabawki, by ją pogrzebać pośród czerwonej cebuli, obok aniołka z jednym skrzydłem. Chociaż wiem, że musielibyśmy być z lepszego domu, żeby móc pogrzebać naszą młodość, że sami musielibyśmy leżeć pod warstewką ziemi, ale czas jeszcze do tego nie dojrzał. I mamy przecież nasze misje, a to nas jakoś trzyma, chociaż Obbe znowu siedzi na wilgotnej ziemi i tępo patrzy przed siebie. Nieswojo szuram kaloszem po ziemi i dopiero teraz czuję, że mam gęsią skórkę, a gumka spodni od piżamy zwisa mi luźno w talii. Obbe podrywa się, na jego twarzy widać jeszcze ślady łez. Strzepuje błoto z piżamy w paski. To, co nas dotyka, sprawi, że w końcu się rozpadniemy jak kruchy ser.

Obbe staje przede mną. Jego bujne brwi tkwią nad oczami jak kawałki drutu kolczastego, ostrzegają, żeby się nie zbliżać. Wierzchem dłoni

wyciera policzki do sucha, w drugiej trzyma kilka zwiędłych buraków. Końce rośliny są pomarszczone, miejscami zbutwiałe i mają zbrązowiałe liście.

– To, co widziałaś, wcale się nie zdarzyło – szepcze.

Obojętnie kiwam głową i patrzę na rozsypane wokół kalafiorów fusy z kawy – mają trzymać robactwo z daleka. Czy ojciec i matka są robactwem, które nas wciąż podjada? Obbe się odwraca. Na jego piżamie widać mokrą ziemię. Po raz pierwszy wyobrażam sobie, co by się stało, gdybym wykopała dołek między grządkami, położyła w nim Obbego i go zasypała, potem zagrabiła ziemię i pozwoliła przymrozkowi działać, jak z jarmużem, a to wszystko w nadziei, że powstanie jego nowa, lepsza wersja. Nazwałabym ją po prostu „brat" i dawałabym jej moje biskwity Liga, które nie mieszczą się już w szufladzie. Byłby to brat, przed którym nie musiałabym zwieszać głowy na dziedzińcu szkolnym, kiedy znów wda się w awanturę albo kiedy w szopie na rowery da popis przed kolegami i zgasi lucky strike'a na pająku krzyżaku.

– Jak mam przekląć, skoro Bóg nie przeklął? Jak mam złorzeczyć, skoro nie złorzeczy Pan?

Obbe stoi przy taczce, na której kiedyś leżała matka, teraz do połowy wypełnionej deszczówką, stanął jakby kij połknął. W złości kopię tę taczkę tak, że się wywraca i woda rozlewa się wokół kaloszy Obbego. Obok stoi zardzewiały gokart Matthiesa. Od jego śmierci nikt nim nie jeździł. Czerwone siedzisko spłowiało i popękało. Obbe wybucha śmiechem.

– Zawsze jesteś taka grzeczna, prawda?

– Nie chcę tylko, żebyś przeklinał, chcesz śmierci ojca i matki czy co?

– Oni już są martwi. – Obbe wykonuje palcem ruch, jakby podcinał gardło. – Wy wkrótce też będziecie.

– Zmyślasz – mówię.

– Chyba że złożysz ofiarę.

– Dlaczego ofiarę?

– Kiedy nadejdzie czas, pokażę ci.

– Ale kiedy nadejdzie?

– Gdy czas będzie mieć kolor dojrzałych bawolich serc. Jak takie pomidory za długo wiszą, pojawiają się na nich rysy, potem pękają i zaczynają pleśnieć. Chodzi o odpowiedni moment – mówi Obbe i oddala się z burakami wciśniętymi pod pachę. Zostawiają na piżamie błotniste ślady.

# 3

Ojciec wkłada srebrne krowy do worka na śmieci i zaciąga żółte tasiemki – otwór wygląda teraz jak pupa krowy, ze zwieraczem, który ciasno się zaciska. Przez chwilę stoi z workiem w ręku. Patrzę na niego znad książki do przyrody, na jego umyte włosy z przedziałkiem, które mocno przyczesał, grzebieniem zrobił w nich rowki jak na zaoranej łące, patrzę na jego wargę z zagłębieniem na papierosa, jak w popielniczce. Z tym przedziałkiem przypomina teraz trochę Hitlera, ale tego nie mówię. Od razu pomyśli, że go nienawidzę i zacznie jeszcze bardziej kuleć na znak, że chyli się do ziemi, do podwójnego grobu Matthiesa, gdzie jest jeszcze miejsce dla jednego członka rodziny – kto pierwszy do młyna zajedzie, temu pierwej zmielą, powiedziała raz matka. Mam nadzieję, że nie zrobią z tego zawodów. W rocznicę jego śmierci i w dzień urodzin idziemy razem na cmentarz koło zboru, gdzie śmierć ma zapach iglaków. Przy grobie matka pluje na chusteczkę do nosa i wyciera nią do czysta zdjęcie paszportowe na nagrobku, jakby usuwała urojone resztki mleka z ust Matthiesa, a ojciec zapala znicz i konewką podlewa rośliny i kwiaty wokół. Żwir chrzęści nam pod stopami, gdy zmieniamy pozycję. Staram się jak najmniej ruszać, żeby przypadkiem nie trącić matki. Nikt nic nie mówi. Zawsze patrzę na groby obok i te za Matthiesem. Leży tam dziewczynka, która w czasie wakacji wypadła z łodzi i wleciała pod śrubę, kobieta z olbrzymim wyrzeźbionym motylem na nagrobku, bo chciała latać, ale nie miała skrzydeł, mężczyzna, którego znaleźli dopiero wtedy, gdy było go czuć. Ale pewnego dnia, tak jest napisane w Biblii, wszystkie groby się pootwierają, pewnego dnia każde życie powróci. Zawsze była to dla mnie przerażająca myśl: więc zobaczyłabym wtedy wszystkie te ciała wychodzące z ziemi, ciągnące w pochodzie przez wieś jak modele anatomiczne, z pobrzękującymi szczękami i pustymi oczodołami. Waliłyby w drzwi i twierdziły, że cię znają, że są twoją rodziną. Przypominam sobie słowa z Koryntian, babcia przeczytała mi je, kiedy się bałam, że już nie rozpoznamy Matthiesa: „Głupcze! To, co siejesz, nie ożyje, jeśli nie

obumrze. I to, co siejesz, to nie ciało, które ma powstać, ale gołe ziarno, na przykład pszeniczne lub jakieś inne. Bóg zaś daje mu ciało, jakie chce, a każdemu z ziaren właściwe jemu ciało. Tak też jest ze zmartwychwstaniem umarłych. Sieje się ciało w zniszczalności, a jest wskrzeszane w niezniszczalności; sieje się w niesławie, a jest wskrzeszane w chwale, sieje się w słabości, a jest wskrzeszane w mocy; sieje się ciało cielesne, a jest wskrzeszane ciało duchowe". Tylko nie rozumiem, dlaczego musieliśmy wsadzić Matthiesa jak ziarnko do ziemi, skoro i nad ziemią mógłby wspaniale rozkwitnąć. I dopiero kiedy ojciec się odwraca, wiemy, że już czas na nas, a ja, odchodząc, zawsze dotykam iglaków, z szacunku i ze strachu, jakbym składała śmierci szczere kondolencje.

Ojciec usztywnił przedziałek żelem. Nie chcę, żeby Żydzi zobaczyli go takiego przez szpary w podłodze, niepotrzebnie napędzilibyśmy im strachu. Chociaż czasem wątpię, czy nadal mieszkają w piwnicy, jest tak cicho. A kiedy niedługo nadejdzie zima, zrobi się tam lodowato i ich ciała zamarzną jak butelki napoju z czarnej porzeczki. Ja umieściłabym ich raczej w stodole na siano, tam jest cieplej.

Czytam dalej w mojej książce do przyrody o mrówkach, o tym, ile są w stanie unieść: ze względu na matkę mam nadzieję, że Żydzi są jeszcze w piwnicy, bo kiedy królowej odbierze się mrówki, tak jest tu napisane, to niedługo potem ona umiera z samotności. I na odwrót, mrówki umierają, kiedy matka składa skrzydła i nie ma jej już. Bez niej ojciec, który teraz zawiązuje porządny węzeł na worku ze śmieciami, długo nie pociągnie. Kiedyś dwa razy wygrał srebro za krowy, które dawały po sto tysięcy litrów mleka, Bezczelna i Winko. To były jego ulubione holenderki, ich zdjęcie opublikowano nawet swego czasu w „Reformatorisch Dagblad". Tamtej niedzieli, już po nabożeństwie, w lokalu Hoeksteen, gdzie ludzie mogą sobie jeszcze podyskutować o kazaniu, gratulowano nam wiotką dłonią i podano darmowy kawałek babki piaskowej. Przez moment ojciec jakby promieniał światłem wśród wszystkich parafian, tak jak moje przyklejane fluorescencyjne gwiazdy. Rozprawiał, żywo gestykulując, i głośno się śmiał – to był ten sam śmiech, co po sprzedaży cielaka handlarzowi bydła. Patrzyłam na niego i myślałam: to nie ojciec, to jakiś obcy, wkrótce zamieszkamy pod jednym dachem z kimś, kto traci swoje światło, kiedy

pozostali wokół niego też zaczynają świecić. Dlatego musieliśmy zostać w cieniu, żeby ojciec tak ładnie błyszczał na naszym tle. Ale i tak byłam pod jego wrażeniem i podziwiałam go, jak składał ludziom sprawozdanie z sukcesów Bezczelnej i Winka. Czasem trzeba umieć się sprzedać i każdej ofercie pokazać, że jest do przyjęcia, żeby móc potem nieco podwyższyć stawkę. Każdego dnia musimy siebie i to, co potrafimy, sprzedawać i znajdować kupca. Ojciec jest w tym dobry. Pewnego dnia wyda nas za kogoś, Hannę i mnie, chociaż to trwa już za długo i dlatego lepiej wziąć sprawy w swoje ręce. Słuchając tamtej niedzieli ojca, oddłubywałam tłuste, ciemne brzegi z kawałka ciasta, które trzymałam w ręku, i chowałam je do kieszeni kurtki. Planowałam, że w domu stanę na brzegu sofy i zaoferuję je matce, będę je trzymała jak szpacza matka robaki nad dziobami piskląt. Przez chwilę wahałam się, czy nie położyć ich na grobie Matthiesa – też lubił ciastka. Najbardziej te z bitą śmietaną i wiórkami czekoladowymi, kiedy w środku były jeszcze trochę wilgotne, ale pomyślałam, że szybko dobiorą się do tego robaki i chrząszcze.

Przez okno widzę, jak ojciec wkłada worek do czarnego kontenera. Po powrocie siada w swoim fotelu przy oknie i pali. Pół twarzy znika w tytoniowym dymie. Nie patrząc na mnie, mówi:

– Powinniśmy na znak protestu powiesić na drzewie rolnika, a nie cielaka. Zrobiłoby to większe wrażenie na tych wstrętnych poganach, na tych tchórzliwych kruchych ciasteczkach.

Teraz ojciec częściej rzuca wyzwiskami i wymyśla ludziom od kruchych ciasteczek. Z zewnątrz wyglądają solidnie, ale w ustach natychmiast się rozpadają. Od razu wyobrażam sobie ojca wiszącego na drzewie głową w dół, z wywieszonym językiem. Teraz pewnie zacznie jeszcze grozić, że odejdzie na zawsze. Pyta jednak tylko, czy znam opowieść o człowieku, który pewnego dnia wsiadł na rower i pojechał na kraniec świata. I kiedy tak sobie jechał, zorientował się, że ma popsute hamulce, i to przyniosło mu ulgę, bo już przed niczym i nikim nie mógł się zatrzymać. Więc ten dobry człowiek zjeżdża na rowerze z krańca świata i wywraca się, i wywraca się tak jak zawsze się wywracał, tylko teraz nie ma temu końca. Właśnie tak będziemy odczuwać śmierć, jako niekończący się upadek, bez możliwości powstania, bez plastrów. Wstrzymuję oddech. Ta opowieść zawsze napędzała mi strachu. Razem z Hanną przyczepiłyśmy do szprych

w rowerze ojca kapsle od piwa, żeby nie mógł cichcem pojechać za tym człowiekiem. Dopiero później dotarło do mnie, że to ojciec jest tym człowiekiem. Że to ojciec tak się wywraca.

– Czy zrobiłaś już kupę? – pyta ni stąd, ni zowąd.

Moje ciało od razu sztywnieje. Przez chwilę mam nadzieję, że dym zakryje go całkiem i że na kilka minut zniknie. To co ze mnie wyszło, było wodniste jak czekoladowe mleko i nie warto o tym mówić. Nie było to nawet rozwolnienie, raczej brązowe siki. A ojcu chodzi o prawdziwe gówno, takie, nad którym trzeba się napracować.

– A co tam za paskudztwo czytasz? Poczytałabyś lepiej Biblię, oryginalny Przejrzany Przekład Stanowy – kontynuuje.

Przestraszona, zamykam głośno książkę. Mrówka może podnieść ciężar pięć tysięcy razy większy od niej samej. W porównaniu z nimi ludzie są niepozorni, podnoszą zaledwie ciężar własnego ciała razy jeden, powiedzmy ciężar swojego smutku. Podciągam kolana, żeby się osłonić. Ojciec strzepuje popiół do kubka z kawą. Wie, że matka tego nie cierpi, bo – jak twierdzi – kawa będzie przez to pachnieć mokrymi papierosami, przyczyną śmierci numer jeden.

– Jeśli nie zaczniesz w końcu robić kupy, to zrobią ci w brzuchu dziurę i gówno będzie szło do woreczka. Chcesz tego?

Ojciec podnosi się z krzesła, żeby rozpalić w kominku. Gromadzi swoje troski jak drewienka do podpałki: dobrze płoną w naszych rozgorączkowanych głowach, wszyscy chcemy trosk ojca, nawet jeśli krótko płoną, i tak dają ciepło.

Kręcę głową. Chcę mu powiedzieć o Obbem i o jego palcu i że wszystko będzie już dobrze, ale nie chcę go też rozczarować, bo człowieka nie wolno czynić zbędnym, od tego zaczyna rdzewieć.

– Specjalnie to powstrzymujesz, co?

Znów kręcę głową.

Ojciec staje przede mną. W ręku ma drewienko na podpałkę. Jego oczy są ciemne, jakby starł się błękit wokół źrenicy.

– Nawet psy srają – mówi. – Pokaż brzuch.

Ostrożnie stawiam nogi na podłodze, ojciec chwyta mnie za brzeg kurtki. Nagle przypominam sobie o pinezce. Jak ojciec ją zobaczy, wyrwie

mi ją gwałtownie jak kolczyk z ucha martwej krowy. Wtedy ojciec i matka na pewno już nigdy nie pojadą na wakacje, bo jedynym miejscem, dokąd chciałabym się udać, jestem ja sama, a to nie jest domek dla rodziny, tylko dla jednej osoby.

– Drodzy przyjaciele – słychać za nami.

Ojciec puszcza kurtkę. Od razu zmienia mu się wzrok; Dieuwertje w „Wiadomościach Świętego Mikołaja" powiedziałaby, że w centrum kraju wystąpią nagłe przejaśnienia. Od tygodnia znów jest w telewizji. Czasem puszcza do mnie oko, wiem wówczas, że to, co robimy, jest dobre, że ona, nawet kiedy Hanna i ja odejdziemy, zawsze będzie miała na wszystko oko. Jakoś mnie to uspokaja. Ojciec otwiera drzwiczki i wrzuca drewienko do kominka.

– Zwierzę z przodu jest zdrowe, a z tyłu chore.

Weterynarz przenosi wzrok z ojca na mnie. W ten sposób mówi o krowach, ale teraz ma na myśli mnie. Weterynarz kiwa głową i rozpina po kolei zatrzaski zielonego płaszcza. Ojciec zaczyna wzdychać.

– Ma problemy ze srajdziurą.

Przez chwilę myślę o tych wszystkich kostkach mydła, które ukryłam u siebie w szafce nocnej. Jest ich osiem. Mogłabym nimi spienić cały ocean. Wszystkie ryby, wieloryby, rekiny i koniki morskie zostałyby umyte. Rozciągnęłabym dla nich sznur do bielizny i przypięłabym je klamerkami matki.

– Oliwa i zróżnicowana dieta – mówi weterynarz, pociąga zasmarkanym nosem i wyciera go w rękaw.

Książkę do przyrody, którą cały czas trzymam w rękach, chwytam jeszcze mocniej. Zapomniałam zagiąć kartkę, gdzie ostatnio czytałam. Gdyby tak ktoś zrobił to ze mną, żebym znała miejsce, od którego mam dalej zacząć żyć moją opowieść. I czy to ma być tutaj, czy po tamtej stronie: na ziemi obiecanej.

Ojciec nagle odwraca się i idzie do kuchni. Słyszę rumor w szafce z przyprawami. Wraca ze starą butelką oliwy, na brzegach zakrętki zrobiła się już żółtawa skorupka. Nigdy nie używamy oliwy do jedzenia, ojciec czasem smaruje nią zawiasy, żeby nie piszczały.

– Otwieraj usta! – mówi.

Zerkam na weterynarza. Nie patrzy na mnie, tylko przygląda się ślubnemu zdjęciu ojca i matki na ścianie. To jedyne zdjęcie, na którym matka i ojciec naprawdę na siebie patrzą, widać, że byli wtedy w sobie zakochani, chociaż na ustach matki błąka się niepewny uśmieszek, a ojciec nieporadnie oparł się na swoim kolanie w trawie i jego zniekształcona stopa fajnie wypadła z kadru. Mieli jeszcze takie sprężyste ciała, jakby do zdjęcia nasmarowano je oliwą. Ojciec w brązowym garniturze, a matka w mlecznobiałej sukience. Im dłużej patrzę na to zdjęcie, tym bardziej niepewne stają się ich uśmiechy, jakby już wiedzieli, jaka przyszłość ich czeka, krowy wokół zamiast druhen.

Ojciec bez ostrzeżenia zatyka mi nos, przykłada butelkę do ust i wlewa we mnie oliwę. Zaczynam prychać. Wtedy mnie puszcza.

– Tak, to powinno wystarczyć.

Staram się przełknąć tę wstrętną oliwę i kaszlę kilka razy, wycieram usta o kolano, które przypomina teraz wysmarowaną formę do pieczenia, i rękoma łapię się za brzuch. „Tylko nie wymiotuj, tylko nie wymiotuj, bo umrzesz". Ojciec pokazuje coś na dworze, weterynarz patrzy w tamtą stronę. Nie słyszę, co mówią. Coraz mocniej przyciskam ręce do brzucha i mam nadzieję, że pewnego dnia Bóg uniesie to gospodarstwo jak maszyna chwytakiem martwe krowy. Chcę uwolnić kupę i zarazem ją zatrzymać. Może Obbe musi wsadzić we mnie coś większego? A może powinnam wziąć łyk matczynej podpuszczki, od której robią się dziury w serze? Od niej zrobią się też we mnie dziury i w końcu wszystko wyjdzie na zewnątrz. Wtedy precyzyjnie złożę kilka kawałków papieru toaletowego – osiem na kupę, cztery na siki, taka zasada – i przejadę nim między pośladkami jak skrobakiem do gnoju.

# 4

Rozgniatam różyczki brokuła na talerzu. Są jak miniaturowe bożonarodzeniowe drzewka. Przypominają mi wieczór, kiedy Matthies nie wrócił. Godziny, które po jego śmierci spędziłam na parapecie z lornetką ojca, choć właściwie była mi potrzebna po to, by wyszukać dużego pstrego dzięcioła. Nie zobaczyłam ani dzięcioła, ani brata. Od lornetki zrobił mi się czerwony pasek na karku. Gdybym tylko była w stanie, patrząc przez wielkie szkła lornetki i odwracając wzrok, przybliżyć to, co tak się od nas oddaliło. Często przeczesywałam lornetką niebo – w poszukiwaniu aniołków z drzewka; Obbe i ja tydzień po śmierci brata wyciągnęliśmy po kryjomu aniołki z pudła na poddaszu i w jego pokoju nacieraliśmy gwałtownie jednym aniołkiem na drugiego („Mój soczysty aniołku" – jęczał udawanym głosem Obbe, na co ja odpowiadałam: „Moja kochana porcelanko"), by na koniec spuścić je z okna dachowego do rynny. Pogoda sprawiła, że pokryły się zielonym nalotem. Niektóre z nich leżą pod liśćmi dębu. Za każdym razem, kiedy idziemy sprawdzić, czy jeszcze tam są, jesteśmy rozczarowani, bo jak mają być u Matthiesa w niebie, skoro ciągle są tutaj? Jak mają go chronić? I nas?

W końcu założyłam zaślepki na szkła, schowałam lornetkę do pokrowca i nigdy więcej jej nie wyciągnęłam, więc obraz pozostał czarny na wieki, nawet kiedy duży pstry dzięcioł w końcu się pojawił.

Biorę duży kęs brokuła. W południe zawsze jemy ciepły posiłek. Wieczorami wszystko jest tu zimne: gospodarstwo, milczenie ojca i matki, nasze serca, huzarskie sałatki jarzynowe na chlebie. Nie wiem, jak usiąść na krześle, wiercę się, żeby nie czuć pieczenia w pupie po palcu Obbego. Nie mogę nic dać po sobie poznać, inaczej brat z zimną krwią załatwi mojego królika. Przecież chyba sama się prosiłam, co nie? Przecież krowy też uspokajają byki, pokazując im zad.

Nie mogę oderwać oczu od stetoskopu, który leży na stole przy talerzu weterynarza. Po raz drugi widzę go z bliska. Kiedyś na kanale Nederland 1 pokazano taki stetoskop, ale bez ciała, bo byłoby za dużo nagości. I znów

fantazjuję, że stetoskop leży na mojej gołej klatce piersiowej, że weterynarz nasłuchuje i mówi do matki:

– Myślę, że ma rozdarte serce. Może to choroba dziedziczna, czy w rodzinie występowała wcześniej? Cały ten smród gnoju osadza się w pięknym ubraniu i wtedy serce szybciej zostaje zainfekowane. Powinna pojechać nad morze, tam powietrze jest czystsze.

Wyobrażam sobie, jak wyciąga wtedy z kieszeni spodni swój nóż z wymiennym ostrzem, taki sam, jakiego ojciec używa do rozcinania sznurów na pakach sianokiszonki, wtedy szast-prast i się rozpadają. Następnie flamastrem wyrysowuje linie na mojej piersi. Wtedy pomyślałabym o Złym Wilku, który zjadł siedem kózek i rozpruto go nożyczkami, żeby mogły wyskoczyć żywe – może ze mnie wypełznie duża dziewczyna, wolna od wszystkich strachów, a w każdym razie lubiana, która zbyt długo ukrywała się pod warstwami skóry i pod kurtką. Po badaniu stetoskopem musiałby przyłożyć ucho do mojej klatki piersiowej, a wtedy przesuwałabym jego głową tam i z powrotem i pozwoliła się zrozumieć samym tylko wdechem i wydechem. Powiedziałabym, że boli mnie wszędzie i pokazałabym miejsca na moim ciele, gdzie jeszcze nikt nie był – czyli od palców u nóg do czubka głowy i wszystko pośrodku. Moglibyśmy poprowadzić linie kontrolne między znamionami, żeby wiedzieć, że nie wolno ich przekroczyć, albo żeby wyciąć ze mnie figurę, jak na kolorowankach, gdzie trzeba połączyć ze sobą punkty. Ale jeśli on nie usłyszy mojego wołania o pomoc, będę musiała zsunąć stetoskop z piersi, otworzyć usta jak najszerzej i tę okrągłą końcówkę wsadzić sobie głęboko do gardła. Wtedy powinien usłyszeć. Odruchy wymiotne nigdy nie są dobrym symptomem.

Obbe daje mi szturchańca.

– Halo, ziemia do Budrysówki, podaj sos.

Matka podaje mi sosjerkę. Uszko jest ułamane. W sosie pływają oka tłuszczu. Od razu daję ją Obbemu, bo może popsuć atmosferę, pytając mnie, o czym tak rozmyślałam. Wymieni wtedy wszystkich chłopców ze szkoły, tymczasem ten, o którym często myślę, ma tabliczkę pamiątkową w miejscu, gdzie zawsze stawiał swój rower. Chociaż trudno popsuć atmosferę jeszcze bardziej, kiedy nie ma już krów, a weterynarz opowiada o tym, jaki wpływ ma pryszczyca na wszystkich gospodarzy we wsi.

Większość w ogóle nie chce o tym rozmawiać, mówi, że tacy są najniebezpieczniejsi, bo zanim się zorientujesz, targną się na swoje życie, żeby pozbyć się ciężaru.

– Trudno to pojąć – mówi ojciec, nie patrząc na nikogo. – Przecież mają zawsze jeszcze dzieci.

Przelotnie zerkam na Obbego, który wsadził głowę w talerz, jakby studiował strukturę brokułowych różyczek i sprawdzał, czy nadają się na parasoleczki, pod którymi moglibyśmy się skryć. Po jego zaciśniętych pięściach widzę, że jest zły na ojca za to, co mówi, albo za to, czego nie mówi. Wszyscy wiemy, że ojciec i matka też chcieliby się pozbyć swoich ciężarów, takich choćby jak ciężarki doczepiane do zasłon, by te zachowywały swój fason. Co chwilę zerkam na weterynarza – powoli przeciąga językiem po błyszczącym nożu. Ma piękny język, karminowy. Myślę o roślinach w szklarni ojca, jak nożem nacina nerw i liściem do góry sadzi go w ziemi, podpinając klamerkami. Wyobrażam sobie, jak weterynarz dotyka swoim językiem mojego. Czy wtedy w końcu odżyłyby moje nerwy, a ludzie zobaczyliby, którędy przebiegają zagięcia, zagniecenia, i uwierzyliby, że jeszcze może ze mnie wyrosnąć nowe życie, nowa wersja mnie bez kurtki. Kiedy Hanna jakiś czas temu wcisnęła mi do ust język, poczułam, że zjadła ostatniego miodowego dropsa. Pomyślałam, że może ten smak pomógłby mi na bolące gardło. Zastanawiam się, czy język weterynarza smakuje miodem albo czy uspokoiłby mrówki w moim brzuchu.

Ojciec siedzi przy stole i trzyma głowę w dłoniach, nie słucha już weterynarza, który nagle pochyla się do przodu i tajemniczo szepcze:

– Ślicznie ci w tej kurtce.

Nie wiem, dlaczego szepcze, przecież wszyscy to słyszą, ale widziałam, że ludzie często tak robią, jakby chcieli, by każdy nastawił uszu, dołączył do nich jak do magnesu, a potem szybko wrócił na swoje miejsce. To jakiś rodzaj władzy. Żałuję, że Hanna nocuje u koleżanki. Wiedziałaby już, że na wybawienie nie trzeba dłużej czekać. I że powinnam zapomnieć o incydencie ze świderkiem do serów. Utraciłam przez to trochę wiary w weterynarza, tak jak wtedy – byłam w czwartej klasie – kiedy ojciec zawołał mnie do stołu. To był pierwszy i zarazem ostatni raz, kiedy krowy nie były głównymi bohaterkami naszej rozmowy przy stole.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął ojciec.

Palcami szukałam sztućców, żeby się czegoś przytrzymać, ale stół nie był jeszcze nakryty.

– Święty Mikołaj nie istnieje.

Kiedy to mówił, nie patrzył na mnie, tylko na fusy po kawie w swojej filiżance, przechylił ją. Odchrząknął:

– Świętym Mikołajem w szkole jest Tjerre, nasz stały nabywca mleka, ten łysy.

Pomyślałam o Tjerrem, który czasem dla żartu kłykciami stukał się w głowę i wydawał głuche dźwięki ustami. Za każdym razem wzbudzało to nasz podziw. Nie mogłam go sobie wyobrazić z brodą i mitrą. Próbowałam coś powiedzieć, ale gardło jak deszczomierz w ogrodzie miałam wypełnione po brzegi. W końcu przelało się i zaczęłam szlochać.

Pomyślałam o tych wszystkich kłamstwach, o śpiewaniu mikołajkowych piosenek przy kominku w nadziei, że Mikołaj nas usłyszy, chociaż co najwyżej mogła nas usłyszeć sikorka bogatka. O mandarynkach w butach, od których kwaśno pachniały nasze skarpety, o Dieuwertje Blok, która być może też była oszukaństwem, o byciu grzeczną, żeby nie trafić do worka, w którym Mikołaj mógłby porwać mnie do Hiszpanii.

– No a Dieuwertje Blok?

– Ta jest prawdziwa, ale Święty Mikołaj w telewizji to aktor.

Spojrzałam na małe mikołajkowe pierniczki, które matka podała mi w papierowym filtrze do kawy. Zostawiłam je na stole nietknięte, łzy napływały mi do oczu. Ojciec wstał od stołu, wziął ściereczkę do naczyń i nerwowo zaczął mi wycierać te łzy. Wycierał i wycierał, chociaż już nie płakałam, tak jakby moja drobna twarz była pokryta brązową pastą do butów, pastą iluzji, sadzą, która brudziła Piotrusiów wnoszących prezenty przez komin. Najchętniej walnęłabym ojca w pierś, tak samo jak on latami walił w drzwi, a potem uciekła w ciemny zmierzch i na razie nie wracała. Cały czas kłamali. Mimo tej rozmowy starałam się w następnych latach uporczywie utrzymywać wiarę w Dobrego Świętego z piosenki mikołajkowej i wiarę w Boga – istnieli tak długo, jak długo mogłam ich zobaczyć w głowie albo w telewizji, dopóki miałam powód, by się modlić i czegoś sobie życzyć.

Weterynarz wkłada ostatnią różyczkę brokuła do ust, pochyla się do przodu, kładzie swoje sztućce na talerzu na znak, że już skończył.

– Ile masz lat? – pyta.

– Dwanaście.

– No to jesteś prawie kompletna.

– Kompletna idiotka chyba – odzywa się Obbe.

Weterynarz go ignoruje. Myśl, że dla kogoś mogę być kompletna, napawa mnie dumą, chociaż może się wydawać, że się rozpadam, ale wiem, że kompletność to dobry sygnał, mój zbiór żetonów Flippo też jest już prawie kompletny, tylko trzy plastikowe kieszonki są jeszcze puste, a więc pewnie za jakiś czas poczuję to samo, kiedy będę kartkować skoroszyt i myśleć o wszystkich wygranych i przegranych partyjkach. Chociaż kartkowanie siebie wydaje się trudniejsze, ale może trzeba do tego dorosnąć, jak do swojej ostatniej kreski na futrynie, której nie można już zmienić. A Roszpunka w wieku dwunastu lat została zamknięta w wieży i wybawiona przez księcia. Niewielu ludzi wie, że jej imię pochodzi od roszpunki, polnej sałatki.

Weterynarz długo mi się przygląda.

– Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie masz chłopaka. Gdybym ja był w tym wieku, wiedziałbym na pewno, co robić.

Policzki mam gorące jak ścianki sosjerki. Nie wiem, o co chodzi z tym wiekiem, dlaczego gdyby był dwunastolatkiem, toby wiedział, ale jako mężczyzna w wieku mojego ojca nie rozumie. Dorośli przecież wiedzą wszystko.

– Jutro możliwe opady – odzywa się ni stąd, ni zowąd ojciec.

Nie zarejestrował naszej rozmowy. Matka stale krąży między zlewem a stołem, żeby nikt nie zauważył, że nic nie je. W książce do przyrody czytałam, że mrówki mają dwa żołądki, jeden dla siebie, a drugi do karmienia innych mrówek. Ten mechanizm mnie wzrusza. Też chciałabym mieć dwa żołądki, jednego mogłabym użyć do tego, żeby matka nie traciła na wadze.

Weterynarz mruga do mnie. Mam zamiar opowiedzieć o nim jutro Belle. Wreszcie mam kogoś, o kim mogę szeptać. Nie powiem jej, że ma dużo zmarszczek, nawet więcej niż nieuprasowany obrus, i że kaszle jak młode cielę z bydlęcym wirusem oddechowym, no i że jest starszy od ojca i ma szerokie dziurki w nosie, do każdej weszłyby po trzy frytki. Powiem, że jest przystojniejszy od Boudewijna de Groota. A to już coś znaczy. Po szkole często słuchamy z Belle jego piosenek w moim pokoju na strychu. Kiedy jesteśmy bardzo smutne – Belle czasem smuci się, gdy Tom napisze w esemesie małą literę x zamiast dużej, skoro po kropce automatycznie pojawia się duża, więc musiał zrobić to specjalnie – mówimy do siebie:

– Mam w sobie utopionego motyla.

Potem kiwamy tylko głowami, bo każda z nas wie dokładnie, jak druga się czuje.

# 5

Ze szpadlem, na którym tkwi jeszcze kawałek papieru z lampionu Obbego, idę w piżamie po pastwisku za oborą do krycia krów, nazywaną przez nas szopą nasienną. Kopię dołek tuż obok miejsca, gdzie został pogrzebany Tiesje i gdzie Obbe przyklepał przekopaną ziemię, ale tym razem nie wbił w nią patyczka, bo to nie jest coś, o czym chcielibyśmy pamiętać, na co chcielibyśmy patrzeć. Kopię i czuję coraz silniejsze kłucie w brzuchu, przez co nie mogę złapać tchu, więc zaciskam mocniej pośladki i szepczę cicho:

– Czekaj jeszcze, Budrysówko, zaraz będziesz mogła.

Dopiero kiedy dołek jest wystarczająco głęboki, rozglądam się dookoła; ojciec i Obbe jeszcze śpią, Hanna bawi się za sofą lalkami Barbie. Gdzie się podziewa matka, nie wiem. Może poszła do sąsiadki Lien i sąsiada Keesa, którzy dopiero co kupili nową cysternę na mleko dla nowego stada, taką na dwadzieścia tysięcy litrów.

Pospiesznie opuszczam spodnie w paski i majtki do kostek, czuję lodowaty wiatr na pośladkach, potem kucam nad dołkiem. Kiedy wczoraj ojciec szukał w Biblii odpowiedzi na moje problemy z kupą, natrafił w Księdze Powtórzonego Prawa na zdanie: „Poza obozem będziesz miał pewne miejsce i tam na zewnątrz będziesz wychodził. Wśród swoich przyborów będziesz miał łopatkę, a gdy przykucniesz na zewnątrz, wykopiesz nią dołek, po przykucnięciu przykryjesz to, co z ciebie wyszło". Przekartkował jeszcze Biblię, westchnął i zatrzasnął ją na znak, że nie ma tam żadnej wskazówki na mój problem, jednak to zdanie utkwiło mi w głowie; dziś w nocy nie mogłam przez nie zasnąć. Przewracałam się z boku na bok i wciąż myślałam o tych dwóch słowach: „poza obozem". Bóg zapewne miał na myśli gospodarstwo, a nie obóz. Czy sama mogłabym tam zrobić kupę? Nie powiedziałam ojcu i matce o swoim planie, bo to, że nie mogę zrobić kupy, to jedyne, co nas jeszcze łączy, na co popatrzyliby z szacunkiem, gdybym stanęła przed nimi w kuchni i podciągnęła T-shirt, pokazując im mój wzdęty brzuch podobny do jajka z podwójnym żółtkiem,

czułabym nawet podobną dumę jak przy białym jajku-olbrzymie, które zniosły moje czubatki.

Zaglądam między nogi, bo wyraźnie czuję parcie w pupie. Nie wiem, czy to sprawka oliwy, czy zdania z Biblii – ważne, że działa. Ale zamiast brązowego zwoju, który parując, wychodziłby z mojego odbytu prosto do dołka jak olbrzymi robal, wylatuje tylko trochę bobków. Prę dalej, łzy ciekną mi po napiętych policzkach i kręci mi się w głowie, muszę wytrzymać i wypchnąć wszystko, inaczej pewnego dnia wybuchnę, a wtedy znajdę się dalej od domu i dalej od samej siebie. Te bobki przypominają bobki mojego królika Dieuwertje, tylko są dużo większe. Babcia powiedziała, że kupa jest najzdrowsza, kiedy przypomina tłuste kiełbaski cielęce, jak te, jakie od czasu do czasu przygotowuje. A moja kupa przypomina wszystko, tylko nie te kiełbaski. To są raczej minipaszteciki.

Z dołu unosi się coraz więcej pary. Zaciskam nos, bo smród jest o wiele gorszy niż w oborze pełnej srających krów. Kiedy już nic nie wychodzi, rozglądam się wokół w poszukiwaniu liści, ale spostrzegam, że wszystko jest ogołocone albo przykryte cienką warstewką lodu; nie chcę, żeby moja pupa zamarzła jak korek od wanny, która stoi na pastwisku i krowy latem piją z niej wodę. Więc nie podcierając się, naciągam majtki i spodnie, staram się materiałem nie dotykać skóry, inaczej wszystko się utytła. Potem pochylam się na chwilę nad dołkiem i wisząc nad nim jak orzeł nad swoim pisklęciem, przyglądam się bobkom, które leżą tam na stosiku, i zaczynam zasypywać dołek, żeby zakryć odchody, wyrównuję szpadlem ziemię, ugniatam kilka razy gumowcami i wtykam gałązkę, żeby zaznaczyć, gdzie utraciłam kawałek siebie. Wracam z pastwiska, wstawiam szpadel na miejsce między inne szpadle i widły i myślę o chłopcach z sąsiedztwa, którzy właśnie w nocniku znajdują swoje zguby: niebieski guzik z kurtki, klocek Lego, plastikowe kulki do karabinu z jarmarku, mutrę. I przez chwilę czuję się wielka.

# 6

Belle mówi: „Smutek nie rośnie, tylko przestrzeń”.

Łatwo jej mówić. U niej ta przestrzeń miała wielkość słoja z rybkami i powstała po śmierci dwóch gupików. Teraz, jak ma dwanaście lat, zrobiło się z tego całe akwarium. I tak już zostanie. Tymczasem mój smutek rośnie i rośnie i jest nie do zatrzymania: najpierw miał metr osiemdziesiąt, w międzyczasie zrobił się tak duży jak olbrzym Goliat z Biblii. Choć ten miał wysokość sześciu łokci i jednej piędzi. Ale przytakuję Belle. Nie chcę, żeby szkło w akwarium pękło i żeby zaczęła płakać. Nie znoszę płaczących ludzi, najchętniej zawinęłabym ich w srebrną folię, jak moje mleczne biskwity Liga, i włożyła do ciemnej szuflady, dopóki nie wyschną. Nie chcę czuć smutku, chcę akcji. Czegoś, co przekłuje moje dni, przecież po przekłuciu pęcherza najgorsze mija. Ale moje myśli wciąż błądzą wokół dzisiejszego popołudnia, kiedy matka po wyjściu weterynarza zrobiła awanturę. Ojciec wszystko, czego nie powinniśmy brać zbyt poważnie, nazywał „awanturą”. Matka tymczasem ni stąd, ni zowąd powiedziała:

– Chcę umrzeć.

Nie przerwała sprzątania ze stołu, ładowała brudne naczynia do zmywarki i zgarniała ze stolnicy pędy ziemniaków do koszyczka na obierki dla kur.

– Chcę umrzeć – powtórzyła. – Mnie już niczego nie trzeba. Gdyby jutro przejechał mnie samochód i rozpłaszczył jak jeża na drodze, miałabym spokój.

Po raz pierwszy ujrzałam w jej wzroku rozpacz. Jej oczy nie przypominały kulek do gry, wyglądały raczej jak dołeczki w płytkach, w których, grając, trzeba umieścić kulki, zagłębienia w asfalcie. Ona chce tylko gromadzić oczy, żeby nieustannie na nią patrzyły, najchętniej od razu osiem. Trzeba jej dać wygrać, żeby samemu nie przegrać. Obbe wstał od stołu i przycisnął pięść do czubka głowy. To go nie uspokoiło.

– No to se umrzyj.

– Obbe! – szepnęłam. – Zaraz jeszcze się załamie.

– A widzisz, żeby ktoś się tutaj łamał? Jedyne, co się tu połamało, to my.

Wstał i cisnął swoją komórką o ścianę wyłożoną flizami w delfickim błękicie, krzycząc przy tym:

– Dżizas! Kurwa!

Nokia całkiem się rozpadła. Pomyślałam o grze w węża, który teraz na pewno był martwy. Na ogół nie mógł się wyplątać z sytuacji, w które sam się zaplątał, zjadał wtedy za dużo myszy i ekran się wybrzuszał. Teraz był popsuty.

Na moment zrobiło się cicho, słyszałam tylko kapanie z kranu. Po chwili z dużego pokoju wypadł ojciec, ciągnąc za sobą niesprawną nogę. Brutalnie cisnął Obbego na podłogę w kuchni, wykręcił mu ręce i przytrzymał na plecach.

– No, zrób to, zabij się, bo inaczej ja zabiję was wszystkich! – krzyczał brat.

– Nie będziesz brał imienia Pana, Boga twego, nadaremo, gdyż Pan nie zostawi bez kary tego, kto bierze Jego imię nadaremno! – krzyczał ojciec.

Matka spryskała gąbkę odrobiną płynu i zaczęła szorować naczynie żaroodporne.

– Sam widzisz – szeptała. – Jestem złą matką. Lepiej, żeby mnie nie było.

Zatkałam sobie uszy dłońmi, dopóki krzyki nie ucichły i ojciec nie zlazł z Obbego, dopóki matka nie otworzyła kuchenki i nie przytknęła na kilka sekund przegubu do rozżarzonej blachy, co na powrót rozgrzało ją od środka.

– Jesteś najlepszą mamą – powiedziałam, ale nawet ja usłyszałam fałsz w moim głosie; był tak samo pusty i głuchy jak obory po krowach. Nie było w nim życia.

Ale matka zachowywała się tak, jakby nie pamiętała sytuacji sprzed chwili. Ojciec uniósł ramiona do nieba.

– My przez was oszalejemy, zwariujemy – powiedział i poszedł do drewutni.

„Konflikty powinno się dusić w zarodku", mówiła babcia z klerykalnej strony rodziny. Czy my byliśmy tym zarodkiem? I pomyślałam: nie, rodzice

żyją w swoich dzieciach, nie na odwrót, więc szaleństwo będzie żyło w nas dalej.

– Naprawdę chcesz umrzeć? – spytałam matkę.

– Tak – odparła. – Ale nie przejmuj się, jako matka jestem do kitu.

Obróciła się i wyszła do szopy z koszyczkiem na obierki. Stałam zdrętwiała, wyciągnęłam dłoń do Obbego. Z nosa leciała mu krew. Odepchnął mnie.

– Strachoput – powiedział.

Belle i ja siedzimy w szopie nasiennej na zakurzonej kamiennej posadzce. Pośrodku obory stoi fantom krowy, składa się z metalowej ramy z kawałkiem sierści na sztucznym grzbiecie, żeby robić z byka durnia. Pod sierścią ukryte są metalowe szyny z czarnym krzesełkiem. Krzesełko jest ze skóry. Można je przesuwać do przodu i do tyłu, żeby łatwiej było złapać spermę. Sierść jest tu i ówdzie wytarta, fantom nazywa się Dirk IV i został tak nazwany na cześć słynnego byka, który spłodził setki potomków. Odlano mu nawet pomnik z brązu, który umieszczono na cokole i ustawiono na rynku we wsi.

Przerywam Belle jej wywód o smutku. Ona zna życie jak turyści wieś: potrafią tylko znaleźć mroczne zaułki i miejsca, gdzie obcym wstęp wzbroniony. Mówię:

– Połóż się na Dirku.

Belle bez zbędnych pytań wspina się na fantomową krowę. Ja siadam na czarnym skórzanym krzesełku pod nią. Pokrywa z sierści jest pusta od środka i przymocowano tam dla wzmocnienia rurkę. Po obu stronach majtają się nogi Belle, noski jej tenisówek All Stars są całe w błocie, sznurówki zszarzały.

– A teraz ruszaj biodrami, tak jakbyś jechała konno.

Belle zaczyna się ruszać. Wychylam się z boku i patrzę. Uchwyciła się sierści, żeby się lepiej trzymać.

– Szybciej.

Przyspiesza. Dirk IV zaczyna piszczeć. Po kilku minutach Belle przestaje i mówi zdyszana:

– To nudne, jestem zmęczona.

Przesuwam krzesełko, żeby siedzieć dokładnie pod jej biodrami. Mogę się jeszcze przesunąć o cztery dziurki.

– Pokażę ci coś fascynującego – mówię.

– Zawsze tak mówisz, ale to jest nudne jak flaki z olejem.

– Zaczekaj chwilę. Udawaj, że krowa to Tom. Potrafisz to.

– I co?

– Znów się ruszaj.

– Ale co ma się stać?

– W końcu zobaczysz wspaniałe kolory, które wciąż się zmieniają, jak w Fireballs, i znajdziesz się po tamtej stronie mostu, gdzie nie ma smutku, bo żyją wciąż twoje gupiki, i gdzie ty rządzisz.

Belle zamyka oczy. Zaczyna się poruszać tam i z powrotem. Jej policzki czerwienieją coraz bardziej, usta wilgotnieją od śliny. Odchylam się i opieram w krzesełku. Może powinnam zrobić prezentację przed ojcem i matką. Mówiłabym o ropuchach i wyjaśniła, jak mają się parzyć, ważne jest, żeby to matka położyła się na ojcu, jej plecy są takie kruche jak ciasteczko migdałowe. I że to jedyny sposób, by matka zaczęła jeść i żeby ojciec miał znów jakiś punkt zaczepienia. Moglibyśmy nawet zorganizować migrację ropuch w gospodarstwie. Ojca dalibyśmy na jedną stronę pokoju, a matkę na drugą i musieliby obok siebie przechodzić. Możemy też napełnić wannę, żeby mogli sobie razem popływać, jak wtedy, gdy kupiliśmy nową wannę w kolorze miętowej zieleni – to było dwa dni przed tamtym grudniowym dniem – a ojciec i matka weszli do niej oboje.

– Teraz pluskają się nago – powiedział Matthies i chichotaliśmy, wyobrażając sobie dwa jabłka w cieście we frytkownicy.

Wyszliby z niej upieczeni na złoto, w ręcznikach jak w serwetkach wokół pasa.

Zawiasy sztucznej krowy piszczą coraz głośniej. Ojciec jest dumny z Dirka IV. Po wszystkim zawsze dawał mu klapsa w sztuczny bok. Nagle pali mnie w gardle. Oczy też mnie pieką. Pierwszy śnieg w tym roku pada wcześnie, opada też na moje serce, jest mi coraz ciężej.

– Nie widzę kolorów.

Gramolę się z krzesełka i staję obok Belle. Nadal ma zamknięte oczy. Szybko zakładam zielony przeciwdeszczowy płaszcz ojca, który wisiał na krześle koło zlewu. Nagle otwierają się drzwi i zagląda Obbe. Zerka to na mnie, to na Belle. Wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

– W co się bawicie? – pyta.

– W głupią zabawę – odpowiada Belle.

– Spadaj – mówię.

Obbe nie może się z nami bawić, bo znów zrobi coś podłego. Nie można mu ufać, tak jak pogodzie u nas na wsi. Pod nosem ma jeszcze krew od upadku w kuchni.

Jakoś mi go żal. Chociaż coraz mniej, od kiedy przeklina, a poza tym często podprowadza jedzenie i podkrada z puszki na kominku pieniądze na wakacyjny wyjazd, więc szanse na miejsce na campingu są zerowe, tak samo na posag dla ojca, teraz starczy co najwyżej na opiekacz do chleba i suszarkę na pranie. Któregoś dnia jeszcze ukradnie ojcu i matce serca, a potem wykopie dla nich dołek na pastwisku, tak jak jeden z tych włóczących się kotów ze złapanym kormoranem w pysku.

– Znam jedną fajną zabawę – mówi.

– Nie bawisz się z nami.

– Bo Budrysówka wymyśla tylko nudne rzeczy.

– Widzisz, Belle mi pozwala – mówi Obbe i sięga do szafki nad zlewem po pudełko łusek Alpha i srebrne pistolety inseminacyjne: wrzecionowate pręciki z pokolorowanymi końcówkami. Używa się ich do inseminacji krów, które nie chcą zajść w ciążę. Obbe podaje mi parę niebieskich rękawic. Kiedy nie mam ochoty na niego patrzeć, zerkam na szczecinę na jego brodzie. W dotyku jest jak nasiona kminku, które matka czasem miesza z twarogiem. Obbe od kilku dni się nie golił. Śledzę w napięciu wszystkie jego ruchy.

– Będziesz moją asystentką – mówi.

Znów kłapią drzwiczki od szafki. Tym razem wyjmuje z niej buteleczkę z jakimś płynem. Smaruje tym pistolet. „Żel do lubrykacji" napisano na etykiecie.

– Teraz musisz ściągnąć spodnie i położyć się na brzuchu na krowie.

Belle bez protestów wykonuje polecenia. Nagle zdaję sobie sprawę, że ostatnio mało mówi o Tomie, a więcej o moim bracie. Chce znać jego hobby, ulubione potrawy, czy mu się podobają blondynki, czy brunetki i tak dalej. Nie chcę, żeby Obbe jej dotykał. Załóżmy, że akwarium pęknie, co wtedy zrobimy? Kiedy Belle leży na Dirku IV, ja mam rozchylić jej pośladki. Jej pupa otwiera się jak szkolny piórnik.

– Ale nie będzie bolało? – pyta Belle.

– Nie lękaj się – odpowiadam z uśmiechem. – Wyście więcej warci niż wiele wróbli.

To z Łukasza, babcia kiedyś tak do mnie powiedziała, kiedy przyjechałam do niej nocować i bałam się, że umrę we śnie. Obbe staje na odwróconym wiadrze, żeby być bliżej, skierowuje pistolet między pośladki Belle i bez ostrzeżenia wpycha zimne żelazo do środka. Belle ryczy jak ranne zwierzę. Ze strachu puszczam jej pośladki.

– Leż – mówi Obbe – bo będzie jeszcze bardziej boleć.

Łzy płyną jej strumieniami po policzkach, cała drży. Gorączkowo myślę o cieknącym piórze. Pani w szkole powiedziała, że powinnam je zostawić na noc w zimnej wodzie, a następnego dnia przepłukać i przedmuchać na sucho. Czy powinnam Belle położyć w zimnej wodzie? Obbe patrzy na mnie wystraszony i wskazuje głową beczkę w kącie, gdzie w azocie przechowuje się rurki ze spermą byków. Ojciec zapomniał zamknąć beczkę. Podejrzewam, że Obbe ma ten sam pomysł: przepłukać. Odkręcam, wyciągam rurkę i podaję Obbemu. Pistolet tkwi nadal między pośladkami Belle.

– Jesteś najlepszą asystentką na świecie.

Lody zostały przełamane. To, co robimy, jest dobre. Czasem trzeba złożyć ofiarę, która jest mniej przyjemna. Bóg przecież prosił Abrahama, żeby ofiarował Izaaka, a on koniec końców ofiarował zwierzę, więc i my musimy próbować różnych rzeczy, zanim Bóg zadowoli się naszymi usiłowaniami, by spotkać śmierć, i zostawi nas w spokoju.

Obbe wsuwa teraz rurkę do pistoletu. Mamy tyle możliwości, a mimo wszystko robimy to, nie wiedząc, że azot spali jej skórę. Czuję w nogach ciężar tchórzostwa, kiedy wybiegam z szopy nasiennej, a Obbe za mną. Każde ucieka w inną stronę.

– I nie wódź nas na pokuszenie, ale zbaw nas ode złego – szepczę pod nosem i dostrzegam Hannę, która opiera rower o ścianę.

Do bagażnika przymocowała gumami poduszkę. W ręku ma walizeczkę z rzeczami na nocleg. Gdy dłużej nie jeździ do babci, walizeczka wypełnia się rybikami. Rozgniatamy je między palcem wskazującym a kciukiem i ścieramy na proch, który zdmuchujemy potem z palców.

– Chodź ze mną – mówię i biegnę przed nią w stronę beli siana złożonych za szopą z królikami.

Wpełzamy między kilka beli, żeby zejść z oczu ojcu, wronom i Bogu.

– Obejmiesz mnie? – pytam.

Staram się nie płakać po wrzasku Belle, który wciąż mi brzmi w uszach, nadal widzę jej wybałuszone oczy, jak pękające słoje z rybkami wypełnione do połowy.

– Dlaczego? Co się stało?

Hanna patrzy na mnie z troską.

– Cała drżysz.

– Bo… bo chyba wybuchnę – mówię. – Jak ta kura ojca, która miała za duże jajko i w połowie utknęło jej w tyłku. Gdyby ojciec jej nie zabił, wybuchłaby, a wnętrzności poleciałyby na wszystkie strony. Ja też zaraz wybuchnę.

– Ach tak, tamto biedne zwierzę – mówi Hanna.

– Ja też jestem biednym zwierzęciem. Przytulisz mnie teraz?

– Przytulę.

– Wiesz co? – mówię, wetknąwszy nos w jej włosy pachnące szamponem Zwitsala. – Chcę dorosnąć, ale nie tak, żeby moje ramiona rosły ze mną. Teraz dokładnie do nich pasujesz.

Hanna milczy przez chwilę, a potem mówi:

– Kiedy będą za duże, wtedy po prostu okręcę je wokół siebie dwa razy, tak jak zimowy szalik.

# 7

Tej nocy przyśniła mi się Belle. Byłyśmy w lesie na skraju wioski, nieopodal przeprawy promowej, i bawiłyśmy się w polowanie na lisy. Nie wiem dlaczego, ale Belle miała na sobie niedzielny płaszcz matki, jej niedzielny kapelusik z jakąś gazą dookoła i z czarną kokardą z boku. Dół płaszcza ciągnął się po ziemi, więc poprzyczepiały się do niego gałązki i szeleścił. Dopiero wtedy spostrzegłam, że Belle i lis zlali się w jedną postać, była trochę człowiekiem, a trochę zwierzęciem. Szłyśmy coraz głębiej w las, aż w końcu zabłądziłyśmy wśród wysokich, cienkich drzew, które w ciemności wyglądały jak zzuwadło. I wszędzie pojawiała się Belle o brunatnym ciele lisa.

– Jesteś lisem? – zapytałam.

– Tak, głupia – odpowiedziała. – Spadaj, zanim cię połknę jak świeżego kurczaka.

Brodę miała wyniośle zadartą, włosy odrzuciła do tyłu.

– Teraz zadam ci jedno pytanie, a jak nie odpowiesz, będziesz rzygać albo zacznie ci się biegunka i umrzesz.

Nagle jej nos i uszy stały się spiczaste. Wszystko, co jest spiczaste i ostre, ma dodatkową wartość: ostre zęby, by gryźć jedzenie, szpica w ataku piłkarskim, szczyt w ruchu drogowym. Ciało lisa jej pasuje. Za każdym razem, kiedy robi krok do przodu, ja cofam się o krok. Spodziewam się, że lada moment może zacząć przeraźliwie wrzeszczeć, jak w szopie do krycia krów, że rozewrze oczy jak szczupak, który wisi na haku. Bezbronnie.

– Czy twój brat naprawdę spotkał śmierć, czy to śmierć jest twoim bratem? – zadaje w końcu pytanie.

Kręcę głową i spoglądam na noski butów.

– Śmierć nie ma rodziny, dlatego szuka wciąż nowego ciała, żeby nie czuć się samotnie, a kiedy ono już idzie pod ziemię, szuka dalej.

Belle wyciąga rękę i we śnie słyszę nagle słowa pastora:

– Jedynym sposobem, by wyeliminować nieprzyjaciela, to uczynić z niego przyjaciela.

Oglądam się za siebie, łapię haust świeżego powietrza, w którym nie będzie chorobotwórczych zarazków, i pytam:

– A co się stanie, jeśli podam ci rękę?

Belle podchodzi coraz bliżej, pachnie spalonym ciałem. Pośladki ma oklejone plastrami Hansy.

– Wtedy szybko cię zjem.

– A jeśli nie podam ci ręki?

– Wtedy zjem cię bardzo powoli, żeby bardziej bolało.

Próbuję od niej uciec, ale rozjeżdżają mi się nogi pod ciężarem własnego ciała, gumowce nagle zrobiły się na mnie za duże.

– Czy wiesz, ile małych gryzoni, nornikowatych karczowników w brzuchu lisa sprawia, że nie musi już zgłębiać własnej pustki?

Kiedy w końcu udało mi się od niej uciec, zawołała za mną głosem z wbudowanym efektem echa, jak do zabawy w chowanego.

– Kochany karczowniku, karczowniku, karczowniku.

# 8

Ojciec mruży oczy, żeby ocenić, jak wysoko powinny zawisnąć posrebrzane panczeny. W ustach ściska trzy śruby, w razie gdyby jedna upadła na podłogę, a w dłoni trzyma wiertarkę. Matka wilgotnymi oczami przygląda się temu z pewnej odległości; wąż odkurzacza w pogotowiu. Patrzę na białą bluzkę, którą widać, bo rozwiązał się jej pasek od szlafroka, przez cienki materiał dostrzegam obwisłe piersi. Przypominają dwie bezy, Obbe czasem takie robi, a potem pakuje po cztery sztuki do woreczków na mrożonki i sprzedaje w szkole na dziedzińcu. Ale białko jest za stare i za rzadkie, więc bezy wychodzą zwiotczałe. Ojciec schodzi z kuchennej drabinki, a matka wyłącza odkurzacz, dzięki czemu cisza również zostaje posrebrzona.

– Krzywo wiszą – mówi potem matka.

– Skądże – odpowiada ojciec.

– Owszem, sam popatrz, stąd widać, że wiszą krzywo.

– No to tam nie stawaj. Krzywo nie istnieje, z każdej perspektywy będą wisieć inaczej.

Matka mocniej zaciska pasek od szlafroka i wymaszerowuje z dużego pokoju, ciągnąc odkurzacz za wąż – będzie za nią podążać po domu przez cały dzień, jak posłuszny pies. Czasem jestem zazdrosna o tego brzydkiego, niebieskiego potwora, z którym chyba łączy ją więcej niż z własnymi dziećmi. Obserwuję potem pod koniec tygodnia, z jaką miłością oczyszcza mu brzuch i jak czule zakłada nowy worek, jakby przewijała dziecko. Tymczasem mój brzuch zaraz wybuchnie.

Patrzę na panczeny. W środku są wyłożone czerwonym aksamitem. Faktycznie wiszą krzywo. Ale nic nie mówię. Ojciec usiadł na sofie i patrzy przed siebie, na ramionach ma trochę tynku. W rękach nadal trzyma wiertarkę.

– Wyglądasz jak strach na wróble, tato – mówi Obbe zaczepnie.

Słyszałam, że brat wrócił dziś w nocy dopiero koło piątej. Czekałam z bijącym sercem, analizując każdy dźwięk: kroczył slalomem, macał ściany i zapomniał o skrzypiących stopniach, szóstym i dwunastym. Słyszałam, jak czkał, a potem wymiotował do muszli klozetowej. To była już któraś taka noc z rzędu. Za każdym razem piżamę miałam mokrą od potu. Ojciec uważa, że wymioty to zaległy grzech, którego ciało musi się pozbyć. Wiedziałam, że Obbe popełnił wiele błędów, zabijając zwierzęta, ale nie mogłam pojąć, co zrobił nie tak, idąc na wiejską zabawę. Wiedziałam, że wsadzał język w usta coraz to innej dziewczyny. Widziałam z okna mojego pokoju, jak stał w świetle lampy nad oborą, jakby był Jezusem, otoczony niebiańskim żarem, wtedy i ja za każdym razem przyciskałam sobie usta do przedramienia, dociskałam język do spoconej skóry i robiłam kółka. Smakowało słono. Następnego dnia nie rozmawiałam dużo z Obbem, żeby nie złapać od niego bakterii i żeby też potem nie wymiotować. Przypominało mi się, jak pierwszy i ostatni raz wymiotowałam, wtedy jeszcze żył Matthies.

To było w środę, jakieś osiem lat temu; poszłam z ojcem do wsi po chleb do piekarza. Na drogę powrotną dostałam od niego bułkę z rodzynkami, ekstra dużą. Była wspaniale świeża, bez niebiesko-białych plamek. Kiedy przyszliśmy do babci, której zawsze przynosiliśmy chleb w worku po paszy, dostałam nudności. Weszliśmy od tyłu, bo drzwi od frontu były raczej dla ozdoby, i tam w ogrodzie warzywnym wyrzygałam się na ziemię; rodzynki pływały w brązowej kałuży jak napęczniałe żuki. To było w miejscu, gdzie babcia posiała marchewkę. Ojciec gumowcem pospiesznie nasunął na to wszystko warstewkę ziemi. Kiedy wykopano dojrzałą marchewkę, spodziewałam się, że babcia z mojej winy w każdej chwili może się rozchorować i umrzeć. Wtedy jeszcze się nie bałam, że sama mogę od tego umrzeć, to przyszło później, jak Matthies nie wrócił, wówczas wypadek w ogrodzie otrzymał więcej wersji – według najgorszej cudem uniknęłam śmierci. A może, zaczęłam się nagle zastanawiać, to dziewczyny wpychały Obbemu język tak głęboko, że aż musiał zwymiotować, gdy za głęboko włoży się szczoteczkę do zębów, też chce się rzygać. Ojciec i matka nie zapytali go, gdzie się podziewał, ani dlaczego śmierdział piwem i papierosami.

– Pojeździmy na rowerze? – szepczę do Hanny, która siedzi za sofą i rysuje.

Żadna z jej lalek nie ma tułowia, tylko głowę, my też jesteśmy nastawione tylko na to, w jakim nastroju są inni. Lalki patrzą smutno lub ze złością. Hanna ściska pod pachą walizeczkę, którą zabiera ze sobą, gdy nocuje poza domem. Odkąd wróciła od babci, cały czas nosi się z tą walizeczką, jakby chciała mieć w każdej chwili możliwość ucieczki. Nie możemy jej dotknąć ani nic na ten temat powiedzieć.

– Dokąd?

– Nad jezioro.

– Co będziemy robić?

– Plan – mówię krótko.

Kiwa głową. Nadszedł czas, by plany zamienić w czyny, nie możemy tu dłużej zostać.

Hanna zakłada wiatrówkę, która wisi w przedpokoju na niebieskim haczyku. Obbe ma żółty, ja zielony. Obok mojego jest jeszcze czerwony. Tam brakuje nie tylko kurtki, ale też ciała, które powinno ją nosić. Płaszcze ojca i matki wiszą na drewnianych wieszakach, powyginanych już od wilgoci, która zalega za kołnierzami po każdej burzy.

Nagle przypomniało mi się, jak ojciec kiedyś złapał mnie za kaptur. Matthies nie żył dopiero od kilku tygodni. Spytałam ojca, dlaczego nie wolno nam o nim mówić i czy może wie, czy mają w niebie bibliotekę, gdzie można wypożyczać książki i nie płacić kary, jak się ich nie odda na czas. Matthies nie miał przy sobie pieniędzy. My bardzo często zapominamy zwrócić książki – przede wszystkim te Roalda Dahla i opowiadania z serii o Złej Czarownicy, które czytałyśmy po kryjomu, bo ojciec i matka uważają takie książki za bezbożne. Bałyśmy się potem oddać ją bibliotekarce. Nigdy nie była dla nas miła. Matthies twierdził, że obawiała się dzieci z zatłuszczonymi palcami i tych, które robią w książkach ośle uszy. A rogi zaginają tylko te dzieci, które nie mają prawdziwego domu, miejsca, gdzie zawsze mogą wrócić, dlatego muszą zaznaczać je oślimi uszami; potem i ja zaczęłam tak robić. Chociaż to były raczej mysie uszka. Kiedy zadałam ojcu to pytanie, chwycił mnie za kaptur,

podniósł i zawiesił na czerwonym haczyku. Majtałam nogami z całych sił, ale nie mogłam się uwolnić. Ziemia usunęła mi się spod nóg.

– Kto zadaje tutaj pytania? – odezwał się.

– Ojciec – odparłam.

– Błąd. To Bóg.

Zaczęłam intensywnie myśleć. Czy Bóg zadał mi kiedyś jakieś pytanie? Nie mogłam sobie przypomnieć. Za to obmyśliłam wiele odpowiedzi na ewentualne pytania, które ludzie kiedyś mogliby mi zadać. Może przez to nie słyszałam Boga – kiedy matka za głośno nastawiła „Muzyczny Kosz Owoców", też nie słyszała, jak męczyliśmy ją o słodycze.

– Będziesz tu wisieć, dopóki Matthies nie wróci.

– A kiedy on wróci?

– Jak stopami dosięgniesz do ziemi.

Spojrzałam w dół. Z dotychczasowych doświadczeń rośnięcia wiedziałam, że trochę to może potrwać. Ojciec udał, że odchodzi, ale wrócił po kilku sekundach, suwak od kurtki kłuł mnie boleśnie w szyję i trudno mi było oddychać. Postawił mnie na ziemi i od tamtej pory już nigdy nie spytałam o brata. Specjalnie zapracowałam sobie na karę w bibliotece, a czasem nawet czytałam na głos opowiadania pod kołdrą w nadziei, że Matthies usłyszy je w niebie, i kończyłam hashtagiem, tak samo robiłam, gdy nagrywałam wiadomość dla Belle o ważnym sprawdzianie.

Jadę na rowerze po wale przeciwpowodziowym za Hanną, walizeczkę przymocowała gumami do bagażnika. W połowie drogi mijamy sąsiadkę Lien. Staram się nie patrzeć na jej synka, który siedzi za nią z tyłu, chociaż już wiem, że nie jestem pedofilem. Kocham aniołki, niezależnie od tego, czy są starsze, czy młodsze, a synek Lien przez te blond loki ma coś z aniołka. Ale, jak mawia babcia, okazja czyni złodzieja – to jak z kotem i szpyrką. Babcia nie ma w domu ani kota, ani słoniny, ale mogę sobie wyobrazić, że ta dwójka nie byłaby dobraną parą. Sąsiadka Lien pozdrawia nas już z daleka. Patrzy zatroskana. Musimy się teraz radośnie uśmiechać, to nie będzie nas o nic pytać, ani ojca czy matki.

– Udawaj, że jesteś radosna – mówię cicho do Hanny.

– Już zapomniałam, jak to jest.

– Jak do szkolnej fotografii.

– Aha.

Hanna i ja uśmiechamy się najszerszym uśmiechem, od ucha do ucha. Mijamy sąsiadkę Lien bez trudnych pytań. Odwracam się na chwilę, patrzę na plecy jej synka. Nagle widzę go przed oczami, jak majta się na sznurze na strychu, aniołki trzeba zawsze powiesić, żeby obracały się wokół własnej osi i wszystkim dookoła mogły dawać takie samo wsparcie. Mrugam kilka razy, żeby pozbyć się tego okropnego obrazu, i myślę o słowach, które pastor Renkema powiedział ostatniej niedzieli podczas nabożeństwa, chodziło o Psalm 51: „Zło w nas nie pochodzi z zewnątrz, lecz z wnętrza. Tam tkwi nasza ułomność. Celnik w świątyni bił się w piersi i się modlił. Bił się we własne piersi, jakby chciał wskazać: tu jest źródło wszelkiego zła".

Przyciskam pięść do piersi tak mocno, że całe ciało mi się napina i zaczynam jechać zygzakiem, a w duchu mówię: „Wybacz mi, Boże".

Po chwili z powrotem kładę ręce na kierownicy, żeby dać dobry przykład Hannie. Nie wolno jej jeździć bez trzymanki. Jeśli tak zrobi, przywołam ją do porządku, tak jak przy każdym aucie, które chce nas wyprzedzić, wołam: „Auto!" albo: „Traktor!". I żeby była skupiona, zaczynam jechać obok niej i opowiadam jej dowcip, który znam od Obbego:

– Dlaczego Hitler popełnił samobójstwo?

Hanna unosi brwi.

– Czy ja wiem...

– Bo nie był w stanie zapłacić rachunku za gaz.

Hanna się śmieje, widać przerwę między górnymi zębami, jak między redlicami w sadzarce. Przez moment czuję, że do mojej napiętej klatki piersiowej napływa więcej powietrza. Czasem wydaje mi się, że siedzi na niej olbrzym, a kiedy nocą wstrzymuję oddech, żeby zbliżyć się do Matthiesa, spogląda na mnie od strony biurka oczami tak wielkimi jak u młodego cielaka. Dopinguje mnie i mówi:

– Trzeba dłużej, dłużej.

Czasem myślę, że Wielki Przyjazny Olbrzym uciekł z mojej książki, gdy kiedyś zostawiłam ją na nocnym stoliku otwartą i zasnęłam. Tylko że ten

olbrzym wcale nie jest przyjazny, raczej zły i namolny. Nie ma skrzeli, a potrafi wstrzymać oddech na bardzo długo, czasem na całą noc.

Przy moście rzucamy nasze rowery na pobocze. Na początku balustrady jest drewniana tablica z napisem: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć". To z Piotra. W trawie leży puste opakowanie po gumie do żucia. Ktoś zapragnął zjawić się po tamtej stronie ze świeżym oddechem. Jezioro jest spokojne, jak twarz świętoszka, na której nie sposób dostrzec śladów kłamstwa. Przy brzegach leży już cienka warstewka lodu. Rzucam na nią kamyk. Upadł i został na lodzie. Hanna staje na kei. Stawia walizeczkę obok siebie, przykłada dłoń do czoła jak daszek i wpatruje się w tamtą stronę.

– Wygląda na to, że chowają się w knajpach.

– Kto? – pytam.

– Mężczyźni. A wiesz, co lubią?

Nie odpowiadam. Z tyłu moja siostra nie wygląda na moją siostrę, ale na kogoś, kto mógłby uchodzić za każdą inną osobę – jej ciemne włosy robią się coraz dłuższe. Podejrzewam, że zapuściła je specjalnie, żeby matka każdego dnia zaplatała jej warkocz. Moje włosy są inne, od razu same się układają.

– Gumę do żucia, która nie traci smaku.

– Ale to niemożliwe – mówię.

– Musisz zawsze być słodka, zawsze słodka.

– Może powinni mniej żuć.

– Tak czy siak, nie wolno ci się lepić.

– U mnie smak bardzo szybko znika.

– Przeżuwasz jak krowa.

Myślę o matce. Każdego dnia tyle razy porusza szczękami, że chyba można mówić o podwyższonym napięciu, a podwyższone napięcie to powód do skoku z silosu albo do zbicia termometru, którym matka mierzy temperaturę sera, i do zażycia rtęci – ojciec od dziecka ostrzegał nas przed rtęcią, to byłaby szybka śmierć, mówił. Nauczyłam się wtedy, że można umierać wolno i szybko i że obie śmierci mają swoje zalety i wady.

Staję za Hanną i przykładam głowę do jej wiatrówki. Oddycha spokojnie.

– Kiedy ruszamy? – pyta.

Zimny wiatr przewiewa moją kurtkę na wylot. Drżę.

– Jutro po podwieczorku.

Hanna nie odpowiada.

– Weterynarz powiedział, że jestem już kompletna – mówię na to.

– A co on o tym wie? Widzi tylko kompletne zwierzęta, niekompletne dostają zastrzyk.

W głosie Hanny pobrzmiewa gorycz. Czyżby była zazdrosna?

Kładę dłonie na jej biodrach. Jedno pchnięcie i wleci do wody. Mogłabym wtedy zobaczyć, jak to było, kiedy Matthies wpadł pod wodę i jak to w ogóle mogło się zdarzyć.

I robię to. Spycham ją z kei i patrzę, jak ginie pod wodą i wypływa, prychając, oczy ma wielkie ze strachu jak dwa czarne spławiki. Wołam ją po imieniu:

– Hanna, Hanna, Hanna!

Ale wiatr rozbija mój krzyk o keję. Klękam przy brzegu, żeby wyciągnąć ją za ramię. Potem nic nie jest już takie samo. Kładę się na niej całym ciężarem i powtarzam:

– Nie umieraj, nie umieraj.

Dopiero kiedy zegar na wieży kościoła bije pięć razy, ostrożnie wstajemy. Zewsząd ścieka jej woda. Biorę ją za rękę i trzymam mocno, ściskam, jakby była ściereczką do naczyń. Jesteśmy tak puste jak puszka po ciastkach z królową Beatrix na wieczku, którą kiedyś wygraliśmy na loterii pocztowej: nikt nie jest w stanie na nowo nas wypełnić. Hanna drży tak mocno jak rękaw wiatrowskazu przy moście, czerwony w białe paski. Nie wiem, jak się jeździ na rowerze, jak dotrzemy do domu. Nie wiem, dokąd mamy jechać, z Ziemi Obiecanej po tamtej stronie nagle zrobiła się szara widokówka.

– Pośliznęłam się – mówi Hanna.

Kręcę głową, przykładam pięści do skroni, kostki wciskam w skórę.

– Owszem – mówi Hanna – taka jest opowieść.

# 9

Tej nocy znów śniłam jakby w gorączce, tym razem o mojej małej siostrze. Jeździła na łyżwach po jeziorze z rękoma założonymi na plecach, przed sobą wydmuchiwała obłoczki. Pastor Renkema zaparkował swojego volkswagena od strony rowu, reflektory skierowane były na lód. Krąg światła wytyczał dokładnie, jak duże kółka mogła robić Hanna. Renkema w czarnej todze usiadł na masce samochodu, na kolanach miał Biblię. Wokół wszystko było białe od śniegu i lodu.

Nagle reflektory drgnęły i powoli skierowały się na mnie. Nie byłam człowiekiem, byłam składanym krzesełkiem, które porzucone stało przy pomoście. Nikt nie potrzebował wesprzeć się o mnie na lodzie. W nogach czułam chłód, brakowało mi czyichś dłoni na oparciu. Za każdym razem, kiedy Hanna przejeżdżała obok i słyszałam, jak jej łyżwy szorują o lód, chciałam do niej krzyknąć. Ale krzesła nie mogą krzyczeć. Chciałam ją ostrzec przed zdradliwymi miejscami, gdzie wiatr wywiał lód, lecz krzesła nie mogą ostrzegać. Chciałam ją złapać, przycisnąć do oparcia, wziąć na kolana. Przy każdym kółku moja mała siostra spoglądała na mnie przez moment. Miała czerwony nos i nauszniki ojca, które zakładamy, kiedy tęsknimy za dotykiem jego dłoni na naszych zmarzniętych głowach. Chciałam jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham – tak bardzo, że moje plecy, oparcie, pałały, a drewno robiło się ciepłe, jakbym cały dzień przyjmowała gości. Ale krzesła nie potrafią powiedzieć, jak bardzo kogoś kochają. I nikt nie wiedział, że to byłam ja: Budrysówka w przebraniu składanego krzesełka. Nieco dalej sunęło kilka łysek. Uspokoiło mnie to, że nie załamał się pod nimi lód, chociaż moja mała siostra waży pewnie tyle co trzydzieści pięć łysek. Nagle Hanna znalazła się poza kręgiem światła i powoli zaczęłam tracić ją z oczu. Renkema zaczął trąbić, błyskać światłami. Żółta wełniana czapka siostrzyczki z wolna zapadała się w wodzie jak zachodzące słońce. Nie chciałam, by i ona się zapadła. Chciałam wwiercić się w nią jak bolec do przebijania lodu, przykuć do niej. Chciałam ją

ratować. Ale krzesła nie potrafią ratować. Mogą jedynie milczeć i czekać, aż ktoś na nich usiądzie, by odpocząć.

# 10

– Tam, gdzie z ziemi wystają gałązki, są kretołapki – mówi ojciec i podaje mi szpiczasty szpadel.

Chwytam za stylisko. Żal mi kretów, kiedy tak w ciemnościach wpadają w pułapkę. Jestem jak one: za dnia wszystko robi się coraz czarniejsze, o zmierzchu nie widzę swoich dłoni – oczy mam osadzone głęboko, tak samo jak te puszyste ssaki. Ja też rozgrzebuję wszystko wokół siebie, wykopuję to, co ukryliśmy pod darnią. Dziś na przykład pstryknęłam kulę ziemską na stoliku nocnym i był tylko błysk, a potem zrobiło się ciemno jak w grobie. Znów nacisnęłam przełącznik, ale nic się nie wydarzyło. Przez moment zdawało mi się, że z kuli ziemskiej wypłynął ocean – piżama była przemoknięta i pachniała sikami. Wstrzymałam oddech, myśląc o Matthiesie. Czterdzieści sekund. Potem znów nabrałam powietrza i odkręciłam glob. Żarówka była jeszcze dobra. Oto ciemność, ostatnia plaga, pomyślałam. A więc to już wszystkie. Szybko odrzuciłam tę myśl. Nie bez powodu pani powiedziała ojcu i matce na wywiadówce, że mam bujną fantazję, że buduję wokół siebie świat z klocków Lego: łatwiej jest go złożyć i rozłożyć, to ja ustalam, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Powiedziała też, że w ubiegłym tygodniu pokazałam przy wejściu hitlerowskie pozdrowienie – faktycznie wyciągnęłam rękę, tak jak polecił mi Obbe, żeby pani się ze mnie śmiała, i dodałam: „Heil Hitler". Ale pani wcale się nie śmiała, tylko po szkole kazała mi za karę przepisywać zdanie: „Nie będę drwić z historii, tak jak nie drwię z Boga". A ja sobie pomyślałam: proszę pani, pani nie wie, że ja jestem po tej dobrej stronie. Że matka ukrywa Żydów w piwnicy i że oni mogą jeść słodycze, w tym Smoeltjes, ciastka w kształcie buźki, i mogą pić napoje gazowane bez ograniczeń. I że ciastka mają dwie strony: jedną z czekolady, a drugą z piernika A ja też mam dwie strony, złą i dobrą, bo jestem i Hitlerem, i Żydówką. Mokrą piżamę ściągnęłam w łazience i rozłożyłam na podłodze, bo jest podgrzewana. W czystych majtkach i kurtce usiadłam na brzegu wanny,

żeby poczekać, aż wyschnie, wtedy otworzyły się drzwi i wszedł Obbe. Spojrzał na piżamę, jakby to były zwłoki.

– Zsikałaś się, co?

Pokręciłam przecząco głową. Dłonią obejmowałam żarówkę z kuli ziemskiej. Żarówka była płaska.

– Nie, tylko woda wylała się z mojej kuli ziemskiej.

– Kłamczucha, tam nie ma wody.

– Poważnie – powiedziałam. – Jest pięć oceanów.

– To dlaczego śmierdzi tutaj sikami?

– No bo tak pachnie morze. Ryby sikają.

– Dobra już – odparł Obbe. – Czas na ofiarę.

– Jutro – obiecałam.

– Dobra, niech będzie jutro.

Raz jeszcze spojrzał na piżamę i powiedział:

– Jak nie, to powiem wszystkim w szkole, że jesteś siusiumajtką.

I zamknął za sobą drzwi.

Położyłam się na miękkim łazienkowym dywaniku i zaczęłam się poruszać, jakbym płynęła motylkiem, ale tylko pocierałam biodrami o puszysty materiał, jakby to był mój miś albo jakbym płynęła w oceanie wśród ryb.

Idę po pastwisku tuż za ojcem. Pod gumiakami oszroniona trawa wydaje się twarda jak szczecina. Od kiedy nie ma krów, ojciec codziennie chodzi sprawdzać kretołapki; w prawej ręce niesie kilka nowych, żeby wymienić te, które już się zatrzasnęły. Kiedy odrabiam lekcje, widzę go często z okna mojego pokoju, jak przemierza pole, zawsze tą samą trasą. W niektóre dni chodzą z nim matka i Obbe. Z góry pole wygląda jak plansza do *Człowieku, nie irytuj się!*, a ja czuję taką samą ulgę jak wtedy, gdy wszyscy niczym pionki wracają bezpiecznie do zagrody, do obór. Chociaż coraz trudniej przychodzi nam przebywanie razem w tym samym miejscu. Jedno pomieszczenie toleruje tylko jednego pionka, a kiedy dochodzą nowe, od razu wybucha kłótnia. W domu ojciec też zastawia swoje kretołapki. Nie ma nic do roboty, przesiaduje tylko w swoim fotelu, pali

i milczy jak wypchana czapla, dopóki nie staniemy się jego zdobyczą. Czaple lubią krety. A jeśli już się odezwie, to przepytuje ze Stanowego Przekładu Biblii. Kto stracił włosy, a wraz z nimi swą moc? Kto zamienił się w słup soli? Kogo połknął wieloryb? Kto zabił swego brata? Ile ksiąg ma Nowy Testament? Fotela, w którym pali, unikamy jak zarazy, ale czasem trzeba tamtędy przejść, na przykład przed posiłkiem, a wtedy ojciec przepytuje tak długo, aż zupa wystygnie i grzanki z chleba rozmiękną. Zła odpowiedź oznacza marsz do swojego pokoju, żeby to przemyśleć. Ojciec nie ma pojęcia, ile już mamy rzeczy do przemyślenia i że wciąż dochodzą nowe, że nasze ciała rosną i że naszych rozmyślań nie można zatrzymać miętówką, jak na nabożeństwie w zborze.

– Dawniej można było dostać guldena za krecią skórkę. Wtedy przybijałem je gwoździami do deski, żeby wyschły – mówi ojciec.

Kuca przy jednym z palików. Teraz martwymi kretami karmi czaple za oborą. A one najpierw moczą je w wodzie – suchych nie są w stanie przełknąć. Czaple połykają krety bez żucia, zupełnie jak ojciec Słowo Boże. Samo wślizguje mu się do środka.

– Tak, chłopie, tutaj trzeba patrzeć, z czego się żyje, jedno trzaśnięcie i już jesteś sztywny – szepcze ojciec, wpychając palik głębiej w ziemię.

Nic się nie złapało. Idziemy do kolejnej pułapki: znów nic. Krety najchętniej żyją samotnie. Samotnie wchodzą w mrok; w końcu i tak każdy musi sam zmierzyć się ze swoim mrokiem. W mojej głowie coraz częściej robi się ciemno jak w grobie, a u Hanny zależy to od dnia. Ona czasem wygrzebuje się na powierzchnię, a ja nie wiem, jak wyjść z tego przeklętego systemu korytarzy, gdzie na każdym zakręcie widzę ojca i matkę z ramionami jak obwisłe skrzydła, jak zardzewiałe kretołapki w szopie, które już dowiodły swej użyteczności i teraz wiszą obok obcęgów i śrubokrętów dla ozdoby.

– Za zimno dziś dla tych zwierzaków – odzywa się ojciec.

Pod nosem wisi mu kropla, a na nosie ma czerwoną szramę od gałęzi, która go drasnęła. Już od kilku dni się nie golił.

– Tak, za zimno – zgadzam się i unoszę ramiona, żeby osłonić się od wiatru.

Ojciec spogląda na paliki w dali i mówi nagle:

– We wsi o tobie gadają. O twojej kurtce.

– A co jest nie tak z moją kurtką?

– Czy tam pod spodem już rosną kretowiska? To dlatego?

Ojciec chichocze. Robię się czerwona. U Belle coś zaczyna już powoli rosnąć. Pokazała mi to w przebieralni po WF-ie, sutki miała różowe i nabrzmiałe jak dwie cukrowe pianki.

– Teraz ty – powiedziała.

Pokręciłam głową.

– Moje rosną w ciemności jak rzeżucha. Nie wolno im ot tak przeszkadzać, bo zrobią się senne i będą obwisłe.

Zrozumiała, ale pewnie niedługo zacznie się niecierpliwić. Chociaż uciszyliśmy ją z bratem na jakiś czas. Nie powiedziała swoim rodzicom o tym, co się stało, bo nie było żadnego gniewnego telefonu. Tylko w klasie między naszymi stolikami stanął teraz mur berliński z książki do historii. Od tamtego zdarzenia nie chciała ze mną rozmawiać, nie zwracała nawet uwagi na moją kolekcję mlecznych biskwitów Liga.

– Każda zdrowa dziewczyna ma kretowiska – mówi ojciec.

Podnosi się i staje przede mną. Usta ma spierzchnięte od zimna. Pospiesznie wskazuję na gałązkę w oddali.

– Wydaje mi się, że tam jest kret.

Ojciec odwraca się i patrzy tam, gdzie wskazałam. Jego blond włosy urosły, są już tak długie jak moje. Sięgają prawie do ramion. Dawniej matka posłałaby nas do fryzjera na rynku, teraz o tym nie pamięta. A może chce, żebyśmy zarośli i powoli zniknęli, tak jak dom pokryty bluszczem. Wtedy nikt nie zobaczy, jak niewiele sobą przedstawiamy.

– Czy sądzisz, że taka będziesz mogła kiedyś wziąć ślub przed Bogiem?

Ojciec wbija szpadel w ziemię. Jeden zero dla niego. Żaden chłopak z klasy na mnie nie patrzy. Pokazują mnie sobie, tylko jak się ze mnie śmieją. Wczoraj Pelle wsadził sobie rękę do spodni i wystawił przez rozporek palec wskazujący.

– Dotknij go – powiedział. – Stanął mi.

Niewiele myśląc, złapałam go za palec i ścisnęłam. Przez cienką skórę, pożółkłą od papierosów, poczułam kości. Cała klasa zaczęła wyć.

Zmieszana pobiegłam na swoje miejsce przy oknie, tymczasem śmiech stawał się coraz głośniejszy, a mur berliński drżał w posadach.

– Nigdy nie wyjdę za mąż, przeprawię się na tamtą stronę – mówię, ale myślami jestem jeszcze w klasie.

Wymsknęło mi się to, zanim się spostrzegłam. Ojciec zbladł, jakbym powiedziała słowo „golizna", a to gorsze niż sugestia, że rozmawiamy właśnie o tym, jak rosną dziewczynkom piersi.

– Ten, kto sądzi, że pewnego dnia pokona most, nigdy już nie wróci – mówi gromkim głosem.

Od razu, dzień po tym jak Matthies nie wrócił, ojciec ostrzegał nas i robił z miasta gnojownik, który odurzy i wciągnie na samo dno, jeśli tam trafisz.

– Sorry, tato – mówię szeptem. – Tak mi się tylko powiedziało.

– Wiesz, jak skończył twój brat. Chcesz tego samego?

Wyciąga szpadel z ziemi i oddala się ode mnie, teraz wiatr znów ma szansę wejść między nas. Ojciec kuca przy następnym potrzasku.

– Jutro ściągniesz tę kurtkę! Potem ją spalę i nie będziemy już więcej o tym mówić! – woła.

Nagle widzę ciało ojca w potrzasku. Umieszczamy mu przy głowie gałązkę, żeby wiedzieć, gdzie zmarł pionek, a potrzask myjemy szlauchem, który wisi nad beczką u królików. Potrząsam głową, żeby pozbyć się tego paskudnego obrazu. Nie boję się kretowisk, tylko mroku, z jakiego wyrastają.

Wracamy do zagrody bez łupu. Po drodze ojciec raz po raz uderza szpadlem w kretowiska, by zrównać je z ziemią.

– Czasem trzeba je trochę nastraszyć – odzywa się i nagle zmienia temat. – Chcesz być tak płaska jak matka?

Przypominam sobie jej piersi, obwisłe jak kościelne worki na kolektę.

– To dlatego, że nie je – mówię.

– Chudnie ze zmartwień, nie ma już miejsca na nic innego.

– A czym się martwi?

Ojciec nie odpowiada. Wiem, że ma to związek z nami. Że nigdy nie możemy zrobić czegoś normalnie, bo nawet kiedy staramy się zachowywać najnormalniej na świecie, i tak ją rozczarowujemy, jakbyśmy byli

niewłaściwego gatunku, jak ziemniaki w tym roku. Matka najpierw twierdziła, że są sypkie, a okazały się twarde. Nie mam odwagi powiedzieć mu o ropuchach pod biurkiem i o tym, że będą się parzyć. Wiem, że tak się stanie, a potem znów zaczną jeść i wszystko wróci do normy.

– Jak ściągniesz tę kurtkę, matka sama z siebie zacznie przybierać na wadze.

Ojciec patrzy na mnie z boku. Usiłuje się uśmiechnąć, ale kąciki ust jakby mu zamarzły. Przez chwilę czuję się dorosła. Dorośli śmieją się z siebie nawzajem i wszystko rozumieją, nawet jeśli nie rozumieją samych siebie. Kładę dłoń na zamku błyskawicznym kurtki. Kiedy ojciec nie patrzy, drugą ręką wydłubuję gila z nosa i wkładam do buzi.

– Nie mogę ściągnąć kurtki, bo wtedy się rozchoruję.

– Chcesz, żebyśmy wyszli na idiotów? Wpędzisz nas do grobu tym swoim cudacznym zachowaniem. Jutro ją ściągniesz.

Idę wolniej, żeby patrzeć na ojca z daleka. Ma czerwoną kurtkę i myśliwską torbę przewieszoną przez ramię. Nie ma tam zdobyczy, to znaczy kretów. Trawa chrzęści mu pod stopami.

– Nie chcę, żebyście umarli! – krzyczę pod wiatr.

Ojciec tego nie słyszy. Pułapki na krety, które trzyma w ręku, delikatnie stukają na wietrze jedna o drugą.

# 11

Głowy ropuch sterczą na wodzie jak brukselki, które wypłynęły na powierzchnię. Tę bardziej pulchną wciskam palcem delikatnie pod wodę – nalałam wody do garnuszka na mleko, który ukradkiem zabrałam z kuchni – ale znów wypływa. Są za słabe, by pływać, ale dryfowanie wychodzi im nieźle.

– Jeszcze tylko dzień i wyjedziemy na zawsze – mówię do nich, wyjmuję je z wody i skarpetą w czerwone paski wycieram do sucha ich pofałdowaną skórę.

Z dołu słychać krzyki matki. Kłóci się z ojcem, bo jeden z ich dawnych kupców mleka złożył skargę w zborze. Tym razem nie chodziło o mleko, że było za blade lub za wodniste, tylko o nas, o trzech króli. Przede wszystkim ja wyglądam blado i mam wodniste oczy. Matka powiedziała, że to wina ojca, bo nie poświęca nam uwagi, a ojciec powiedział, że to wina matki, bo nie poświęca nam uwagi. Potem zaczęli sobie nawzajem grozić, że odejdą, ale okazało się, że nie mogą tego zrobić naraz: bo uciec może tylko jedno, tylko nad jednym można płakać i tylko jedno może później wrócić i zachowywać się jakby nigdy nic. Teraz kłócą się o to, kto odejdzie. Mam cichą nadzieję, że to będzie ojciec, bo on na ogół wraca na podwieczorek. Bez kawy boli go głowa. A matka to nie wiem: jej nie można zwabić smakołykami czy innymi produktami spożywczymi, ją trzeba błagać i rzucić na szalę wszystkie nasze słabe strony. Wygląda na to, że się od siebie coraz bardziej oddalają, tak jak w niedzielę, kiedy jadą na rowerach wałem przeciwpowodziowym do zboru, a matka pedałuje coraz szybciej i ojciec musi za nią nadążać. I tak samo jest w ich kłótniach: to ojciec musi je rozwiązywać.

– Jutro ściągną ze mnie kurtkę – szepczę.

Ropuchy mrugają nerwowo, jakby ta wiadomość je przeraziła.

– Myślę, że jestem jak Samson, ale moja siła nie tkwi we włosach, tylko w kurtce. Bez kurtki stanę się niewolnicą śmierci. Rozumiecie?

Wstaję i chowam mokrą skarpetę pod łóżko, gdzie leżą już mokre majtki, potem wkładam ropuchy do kieszeni kurtki i idę do pokoju Hanny. Drzwi są jak zwykle uchylone. Leży plecami do mnie. Wchodzę do środka, wsuwam rękę pod jej koszulę nocną i przykładam do gołych pleców. Od razu dostaje gęsiej skórki, w dotyku jest jak płytka konstrukcyjna do klocków Lego, mogłabym się z nią połączyć na zawsze. Odwraca się rozespana. Opowiadam jej o kretach i o kurtce, którą ojciec każe mi ściągnąć. O kłótni, o groźbie odejścia, nieustannej groźbie odejścia.

– Zostaniemy sierotami – mówię.

Hanna słucha mnie tylko połowicznie. Widzę po jej oczach, że myślami jest gdzie indziej. Denerwuje mnie to. Zwykle kiedy spędzamy czas razem, chodzimy wokół podwórza i myślimy nad rozwiązaniami, fantazjujemy o lepszym życiu i zachowujemy się tak, jakby świat był grą w Simsy.

– Pułapka na krety czy połknięcie rtęci z termometru?

Hanna nie odpowiada. Latarką świeci mi w twarz, zakrywam ręką oczy. Czy nie widzi, że dzieje się z nami coś niedobrego? Że powoli odpływamy na liściu lilii od ojca i matki, zamiast do nich płynąć? Że śmierć weszła nie tylko w ojca i matkę, ale utkwiła też w nas, że już zawsze będzie sobie szukać ciała lub zwierzęcia i nie spocznie, dopóki czegoś nie dostanie. Że równie dobrze możemy wybrać inne zakończenie, inne niż w książkach, które znamy.

– Wczoraj słyszałam, że można fantazjować o swojej śmierci, że wtedy robi się w tobie coraz więcej dziur i to cię zżera od środka, aż całkiem się załamiesz. Że lepiej zgładzić się samemu, wtedy mniej boli.

Hanna przybliża swoją twarz do mojej.

– Po tamtej stronie czekają ludzie, którzy mogą położyć się na tobie w ciemności, tak jak noc wciska dzień w ziemię, tylko delikatniej. I wtedy ruszają biodrami. No wiesz, tak jak króliki. W tamtym świecie jesteś kobietą i wolno ci zapuszczać włosy tak długie jak włosy Roszpunki z wieży. Możesz być kimkolwiek. Możesz być wszystkim.

Hanna zaczyna oddychać coraz szybciej. Palą mnie policzki. Widzę, jak odkłada latarkę na poduszkę i jedną ręką podciąga koszulkę nocną, a drugą pociera kolorowe majtki w kropki. Zamyka oczy, lekko otwiera usta. Jej palce poruszają się na majtkach. Nie śmiem się ruszyć, kiedy Hanna

zaczyna pojękiwać, a jej drobne ciałko zwija się jak ranne zwierzę, porusza się lekko w przód i w tył, jak ja na misiu przytulance, ale to co innego. Nie wiem, o czym myśli. Wiem tylko, że nie pragnie discmana i że nie myśli też o parzących się ropuchach. To o czym? Biorę latarkę z poduszki i świecę na nią. Na czole ma kilka kropel potu, wyglądają jak skropliny na czymś, co robi się zbyt ciepłe w zimnym pomieszczeniu. Czy powinnam jej pomóc? Czy ją coś boli? A może powinnam pójść na dół po ojca, bo Hanna chyba ma gorączkę, może nawet czterdzieści stopni.

– O czym myślisz? – szepczę.

Ma szkliste oczy. Widzę, że jest gdzieś, gdzie mnie nie ma, tak jak wtedy z puszką coli. Drażni mnie to. Zawsze jesteśmy razem.

– O nagim mężczyźnie – mówi.

– A gdzie ty go widziałaś?

– W sklepie van Luika, w jednym czasopiśmie.

– W ogóle nie wolno nam tam chodzić. Kupowałaś Fireballs? Te gorące?

Nie odpowiada, a ja zaczynam się martwić. Hanna unosi brodę, zaciska powieki, zębami dotyka dolnej wargi, postękuje jeszcze i opada na łóżko obok mnie. Jest zlana potem, kosmyk włosów przylepił się jej do twarzy. Wygląda trochę tak, jakby ją coś bolało, a trochę jakby wcale nie. O co chodzi? Czy to przez to, że wepchnęłam ją do wody? Czy wyjdzie zaraz ze skóry jak motyl z kokonu? Żeby latając, roztrzaskać się o szybę, o dłonie Obbego? Chcę jej powiedzieć, że jest mi przykro, że nie chciałam jej wepchnąć do jeziora. Chciałam tylko zobaczyć, jak Matthies poszedł pod wodę, ale Hanna nie jest moim bratem. Jak mogłam w ogóle tak to pomieszać? Chcę jej opowiedzieć o koszmarze i poprosić ją, by mi obiecała, że nigdy nie wejdzie w łyżwach na jezioro. Ale Hanna wygląda na szczęśliwą i kiedy chcę się od niej odwrócić ze złością, słyszę znany szelest. Z kieszeni koszulki wyciąga dwie czerwone Fireballs. Cmokamy zadowolone, leżąc blisko siebie, i przez moment, kiedy kulka robi się gorąca, chuchamy i śmiejemy się głośno. Nasza wiedza jest tak samo niepozorna jak niepozorne są ramiączka spaghetti od koszulki nocnej Hanny. Obok słychać trzaśnięcie drzwi i płacz matki. Poza tym jest cicho. Dawniej słyszałyśmy czasem, jak ojciec klepał matkę po plecach, jak trzepaczką, czułe klepnięcia, które miały wytrzepać wszystko, czego się

w ciągu dnia nawdychała: całą szarość, kurz dni, warstewki smutku. Ale trzepaczki od dłuższego czasu już nie słychać. Hanna nadmuchuje wielki balon. Pęka z trzaskiem.

– Co robiłaś tutaj przed chwilą? – pytam.

– Nie mam pojęcia – odpowiada. – Ostatnio często mi się to zdarza. Tylko nie mów ojcu i matce, dobra?

– Nie – mówię cicho. – Jasne, że nie powiem. Będę się za ciebie modlić.

– Dziękuję. Jesteś najlepszą siostrą pod słońcem.

# 12

Po przebudzeniu moje plany zawsze wydają się większe, może przez to, że o poranku człowiek ma też więcej płynu między kręgami, dlatego robi się o kilka centymetrów wyższy, tym razem jednak plany naprawdę są wielkie: dziś przeprawiamy się na tamtą stronę. Nie wiem, czy dlatego czuję się dziwnie i wszystko dookoła wydaje mi się bardziej mroczne. Obbe i ja stoimy za oborą, pada na nas pierwszy śnieg, grube płaty kleją się do policzków, jakby Bóg posypywał nam głowy cukrem pudrem, jak matka dziś rano na pączki; kiedy zatapiasz w nich zęby, tłuszcz ścieka kącikami ust. W tym roku matka zaczęła wcześnie i usmażyła je sama; w wiadrze na mleko układała warstwami: pączki, ręczniki papierowe, jabłka w cieście. Dwa pełne wiadra zniosła do piwnicy, dla Żydów, bo też zasługują na Nowy Rok, od obierania jabłek ręce jej się całkiem powykrzywiały.

Obbe ma już włosy białe od śniegu. Obiecuje, że jeśli złożę ofiarę, nie powie, że jeszcze sikam do łóżka i że Sądny Dzień zostanie odsunięty. Wyciąga z kurnika koguta ojca. Ojciec jest bardzo dumny z tego okazu, aż sam puszy się jak ten kogut. Czasem nawet mówi:

– Komu się wiedzie, temu się i kogut niesie.

To przede wszystkim dlatego, że ptak ma jaskrawoczerwone pióra siodłowe, a do tego na szyi zielone wielkie dzwonki i błyszczący grzebień. Tylko kogut pozostał niewzruszony po wszystkim, co się tu wydarzyło, i z wypiętą piersią paraduje po zagrodzie. Teraz też stoi przed nami spokojnie i spogląda na nas swoim sennym wzrokiem. Czuję, że w kieszeni poruszają mi się ropuchy. Mam nadzieję, że się nie przeziębią. Powinnam je była włożyć do rękawiczki.

– Kiedy trzy razy zapieje, możesz przestać – mówi Obbe.

Podaje mi młotek. Myślę o ojcu i matce, o Dieuwertje, o Matthiesie, o swoim ciele wypełnionym szarym mydłem, o Bogu i Jego nieobecności, o kamieniu w brzuchu matki, o gwieździe, której nie możemy odnaleźć, o mojej kurtce, którą muszę ściągnąć, o świderku do sera w martwej

krowie. Pieje jeden raz, kiedy młotek stolarski wbija mu się w ciało, i pada martwy na kamienie. Tym samym młotkiem matka rozbiła moją skarbonkę. Teraz nie wyleciały pieniądze, tylko krew. Po raz pierwszy własnoręcznie zabiłam zwierzę, przedtem byłam tylko współwinna. Babcia powiedziała kiedyś, gdy rozgniotłam pająka w jej mieszkaniu chronionym dla starszych ludzi, choć nikt ich nie chronił:

– Śmierć to proces, który dzieli się na działania, a te działania dzielą się na kolejne fazy. Śmierć się tak po prostu nie zdarza, zawsze jest coś, co ją powoduje. Tym razem to byłaś ty. Także ty możesz zabijać.

Babcia miała rację. Łzy topią płatki śniegu na moich policzkach. Ramionami raz po raz wstrząsa szloch, próbuję to powstrzymać, ale mi się nie udaje. Obbe niedbałym ruchem wyciąga młotek z ciała koguta, opłukuje go pod kranem obok obory i mówi:

– Ty faktycznie jesteś chora, naprawdę to zrobiłaś.

Potem odwraca się, bierze koguta za łapy i idzie z nim na pastwisko; łebek łagodnie kołysze się na wietrze tam i z powrotem. Zerkam na moje drżące dłonie. Skuliłam się ze strachu, a kiedy się podniosłam, wydawało mi się, że w stawach mam zawleczki, które wszystko łączą, ale poruszają się niezależnie od siebie. Nagle obok mnie przeleciał barwny plamiec agreściak, motyl ma na skrzydłach czarne plamy, coś jak kleksy z atramentu. Podejrzewam, że uciekł z kolekcji Obbego. Trudno, żeby było inaczej, w grudniu nie ma motyli, wszystkie zapadły w sen zimowy. Składam dłonie w miseczki i chwytam go, przykładam do ucha. Ani włosów Obbego, ani jego zabawek – nie można dotknąć niczego, co jest jego, bo wścieka się albo znów zaczyna kląć. Nawet od czubka jego głowy trzeba się trzymać z daleka, choć on sam wciąż naciska to miejsce. Słyszę, jak motyl w panice trzepoce się w moich dłoniach i zaciskam je z całych sił, jakby był tam brudnopis z niegodziwymi słowami. Robi się cicho. Tylko przemoc we mnie hałasuje. Rośnie i rośnie, jak smutek. Tylko że smutek szuka przestrzeni, jak powiedziała Belle, a przemoc sobie ją po prostu bierze. Upuszczam martwego motyla na śnieg, gumowcem nasuwam w to miejsce warstwę śniegu: to grób zimny jak lód. Ze złości uderzam pięścią w metalową ścianę, aż zdziera się skóra na kostkach. Zaciskam zęby i spoglądam w kierunku obór. Już niedługo znów się zapełnią – ojciec i matka czekają na nowy inwentarz. Ojciec nawet pomalował nową farbą

silos na paszę, co mnie wystraszyło, bo teraz jeszcze bardziej będzie rzucać się w oczy matce, rozpalając w niej pragnienie śmierci. A jednak, wszystko znów będzie wyglądać zwyczajnie, jakby po Matthiesie i pryszczycy każdy powrócił do swoich normalnych zajęć; tylko nie ja. Może pragnienie śmierci jest zaraźliwe albo przeskakuje jak wszy w klasie Hanny na kolejną głowę – tym razem moją. Padam na śnieg, rozpościeram ramiona i poruszam nimi wzdłuż ciała, raz w jedną, raz w drugą stronę. Wiele bym dała, żeby być z porcelany i żeby ktoś mnie przez przypadek upuścił, a ja rozleciałabym się wtedy na niezliczoną liczbę kawałków i ktoś zobaczyłby, że jestem popsuta, że tak jak wszystkie te cholerne aniołki w sreberkach nie nadaję się już do użytku. Coraz mniej obłoczków uchodzi z moich ust. Nadal czuję w dłoniach trzonek stolarskiego młotka, słyszę pianie koguta. „Nie będziesz zabijał ani się mścił". Zemściłam się, a to może oznaczać tylko jeszcze jedną plagę. Nagle czuję pod pachami dwie dłonie i ktoś stawia mnie na nogi. Odwracam się i widzę przed sobą ojca, ale jego czarny beret nie jest czarny, tylko biały. Powoli zbliża dłoń do mojego policzka. Przez moment myślę, że przybijemy sobie piątkę jak handlarze bydła, że będziemy oceniać, czy moje ciało jest zdrowe, czy chore, ale on nagle gładzi mnie po policzku zgiętymi palcami i dzieje się to tak szybko, że potem będę wątpić, czy naprawdę się wydarzyło, czy na mrozie nie wmówiłam sobie, że mgliste obłoczki to nasze dłonie, a może to był wiatr. Wpatruję się w plamę krwi na podwórzu, ojciec jej nie widzi. Śnieg powoli skrywa śmierć.

– Idź do środka, zaraz przyjdę ściągnąć ci kurtkę – mówi, a sam idzie pod ścianę obory i staje przy rozdrabniarce do buraków.

Zdecydowanie kręci drążkiem, zardzewiałe koło obraca się z piskiem, kawałki buraków cukrowych latają wokół, większość wpada do żelaznego kosza pod spodem. To dla królików, szaleją za tym. Odchodząc, zostawiam za sobą ślady na śniegu. Coraz częściej wierzę w to, że ktoś mnie odnajdzie. Że ktoś da mi odnaleźć samą siebie: zimno, zimno, cieplej, ciepło, gorąco, gorąco. Kiedy Obbe wraca z pastwiska, zachowuje się, jakby nic się nie stało. Staje przede mną, odwrócony plecami do ojca, chwyta za suwak od kurtki i gwałtownie go podciąga, przycinając mi brodę. Krzyczę i cofam się o krok. Ostrożnie rozsuwam zamek i czuję bolesne miejsce na skórze, tam gdzie brodę zraniły metalowe ząbki.

– Tak boli zdrada, a to dopiero początek. Jak powiesz ojcu, że to był mój pomysł, pożałujesz – szepcze Obbe.

Znowu palcem przejeżdża po szyi, jakby ją ciął, potem odwraca się i wyciąga rękę do ojca. Razem z nim może wejść do obory. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ojciec wkracza tam, gdzie zlikwidowano krowy. Nie pyta, czy ja też chciałabym z nimi wejść, zostawia mnie na chłodzie, z kawałkiem skóry w suwaku i z policzkiem palącym od jego dotyku. Tak jak Jezus powinnam nadstawić drugi policzek i zobaczyć, czy to było na serio. Idę w stronę domu i widzę, że Hanna lepi kulę ze śniegu.

– Olbrzym usiadł mi na piersiach – mówię, zatrzymując się przy niej.

Hanna na chwilę przystaje, spogląda w górę, nos poczerwieniał jej od mrozu. Ma niebieskie rękawice Matthiesa z jednym palcem; weterynarz zabrał je znad jeziora i jak kawały mięsa na kolację leżały potem na talerzu za piecem i się rozmrażały. Matthies twierdził, że to dziecinada, że matka przymocowuje je do sznurka, żeby ich nie zgubił; zmrożone palce to najgorsze, mówiła, nie myśląc o sercu, które zbyt długo było zimne, ani o tym, jakie to straszne.

– Co robi tam olbrzym? – pyta Hanna.

– Zwyczajnie, siedzi i jest ciężki.

– Od kiedy?

– Już od dłuższego czasu, ale tym razem nie chce wstać. Pojawił się, kiedy Obbe wszedł z ojcem do obory.

– O – mówi Hanna. – Jesteś zazdrosna.

– Nieprawda!

– Właśnie że prawda. Wstrętne Panu są wargi kłamliwe.

– Ja nie kłamię.

Nabieram powietrza, pierś się nadyma, a potem zapada, jakbym to ja dostała tym młotkiem stolarskim. Czuję to nadal, tak jak czułam odcisk ciała Obbego na moim ciele jeszcze długo po tym, jak na mnie leżał i jak wzięłam prysznic. Nie jestem zazdrosna, że Obbe poszedł z ojcem, tylko dlatego, że on też ma na sumieniu śmierć ulubionego koguta ojca, a mimo to nie padł na śnieg. Dlaczego on nigdy nie kostnieje z zimna po swoich lodowatych czynach, w które nas wciąga? Chcę powiedzieć Hannie o kogucie, opowiedzieć o ofiarach, jakie musiałam złożyć, aby zachować

przy życiu ojca i matkę, ale nic nie mówię. Nie chcę jej niepotrzebnie niepokoić. Może wtedy nie przytuliłaby się już do mnie, do mojej piersi, w której tyle już zostało ukryte i która jest zdolna do rzeczy, o jakich Hanna nie ma pojęcia. To jest takie popołudnie, myślę sobie, które w swoim dzienniku przykleję sztyftem Pritta do poprzedniej strony, żeby później ostrożnie je odlepić. Najpierw żeby to ukryć, a potem żeby jeszcze raz sprawdzić, czy naprawdę to zrobiłam.

– Olbrzymy można zmniejszyć, kiedy sama stajesz się większa – mówi Hanna, ustawiając dwie śniegowe kule jedna na drugiej, a na końcu głowę.

Przypominam sobie, jak kiedyś z Hanną i Obbem – to było w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia – ulepiliśmy bałwana i nazwaliśmy go Harry.

– Pamiętasz Harry'ego? – pytam Hannę, zmieniając temat.

Kąciki ust siostry podnoszą się, a policzki zaokrąglają jak dwie kulki mozzarelli na białym talerzu.

– Marchewkę daliśmy w niewłaściwym miejscu. Aż matka wyszła z siebie i całym zapasem marchewki na zimę skarmiła króliki.

– To przez ciebie – mówię z szyderczym uśmiechem.

– Przez czasopisma van Luika – poprawia mnie Hanna.

– Następnego dnia Harry zniknął tuż przed tym, jak ojciec stanął w dużym pokoju powalany śniegiem.

– Uwaga!, ważna informacja: Harry nie żyje – odzywa się Hanna, naśladując niski głos ojca.

– Od tamtej pory nigdy już nie jedliśmy marchewki z groszkiem, tylko sam groszek. Bali się, że na widok marchewki będziemy mieli sprośne myśli.

Hanna kuli się ze śmiechu, a ja jakoś mimowolnie rozkładam ramiona. Otrzepuje śnieg z kolan, wstaje i mnie przytula. To dziwne przytulać się w biały dzień, za dnia ramiona są jakby sztywniejsze, a wieczorami stają się sprężyste jak skóra posmarowana wazeliną. Nagle Hanna wyciąga z kieszeni kurtki pogiętego papierosa. Znalazła go na podwórzu, wypadł Obbemu zza ucha, bo tam go nosi, wszyscy chłopcy we wsi chowają papierosy za uchem. Przez chwilę przytrzymuje go w ustach, a potem wkłada bałwanowi w głowę, tuż pod marchewką.

# 13

Patrzę na swoją dłoń, mam zaczerwienione kostki, z dwóch zdarta jest skóra i ciało jest tam bardziej różowe, z czerwonymi zakrwawionymi brzegami kostki przypominają rozpęknięte głowy krewetek. Idę do szopy, obcas jednego gumowca zapieram o drugi, żeby zsunąć but, nie dotykając go. Nie chcę używać zzuwadła, które stoi samotne i nikt teraz nie prosi go o pomoc – od kiedy nie ma krów, ojciec i matka noszą tylko czarne drewniaki. Kiedyś mieliśmy żeliwne zzuwadło, ale przez koślawą nogę ojca szybko się wykrzywiło. Skopuję gumowce ze stóp i wchodzę do kuchni. Lśni czystością, nawet krzesła stoją równiutko, w tej samej odległości od stołu, na blacie na ściereczce poodwracane filiżanki do kawy, obok łyżeczki, starannie ułożone na tej samej wysokości. Na blacie leży notatnik z zapiskiem: „Źle spałam". U góry data, dzień przed likwidacją. Od wybuchu pryszczycy matka codziennie robi krótkie notatki. W dniu, kiedy likwidowano krowy, napisała: „Zaczął się cyrk". Ani słowa więcej, ani mniej. Obok notatnika położyła liścik: „Wizyta duszpasterska w salonie, zachowywać się cicho".

Przekradam się w skarpetach przez duży pokój i przykładam ucho do drzwi salonu. Słyszę, jak starsi zboru przemawiają podniosłymi głosami. Raz w tygodniu przychodzą sprawdzić, jakie są „owoce kazań" i co „wyrasta z zasianego Słowa". Czy jesteśmy dobrymi wiernymi i czy słuchamy Boga i kazań Renkemy. Potem na pewno zaczną mówić o przebaczeniu, kręcąc wiry w kubkach z kawą, ich świdrujące spojrzenia wywołują podobne wiry u mnie w brzuchu. Ojciec i matka na ogół razem przyjmują wizytę ze zboru, a my, trzej królowie, musimy być przy tym tylko raz w miesiącu. Pytają nas wtedy przede wszystkim o jakiś fragment Biblii, o to, jak się obchodzimy lub co zamierzamy robić z internetem i alkoholem, z bujnością dojrzewania i całą naszą powierzchownością. Przestrzegają nas przy tym, mówiąc: „Po uświęceniu przychodzi usprawiedliwienie. Nie wolno ich oddzielać. Strzeżcie się faryzeizmu".

Teraz, tuż przed przybyciem nowej trzody, ojciec jest zbyt zajęty przygotowaniami i dlatego matka sama przyjmuje wizytę duszpasterską. Słyszę zza drzwi, jak jeden z prezbiterów pyta:

– A jak wzorowy jest teraz wasz sposób życia?

Mocniej przytykam ucho do drewna, ale nie słyszę odpowiedzi. Skoro matka szepcze, to znaczy, że nie chce, aby Bóg to usłyszał, chociaż przecież wszyscy wiemy, że uszy prezbiterów to Jego uszy, w końcu to On je uformował.

– To może kruchych ciasteczek? – słyszę, jak matka głośno pyta.

Szczęka otwierane pudełko z głową królowej Beatrix na wieczku. Nawet tutaj czuję delikatny, słodki zapach kruchych ciasteczek. Nie wolno ich nigdy moczyć w kawie, od razu się rozpadają i potem trzeba łyżeczką zgarniać gruz z dna. Mimo wszystko prezbiterzy za każdym razem je moczą, z taką samą ostrożnością jak pastor przed kościołem zanurza w wodzie delikatne ciała chrzczonych, wypowiadając formułę chrzcielną z Mateusza.

Patrzę na zegar, wizyta dopiero się zaczęła, zostaną jeszcze co najmniej godzinę. Dobrze się składa, bo nikt nie będzie mi przeszkadzać. Delikatnie pukam do drzwi piwnicy:

– Dobrzy ludzie.

Nie ma odzewu. Po tym, jak zabiłam ojcowego koguta, z pewnością nie należę do dobrych ludzi, ale kiedy mówię „źli ludzie", też nic nie słychać – żadnego trwożnego szurania, nikt nie chowa się pospiesznie za słoiki z musem jabłkowym, chociaż już ich prawie nie ma, Obbe i Hanna chcą go do wszystkiego, nawet do chleba.

Popycham drzwi i macam po ścianie za sznurkiem od lampy. Światło na moment drży, jakby się wahało, oświetlić czy nie, i w końcu zaskakuje. W piwnicy unosi się zapach smażonego tłuszczu, to pewnie z wiader na mleko wypełnionych pączkami i jabłkami w cieście. Nigdzie nie widzę Żydów, nigdzie nie ma lśniących fluorescencyjnych gwiazd na ich płaszczach. Butelki soku porzeczkowego stoją nienaruszone, a obok dziesiątki puszek z parówkami i słoiki z jajecznym likierem. Może uciekli? Może matka ich ostrzegła i przeniosła gdzie indziej? Zamykam za sobą drzwi i wchodzę w głąb piwnicy, pochylam głowę, żeby nie wpaść

w pajęczyny, szare sieci ciszy, skoro teraz nikt się tutaj nie ukrywa. W kieszeni kurtki czuję ropuchy. W końcu usiadły na sobie i kleją się do kurtki jak grudki lodu.

– Zaraz was uwolnię – uspokajam je.

I przypominają mi się słowa z Księgi Wyjścia: „Nie będziesz uciskał cudzoziemca; znacie przecież jego los, bo sami byliście cudzoziemcami w ziemi egipskiej". Najwyższy czas je wypuścić, bo skórę mają już tak zimną jak czekoladowe żabki i myszki wypełnione płynną czekoladą, które matka kupuje w sklepie Hema, a ja wygładzam potem paznokciem kolorowe sreberka po nich i je przechowuję.

Wczoraj w telewizji Dieuwertje Blok odgryzła fioletowej żabce głowę. Pokazała białe nadzienie: w środku są z lodu, powiedziała, puszczając oko, i jeszcze, że wszystko dobrze się kończy, bo wprawdzie mikołajkowe Piotrusie się zgubiły, ale uważny rolnik je znalazł i są już w drodze. Każde dziecko dostanie swój prezent na czas, pod warunkiem że komin będzie dobrze wyczyszczony i czysty jak dziecięce serca.

Potem matka zza deski do prasowania oglądała *Lingo*. Hanna raz zaproponowała, żeby i matka wystąpiła w tym teleturnieju, że musimy ją zapisać. Nerwowo kiwałam wtedy głową w jej stronę: jeśli matka raz usiądzie za szkłem telewizora, nigdy jej stamtąd nie wydostaniemy, może znajdziemy ją tylko w pikselach, kiedy obraz zacznie śnieżyć. No i co stanie się wtedy z ojcem? Kto odgadnie słowo składające się z ośmiu liter? Matka jest w tym dobra, wczoraj zaczęło się od litery C. Po raz pierwszy nie odgadła, ale ja wiedziałam od początku: c i e m n o ś ć. To był dla mnie znak, który trudno zignorować.

Podchodzę do zamrażarki pod ścianą. Ściągam z niej serwetę, która ma przyczepione do rogów obciążniki w kształcie owoców – co nie jest konieczne, bo w piwnicy nigdy nie wieje – i podnoszę klapę. Są tu tylko zamrożone strucle bożonarodzeniowe: ojciec i matka dostają je co roku od rzeźnika, z towarzystwa łyżwiarskiego i ze związku. Nie jesteśmy w stanie ich przejeść, kury też mają ich dosyć, zostawiają je nietknięte na wybiegu, gdzie powoli pleśnieją.

Klapa zamrażarki jest ciężka jak ołów, trzeba ją mocno szarpnąć, żeby oderwała się od uszczelek. Matka zawsze nas ostrzegała: „Jak któreś z was tam wpadnie, to zobaczymy się znów dopiero na Boże Narodzenie".

A ja miałam przed oczami ciałko Hanny jak zamrożoną potrawę i to, jak matka ją wydrąża, bo nie lubi słodkiego, ale przepada za skórką.

Kiedy już uporałam się z klapą, blokuję ją kijkiem, który stoi obok zamrażarki, żeby się nie zamknęła, i wciskam się do środka, do przeręblа. Lodowaty chłód od razu zapiera mi dech. Myślę o Matthiesie. Czy też tak się czuł? Czy też tak raptownie odcięło mu oddech? Przypominam sobie, co powiedział weterynarz, kiedy razem z Evertsenem wyciągnęli z wody mojego brata: „Kiedy ludzie są wychłodzeni, trzeba ich traktować jak porcelanę. Najmniejszy dotyk może okazać się śmiertelny".

Przez cały ten czas tak ostrożnie obchodziliśmy się z Matthiesem, że nawet o nim nie rozmawialiśmy, żeby w naszych głowach nie rozleciał się na kawałki.

Układam się wśród strucli i splatam ręce na brzuchu, który znów jest nabrzmiały i pełny, czuję przez kurtkę kłucie pinezki, chłód lodu, słyszę uderzenia łyżew. Potem wyjmuję z kieszeni ropuchy i kładę je obok siebie. Mają niebieskawą skórę i zamknięte oczy. Wyczytałam gdzieś, że kiedy ropuchy są na sobie, samczyk dostaje czarnych zrogowaciałych guzków na kciukach, żeby się mocniej trzymać samiczki: wzrusza mnie, że siedzą tak cicho i blisko siebie. Z drugiej kieszeni wyciągam wygładzone kolorowe sreberka po czekoladowych żabkach i delikatnie owijam nimi ciała ropuch, żeby było im ciepło, a potem wykopuję nogą kijek spod klapy i szepczę:

– Idę do ciebie, kochany Matthiesie.

Rozlega się huk, światełko w zamrażarce gaśnie. Robi się ciemno jak w grobie i cicho. Lodowata cisza.

Cytaty z Biblii pochodzą z następujących przekładów: Biblia Ewangelicznego Instytutu Biblijnego (2016), Biblia gdańska (1632), Biblia poznańska (1975), Biblia Tysiąclecia (1965, 2000), Biblia warszawska (tzw. Brytyjka) (1975), Biblia warszawsko-praska (1997), Biblia Wujka (1599), Pięcioksiąg Mojżesza (Józefa Miesesa) (1931), Uwspółcześniona Biblia gdańska (2017).